

LYNN FREED

DOM KOBIET

PRZEKŁAD MARTA JABŁOŃSKA-MAJCHRZAK

PODZIĘKOWANIE

Za ofiarowanie mi czasu, spokoju i udostępnienie uroczego zakątka do pracy składam podziękowania Corporation of Yaddo, Bella-gio Study and Conference Center i Bogliasco Foundation. Do końca towarzyszyły mi entuzjazm oraz mądre rady Judy Clain. Tę książkę zawdzięczam też Jennifer Rudolph Walsh — emanującej energią i inteligencją. Dziękuję.

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

S

Yryjczyk stoi na tarasie, spogląda w dół, na zatokę. Ostatnie promienie słońca oświetlają jego masywne jak u centaury ramiona i głowę. Rozwiane i splewające do tyłu włosy upodabniają go do powożącego rydwanem Apollina. Albo Posejdona. Albo Prometeusza. Ma najciemniejszą karnacją spośród wszystkich białych, których znam. Jest ona czymś na podobieństwo złoconego mroku, połyskującego i

pięknego. Myślą sobie, że nawet starzec może wyglądać niczym bóg.

Tak naprawdę on nie jest stary. Jest po prostu starszy ode mnie, o wiele starszy. Ja mam siedemnaście i pół roku i właśnie pozbyłam się dwunastu funtów nadwagi w salonie odchudzania. Moje ciało ma teraz proporcjonalnie rzeźbione kształty, jest jędrne i brązowe. Dotąd byłam nieładna, tak jak matka, tyle że na inny sposób. Ona jest szczupła i elegancka, i nieładna. Ja byłam blada i pulchna, i niezdarna, i — jak mówi matka — o wiele za sprytna.

Odkąd zeszczuplałam, stała się czujniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Wystarczy, by na ulicy zagwizdał na mój widok jakiś chłopak, a ona natychmiast oznajmia, że to pospolity ordynus i że zależy mu tylko i wyłącznie na jednym, i że jeśli ulegnę, to już na zawsze będą jego. W rezultacie nocami śnię o pospolitych ordynusach. Pospolity ordynus przychodzi, żeby przyglądać mi się i ado-

rować mnie, gdy śpię. Kiedy jedziemy samochodem, moje oczy nieustannie poszukują pospolitego ordynusa. A przecież idąc ulicą, lękam się bardzo ich zaczepek. Są tacy smarkaci, łypią tak pożądliwym okiem, że mam dla nich tylko słowa pogardy.

Syryjczyk się odwraca. Oslania oczy przed słońcem i uśmiecha się.

— Dotrzymasz mi towarzystwa? — pyta, unosząc szklaniczkę z whisky.

Pochylam twarz i pocieram dłonią stopę, żeby skryć rumieniec, który rozlewa się po moich policzkach, szyi i pełźnie do uszu. Gdyby teraz zobaczyła mnie matka, wyrzuciłaby go i odwołała kolację. Kiedy ojciec zatelefonował, żeby spytać, czy mógłby przyjść ze swoim syryjskim przyjacielem, nie trzasnęła jak zwykle słuchawką. Wywiesiła sukienkę z granatowego jedwabiu i poleciała Maude, by ta przygotowała vol au vent oraz creme cara-mel. Lubi zaskakiwać ojca, podobnie jak kiedyś on ją zaskoczył, wchodząc pewnego wieczoru do jej gotowalni i bez słowa biorąc ją w ramiona.

Ojciec nigdy z nami nie mieszkał. Z matką też nie. Mieszka z jedną ze swoich kobiet albo w tym domu w głębi kraju, albo na jachcie zacumowanym przy Esplanadzie. Jest postawny jak ten tu Syryjczyk i jest bogaty, przyzwyczajony dostawać to, czego chce. W przypadku mojej matki ogranicza się to do kolacji w jadalni, ewentualnie kawy w salonie po kolacji. Kiedy ma przyjść, to ja proszę Maude, żeby udusiła dla niego guawy i przygotowała do nich krem. To ja pamiętam, że bierze dwie kostki cukru do pół filiżanki kawy.

Nie jestem jego pierwszym dzieckiem i, jak podejrzewam, nie będę ostatnim.
Niemniej jestem tym, które za-

wsze chciał zachować dla siebie. Być może właśnie dlatego, że nie może mnie mieć.
Albo też dlatego, że mój spryt, podobnie jak kiedyś spryt matki, doprowadza go do śmiechu. Kiedy on się śmieje, ona demonstracyjnie strzepuje obrus, który właśnie haftuje, a który ma stanowić część mojej panięńskiej wyprawy, radząc się jednocześnie, jakim kolorem ma wyszywać kosz, a jakim łądygi kwiatów. Wie, że aluzje do ślubu go zirytują. I ma rację.

— Mam nadzieję, że nie dasz się wciągnąć w to cuchnące bagno! — ojciec wrzeszczy do mnie.

Sama matka nigdy nie zamierzała znaleźć się w tym cuchnącym bagnie. Jest śpiewaczką operową. Gdyby nie Hitler, byłaby zapewne znana na całym świecie. A tak musiała opuścić konserwatorium, w którym studiowała, i ukrywać się. A potem, pod koniec wojny, znaleziono ją i odesłano do obozu, podobnie jak wszystkich innych, lepszych i gorszych. Kiedy to się skończyło, przy pierwszej nadarzającej się okazji wsiadła na statek i przybyła tutaj, na najdalsze południe Afryki, gdzie można być największym sopranem lirycznym na ziemi, a i tak nikt się o tym nigdy nie dowie.

Każdego tygodnia udaje się samochodem w głąb kraju na spotkanie z Katzenbogenem, swoim psychoanalitykiem, który tak jak ona przeżył obóz. Mówią tym samym językiem, powiada. Co więcej, świat jest szalony i trzeba wiedzieć, jak w nim żyć. Droga do Katzenboga zajmuje jej pół dnia, tyle samo powrót. I zawsze wraca do domu z nowymi pomysłami.

W ubiegłym tygodniu postawiła torbę w hallu i rzuciła:

— Czymże był twój ojciec w porównaniu z wojną?

Dobrze wiem, że nie należy odpowiadać na takie pytania. Na długo przed moimi narodzinami dowiedziała się

o innych kobietach ojca i od tamtego czasu nienawidziła go całym sercem.

— Czymże był twój ojciec w porównaniu z wojną? —

zagrzmiała ponownie. — Kaprysem losu! Zerem! Fraszka!

Od tamtej pory można odnosić wrażenie, że to wojna została jej kochankiem, że była jej kochankiem od samego początku. To okrutny kochanek, śmiertelnie niebezpieczny, kryjący się w każdym cieniu, niczym pająk czy wąż. A ja jestem o niego zazdrosna.

Syryjczyk wchodzi z tarasu na werandę. ;:

— Trochę, tam wieje — mówi.

Kiwam głową. Ma szalik owinięty wokół szyi, jak jakiś gwiazdor filmowy. Kiedy na mnie spogląda, cały mój spryt wyparowuje, znikają gdzieś te wszystkie pogardliwe wyrażenia.

— To mój statek, tam w dole — mówi, opierając się

o drugi z filarów.

Patrzę w tamtą stronę, ale myślę wyłącznie o broderie anglaise, którą mam wieczorem włożyć. Jest taka niedorzecznie dziecinna z tym swoim koronkowym gorsem

1 bufiastymi rękawkami.

— Przyniosłem prezenty — mówi, wskazując na stół. —

Dla twojej matki i dla was obu.

Już je tam zauważyłam, cztery pudełka pięknie opakowane i ozdobione kokardkami. Kiedy prezenty przynosi ojciec, nie wolno mi ich otwierać, dopóki nie odejdzie.

— Pieniądze są tyle warte, ile można za nie kupić. A wi-
dać, kto je ma — oświadcza matka, wyjmując apaszkę albo
puzderko z biżuterią, albo książkę. Po czym idzie do kuch-
ni, żeby oddać ten prezent Maude.

Dziś wieczorem ojciec się spóźni. Zawsze się spóźnia. I zawsze czekam na górze z matką, dopóki nie wprowa-

dzą go do salonu, gdzie on z kolei zmuszony jest poczę-kać na nas. Matka lubi widzieć, jak ojciec unosi wzrok, kiedy tam obie wchodzimy. Za każdym razem on ma

odczuwać żal z powodu tego, czego nie może mieć, czego nie są w stanie kupić wszystkie pieniądze świata.

Tym razem jednak to ja czekałam. Całe popołudnie siedziałam za zasłonami przy wykuszowym oknie na piętrze, w nadziei, że przyjaciel ojca pojawi się wcześniej. Poza ojcem i doktorem Slatkinem, i Braughtonem, dyrygentem miejskiej orkiestry, nigdy jeszcze żaden biały nie wszedł do naszego domu.

— Niech czekają przed bramą — lubi powtarzać matka. — Niech szesznią od tego czekania.

Jutro rusza na swoją wyprawę w głąb kraju. Już teraz pokrzykuje na służbę. Każdego tygodnia wszyscy są zwoływani do hallu, gdzie ich się informuje, że Maude przejmuje gospodarstwo na czas jej nieobecności i że Maude i tylko Maude jest odpowiedzialna za mnie. To wszystko mówi na wypadek, gdyby ojcu przyszło do głowy przekupić ogrodnika albo pokojówkę, by otworzyli mu bramę i wpuścili do środka.

Zawsze tak było. Kiedy dziewczęta w przyklasztornej szkole pytały mnie, dlaczego nigdy nie przychodzę na ich przyjęcia, mówiłam, że mamy w górach domek i tam jeździmy w każdy weekend, ojciec, matka i ja. Oczywiście nie wierzyły mi.

Wiedziały, kim jest moja matka, wszyscy wiedzieli. Widziały, jak konferuje z zakonnicami, każdego piątkowego popołudnia widziały, jak Maude czeka na mnie przy furcie. Musiały widzieć kłódkę na naszej bramie, kiedy przejeżdżały obok. Niezależnie jednak od tego, co wiedziały, żyłam ze swoją tajemnicą, jakby i ona była kochankiem. Każdego piątkowego wieczoru wręczałam

matce swój pamiętnik, a potem leżałam z głową na jej kolanach, podczas gdy ona czytała to, co napisałam.

— Gruba?! — zakrzyknęła czasem, unosząc przy tym zeszyt, żeby na mnie popatrzeć. — Kto mówi, że jesteś gruba?

— Tam, gdzie mieszkam, jest teraz zima — oświadcza Syryjczyk.

— W Syrii?

Uśmiecha się.

— Ależ nie — odpowiada — nie tam. — Po czym wyciąga

niespodziewanie dłoń i ujmuje moją stopę. — Czy wiesz,
jaka z ciebie piękna kobieta?

Wiem, że nie jestem kobietą, że jestem dziewczyną i że mam ostry nos, jak ojciec, i na dodatek cięty język. Matka nieraz mi to mówiła. Czując jednak jego dłoń na stopie, zapominam o matce, całkowicie zapominam o jej istnieniu. O Syryjczyku też zapominam, zapominam, jak tam, na tarasie, byliśmy od siebie oddaleni. Tu, na górze, jesteśmy w tej ciszy niewidoczni, on i ja. Jesteśmy jego dłońmi na mojej stopie. To piękna dłoń, z pięknymi, długimi palcami.

— Wybacz — mówi, cofając się. Zaplata ramiona na pierś
si i ponownie spogląda na swój statek.

Podciągam pod siebie nogi, chwytam ich kostki, jakbym chciała trzymać je z dala od niego. A tak nie jest. Chcę, żeby raz jeszcze pochylił się ku mnie i ujął je w dłonie, i powiedział mi wszystko o mnie. Uwierzyłabym, cokolwiek by rzekł. Kiedy pojawił się wreszcie jego samochód i zobaczyłam, jak wysiada, jak osłania oczy, by spojrzeć na dom, prosto w okna wykuszu, gdzie właśnie siedziałam, miałam wrażenie, że czekałam na niego od zawsze, przez całe swoje życie. Nawet wówczas, kiedy zrzuciłam sandały i schodziłam bezszelestnie tylnymi schodami,

kiedy zatrzymałam się na ich dole, by poczekać, aż Maude poda mu tacę z drinkami... nawet wtedy, kiedy biegłam prowadzącym obok spiżarni korytarzem, a potem przez jadalnię na werandę, wiedziałam, że nie są w stanie mnie powstrzymać. Nawet gdyby mnie złapali. Nawet gdyby wbili w moje ciało pazury i głośno wzywali policję.

— Jutro odpływam — mówi.

Słyszę matkę w gotowalni. Nuci sobie, jest zadowolona.

— Nigdy nie widziałam śniegu — oznajmiam. — Nigdy
; nawet nie potrzebowałam płaszcza.

Kiedy przychodzę na górę, matka siedzi przy toalecie, uśmiecha się, nakładając na policzki róż. Znam jej ciało lepiej niż własne, nagie i odziane, z przodu, z tyłu, w pozycji siedzącej, stojącej. Blade niczym ciasto, niewinne w porównaniu z moim. Uwielbiam przyglądać się, jak ściga gorset, uwalnia ze stanika swoje ogromne piersi. Jakaś dziewczyna w szkole, powiada, nauczyła ją, jak je krepuwać, kiedy zaczęły rosnąć, i dlatego są teraz takie obwisłe. Zawsze ktoś ponosi winę.

Staję za nią i mocno się przytulam. Wdycham ten jej po-południowy, nieco kwaśnawy zapach. Sięga do tyłu, ujmuje moje ramiona i przesuwając lekko paznokciami po skórze.

— Czy nie powinnaś się już ubrać, kochanie? — pyta. — Jedno zero już się zjawilo. A wydaje mi się, że słyszę to drugie.

Zawsze słyszy ojca na długo przedtem, nim zadzwoni, nawet jeszcze zanim P^{^^}Sg^m popędzą do drzwi frontowych, podskakują i macją fiffiu)gonamL Jakby sa⁻ma była półzwierzęciem w wysokiej trawie i czeka na odpowiedź, Wrzucić się na ofiarę.

Nie pytam, dlaczego pozwoliła Syryjczykowi wejść do naszego domu. Gdybym to zrobiła, natychmiast odwołałaby kolację i odmówiła zejścia na dół. A może go zaprosiła, żeby na oczach ojca się w niej zakochał — a tym samym, żeby ojciec, raz jeszcze, przekonał się, iż nie jest jedynym mężczyzną na świecie. Wyjęła swoje najlepsze wieczorowe czarne perły oraz perłowo-brylantowe klipsy. Kiedy jej na tym zależy, mężczyźni zapominają, że nie jest piękną i zakochują się w niej jak szaleni.

Obserwuję, jak wciąga czarny gorset, a potem jedwabne pończochy, pilnie przy tym bacząc, jak układają się szwy.

— Naprawdę powinnaś się już ubrać — mówi i wyjmując z kasetki wysadzany brylantami zegarek. — Pomóż mi proszę z tym zamkiem, kochanie. Dziękuję.

Otwiera szafę, żeby przejrzeć się w lustrze, z przodu i z tyłu. Połyskuje w tej swojej granatowej, jedwabnej sukni, taka czarnowłosa i lśniąca. Jest Salome, jest Dalilą, jest Marią Magdaleną. Teraz wydaje mi się niemożliwe, że dłoń Syryjczyka spoczywała na mojej stopie, niemożliwe, że słuchałam, jak mówi, że jestem piękna. Kim jestem? — zastanawiam się, spoglądając ponad jej ramieniem; kim jestem? — myślę, wdychając jej woń, już pijana zapachem Madame Rochas.

— Zejdę bez ciebie — oznajmia, po raz ostatni zerkając na siebie w lustrze.

Wychylam się przez balustradę, żeby widzieć, jak schodzi, jakby zostawiała mnie i odchodziła, nie wiadomo jak daleko.

— Mamo — mówię — włożę tę aksamitną zieloną.

Ale ona jest już w hallu, przy drzwiach do salonu.

— Aha! — woła, chwytając obu mężczyzn w sidła swego

18 *4&ui,j> **< - *

głosu. — Thea zejdzie za chwilkę. Albo za godzinę. Albo wcale nie zejdzie.

Kiedy wreszcie zejdę, nie powie nic na temat zielonego aksamitu, nie skomentuje moich rozpalonych policzków i czerwonych uszu. Jak zwykle robi dla mnie miejsce obok siebie na kanapie. Ja jednak opadam na bujany fotel i zaczynam się kołysać.

— Przestań — mówi matka — bo dostanę choroby mor-
skiej.

Podchodzi ojciec i wyciąga do mnie rękę. Podnosi mnie z fotela i prowadzi do swojego przyjaciela.

— To moja Theadora — oznajmia — mój klejnot, mój
diadem.

Wiem, że ci dwaj prowadzą grę, ojciec i jego przyjaciel, grę, której celem jest wykluczenie mojej matki. Odwracam się do niej. W świetle lampy jej ramiona i szyja mają kremową barwę, natomiast twarz pozostaje blada, nie-malże biała, a kości policzkowe odcinają się różowym ko-lore.

— Powiem w kuchni, że przechodzimy do jadalni — mówi.

Teraz żałuję, że nie włożyłam swojej broderie anglaise

i że nie usiadłam obok niej na kanapie, a już najbardziej, że wyszłam tego popołudnia na werandę. Równie dobrze mogłam ugodzić ją sztyletem w serce albo wcisnąć jej głowę pod wodę i przytrzymać.

— Ta tutaj wyraża swoją opinię na każdy cholerny te-
mat pod słońcem — mówi ojciec, nadal trzymając dłoń na
moim ramieniu.

— Wydaje- mi się, że byłoby sympatycznie, gdybyś raz

na jakiś czas ubrał się do kolacji — rzucam. Nigdy nie od-
zywałam się do niego tak, jak robi to matka, nie śmiałam.

Kiedy odnoszę się do niego zuchwale, staram się być cza-

rująca. Teraz jednak jego szorty khaki i brązowe kolana, i pyszałkowaty uśmiezek powodują, że mam ochotę, go skarcić. Nieważne, czy znajdzie sobie inną ulubienicę.. Nie obchodzi mnie to. Klepie Syryjczyka w ramie..

— Widzisz? — wykrzykuje. — Widzisz?

Matka otwiera przeszklone drzwi prowadzące do jadalni. Na stole, nakrytym najlepszym obrusem, pysznją się srebra. Stoją kieliszki do wina i płoną świece.

— En trez! — zaprasza matka.

Siada u szczytu stołu, zerkając podejrzliwie na obu mężczyzn. Już wie, że zaproszenie Syryjczyka przyniosło niezamierzony skutek, że teraz nic, co uczyni, nie zetrze tego uśmiešku z twarzy ojca. On tymczasem wznosi ku niej kieliszek i mówi:

— Doskonale ci w tym głębokim błękicie, moja droga.

— Też coś! — reaguje matka, machając lekceważąco dłoń-
nią. — Przecież to głęboki granat.

Wieczór jest już stracony, ona jednak czyni dalsze wysiłki.

— Czy ma pan dzieci? — pyta, kładąc jednocześnie dłoń
na moim ramieniu.

Syryjczyk kręci przecząco głową. Ma wille, powiada, i ogród, i dwa śliczne setery irlandzkie.

— O — mówi matka — jaka szkoda!

Chciałabym ją ratować, tyle że nie wiem jak. Rozpaczliwie wręcz chcę ją ratować, w jakiś sposób złapać go na czymś.

— Dlaczego wraca pan statkiem? — pytam.

Ojciec przechyla głowę i odwraca się do przyjaciela.

— No właśnie, monsieur, dlaczegoż to płynie pan stat-

kiem?

Syryjczyk uśmiecha się. • v

— Ponieważ okropnie boję się latać.

Po minie ojca widzę, że to kolejny żart. Widzi to też matka.

— Czy wy tam macie jakieś szczególne zamiłowanie do morskich podróży? — pyta.

Ach, odpowiada, prostując się na krześle, prawdziwy powód to fakt, że kocha morze i statki. Bo pokonują w czasie i w przestrzeni odległości rzeczywiste. W dzisiejszych czasach ludzie nieustannie się śpieszą. Nie mogą się doczekać, żeby już znaleźć się na miejscu, a potem nie mogą się doczekać, kiedy je opuszczą.

Wszystko to mówi do matki. Później jednak, kiedy ona wstaje, by nałożyć pudding, zwraca się w końcu do mnie. Spogląda przy tym na mnie tak, jak patrzył na stojący w zatoce statek. Gdybym nie miała siedemnastu lat i sześciu miesięcy, byłabym w stanie dostrzec w nim smutek i tęsknotę, i nadzieję. Dostrzegłabym również czujne, zimne spojrzenie ojca. Tymczasem moje uszy, kark i uda oblał żar. Zaszło mi w gardle i nerwowo przelykam. Powinnam wstać i pomóc matce, nie robię tego jednak. Bierę łyk wina i odwzajemniam mu się spojrzeniem, lekkim i beztroskim. Jestem Dałilą, jestem najniższą z najniższych i nic na to nie potrafię poradzić. Chcę, by znów uważał mnie za piękną. Chcę mieć dwadzieścia jeden lat i móc spoglądać, gdzie tylko zechcę.

Kiedy tego wieczoru matka przychodzi i siada na moim łóżku, przykładą dłoń do mojego czoła.

— Co jest nie tak? — pyta. — Chcesz, żebym odłożyła jutrzejszy wyjazd?

Nigdy wcześniej nie zasugerowała czegoś podobnego. Kiedy byłam mała, błagałam ją, żeby nie jechała do Kat-zenbogena. Czepiałam się jej szyi i wołałam z płaczem, żeby została. Raz, kiedy miałam odurę, została, ale była tak poirytowana, że już nigdy więcej jej nie poprosiłam. Teraz, podejrzewając, że mogłaby zostać, szaleńczo wręcz chcę, by pojechała. Wyciągam ręce, a ona nachyla się nade mną, nie zapominając jednak o swoich włosach.

— Chcę, żebyś ze mną została — mówię. — Proszę.

Prostuje się.

— Kolacja chyba wyprowadziła nas obie z równowagi —
mówi. — To był wielki błąd.

— Krąg zer.

Nie ruga mnie za te słowa, pozwala sobie nawet na je-den z tych swoich chichotów.

— Ten tak zwany przyjaciel twojego ojca zapewne miał
żonę, którą zamordował — mówi. — Zabijają je dla bizute-
rii, podpalają tę tak zwaną willę z żoną zamkniętą w środ-
ku. Czyste barbarzyństwo!

— Ależ, mamó! — protestuję. Łzy zaczynają spływać
w moje włosy, dostają się do uszu. — Tym razem pomyli-
ły ci się kraje.

Ponownie dotyka mojego czoła.

— Wiesz, gdzie będę, gdybyś mnie potrzebowała. — Za-
wsze tak mówi, kiedy wyrusza w głąb kraju. W rzeczywi-
stości jedynie Maude wie, gdzie ona jest. A kiedy pytam
Maude o numer telefonu, ona zawsze odpowiada: „Cie-
kawość to pierwszy stopień do piekła”.

Maude jest katoliczką, a jej pokój mieści się obok moje-go. Każdego wieczoru
zapala świeczkę dla Matki Boskiej, której to świececzki nie gasi, mimo że matka jej to
surowo przykazała. Nakłada siatkę na włosy i klęka przed toalet-

ką, na której leży ozdobna, szydełkowa serwetka, a na niej stoi świeca i figurka Matki
Boskiej z Jezusem w ramio-nach. Czasami świeca wypala się dopiero o pierwszej
czy drugiej nad ranem, długo po tym, jak ona już zaczęła chrapać.

Nawet gdyby Syryjczyk miał po mnie przyjść, to jak przemknąłby obok jej drzwi?

Ona jest niczym Cerber, wi-dzi wszystko, wszystko też słyszy, nawet wtedy, kiedy chrapie. Kiedyś, gdy przyjechałam do domu na wakacje, a matka wyjechała, przy bramie pojawił się ojciec i zaczął się awanturować. Krzyczał i groził Maude i mówił, że spro-wadzi policję. A ona jedynie odpowiadała mu wrzaskiem. Wzięła kij i groziła, że go uderzy. Po tamtym wydarzeniu matka kupiła solidniejszą kłódkę i kazała postawić nowe ogrodzenie z kutego żelaza, z ostrymi, wygiętymi szpi-kulcami na szczycie.

Zdejmuję piżamę i rozsuwam zasłony na oknie. Księżyc prześwieca poprzez mangowiec, nakrapiając cętkami światła cały pokój. I choć to pora upałów, ja cała drzę pod prześcieradłem. Zapomniałam o pospolitych ordynusach, zapomniałam całkowicie. Teraz to Syryjczyk przemyka się korytarzem, obok drzwi Maude, nieważne, czy świeca płonie czy nie. To on wchodzi bezszelestnie do mojego pokoju i staje koło łóżka niczym bożek. Ja śpię, a on po-wolutku unosi prześcieradło. Stoi tak w świetle księżycy i patrzy. Przygląda mi'się, aż w końcu wyciągnie dłoń, by dotknąć mojej skóry. Chciałabym, żeby nigdy nie znudzi-ło mu się tak patrzeć.

ROZDZIAŁ DRUGI

K

iedy Syryjczyk po mnie przychodzi, nie przypo-mina to w niczym tego, co sobie wyśniłam. Poja-wia się przy bramie, dzwoni, próbuje wyjaśnić ogrodnikowi, że zostawił tu walizeczkę, co zresztą jest prawdą. Zauważyłam ją na jednym z foteli na werandzie i zaniósłam do letniego pawilonu, żeby zbadać jej zawar-tość. Sama walizka jest z pięknej brązowej skóry, ze skó-rzanym wybiciem i czarnym oblamowaniem. Wewnątrz znajdują się dokumenty przewozowe oraz wieczne pióro, które natychmiast wypróbuję na kartce papieru.

Obserwuję go zza muślinowej zasłonki okna w gabine-cie, przyciskając walizeczkę do piersi. Nie przypomina tamtego mężczyzny z werandy. Ma na sobie garnitur oraz kapelusz i przekrzykuje hałasujące psy. Mogłabym bez trudu pójść ku bramie, wdrapać się na ogrodzenie i po-dać mu walizkę. Maude poszła do sklepu po kokosy. Przed odjazdem matka poleciła jej upiec dla mnie babeczki z dżemem na podwieczorek. Obiecała też, że zabierze mnie na wieczorny seans, jeśli wróci o odpowiedniej po-rze, potem zaś na kolację w Tudor Room.

Syryjczyk wymachuje rękoma, wskazuje na coś dłonią i krzyczy. Ogrodnik kręci przecząco głową. Nic nie rozu-mie, zresztą oni wszyscy boją się obcych, kiedy nie ma matki i Maude. Podnosi rękę, by powiedzieć Syryjczyko-

wi, że ma zaczekać, i biegnie do kuchni w poszukiwaniu służącej. Ta nie idzie po mnie. Udaje się prosto do bramy i mówi Syryjczykowi, że musi poczekać na powrót Maude, że nikt oprócz niej nie ma klucza do kłódki. Matka trzyma wszystkie klucze od domu na metalowym kółku przy-mocowanym do torebki. Kiedy wyjeżdża, przekazuje to kółko Maude.

Ześlizguje się z parapetu. Za dziesięć minut zza rogu Princess Alice Road wynurzy się podśpiewująca Maude. Zawsze śpiewa, kiedy matki nie ma w pobliżu. Bo matka powiada, że jej piskliwy świergot przewierca ją do szpiku kości. Maude i tak śpiewa. Świergocze sobie cichutko, kiedy gotuje czy przemierza korytarze.

Biegnę do okna w hallu. Kiedy Maude wyjdzie zza rogu i zobaczy samochód ojca, jej świergot zamieni się we wrzask. Popędzi w dół jak szalona. A kiedy matka usłyszy, co się wydarzyło, skończą się rozmowy o moich studiach na uniwersytecie. „Mogę cię nauczyć wszystkiego, co ci będzie w życiu potrzebne”, powie. A kiedy ojciec oznajmi, że jest wariatką, że on spowoduje, by zajęły się nią władze, po prostu parsknie śmiechem. „Zrób to!”, powie. „Czemu nie?” A przez to ja pozostanę tu w zamknięciu tak długo, aż będę zbyt stara i zbyt brzydka, by miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Biorę walizeczkę i biegnę przez salon, wybiegam na werandę i zbiegam po schodkach. Kiedy jestem już przed domem, ścieżką od strony kuchni ciężkim krokiem nad-chodzi służąca. Zobaczywszy, co trzymam w ręce, zaczyna wrzeszczeć. Wzywa na pomoc ogrodnika, ten jednak poszedł już na lunch. Woła Maude, woła panią Holmes.

— Aiii! — wrzeszczy. — Aiii!

Docieram do bramy przed nią. Ta jest już otwarta, łań-

cuch przecięto; zwisa teraz luźno, razem z kłódką. Spuszczony kierowca obszczekują kierowcę..

— Aha, jesteś już — mówi Syryjczyk. — Właśnie po ciebie szedłem. — Bierze ode mnie walizkę i wrzuca do samochodu, popycha mnie przed sobą. — Wsiadaj! — mówi i sam wsiada za mną. — Ruszaj! — rzuca do kierowcy.

Z rykiem silnika pędzimy w dół wzgórza i dalej torem wyścigowym. Wyścig trwa, bo jest środa, a jego tor biegnie ulicą. Mamy jednak szczęście. Zapory są uniesione i możemy przejechać. Nawet światła przy Umbilo są zielone, a przed stacją nie widać zaparkowanych obok siebie w dwóch rzędach indyjskich autobusów. Pędem przejeżdżamy przez tory kolejowe i wzdłuż Commercial Road kierujemy się do nabrzeża. Kiedy zatrzymujemy się przy budce celnika, urzędnik w wykrochmalonej bieli zagląda do wnętrza po-jazdu. Przygląda mi się w szczególny sposób, a dopiero potem patrzy na Syryjczyka. Następnie zaznacza coś w swoich papierach i machnięciem dłoni każe nam jechać.

— Chodź — mówi Syryjczyk, wysiadając. — Mamy nie-wiele czasu.

Jesteśmy na nabrzeżu, tuż przy trapie ogromnego, sza-rego statku. Wznosi się on nad nami, utrzymywany w miejscu linami, ciemny i przerażający, z zielonym szla-mem na burtach. Mój towarzysz prowadzi mnie ku tra-powi.

— Chodź już — poganiam.

Ja jednak zatrzymuję się. Nie chcę iść dalej. Kiedyś matka zabrała mnie do portu, gdzie miałyśmy pożegnać jej przyjaciółkę z konserwatorium. Miałyśmy wejść na pokład i rozejrzeć się po statku, nim ten wypłynie, wypić tam herbatę, zjeść ciastka i lody. Ale ja przeraziłam się trapu, kołyszącego się wysoko i swobodnie ponad wodą.

Sama woda była przerażająca — mroczna i głęboka, i ole-ista. Zatrzymałam się wtedy i odmówiłam pójścia dalej. Namawiały mnie i błagały, obiecywały salę zabaw z ko-niem na biegunach, basen, gry pokładowe, same wspa-niałości. Kiedy jednak spojrzałam w dół, na tę wodę, nie byłam nawet w stanie pomyśleć o wejściu na trap. Matka zatem dała za wygraną, odwiozła mnie do domu, bardzo niezadowolona i groźna. Mnie było wszystko jedno. Były-śmy razem. Byłyśmy bezpieczne. Syryjczyk ujmuje mój łokieć.

— Chodź już — powtarza, popychając mnie do przodu, przesuwając mnie krok za krokiem. — Krok po kroku.

Wspinam się więc, wpatrując się w mroczne wejście na końcu trapu, w jakiś kryjący się tam cień, który zdaje się nas oczekiwać. Kiedy podchodzimy bliżej, cień się wyła-nia. To ojciec. Wyciąga ramiona, przyciąga mnie do sie-bie, całuje w czoło, tak jak nigdy wcześniej tego nie robił.

— Jesteś! — wykrzykuje. — Moja córeczka! — Oczy ma roziskrzzone uciechą. — A teraz już chodź, tempus fugit.

Mam wszystkie niezbędne dokumenty.

— Jakie dokumenty? — pytam, stając jak wryta. Nagle odczuwam w sercu tęsknotę za matką. Przez cały czas w samochodzie, nawet gdy przypominałam sobie, jak byłymy tu kiedyś razem, nie pamiętałam o niej. Spoglądam przez okno odległego krańca hallu i widzę zatokę, srebrzącą się w południowym słońcu, widzę kilka żeglujących z wiatrem jachtów, takich wolnych, i myślę o niej i o tym, że ją opuszczam.

— Mogę cię ze sobą zabrać jedynie jako swoją żonę — wyjaśnia Syryjczyk.

Odwracam się ku wejściu, którym dopiero co weszliśmy. Mogłabym się wyrwać i pobiec trapem w dół, zanim

pomyśleliby o tym, żeby mnie złapać. Ale co jest tam, na zewnątrz, poza czekającymi mnie latami? Latami miłości do niej, starzeniem się spowodowanym tą miłością? I jej nieustannym haftowaniem, zupełnie jak gdyby moja przyszłość nie była niczym innym jak tylko obramowaną kołronką serwetką, którą mogłabym pomachać ojcu w twarz.

— Zgodzisz się? — pyta.

— Naturalnie, że się zgodzi — oświadcza ojciec.

I rzeczywiście zgadzam się. Kiwam potakująco głową.

— Grzeczna dziewczynka!

Ojciec ujmuje mnie pod ramię i prowadzi przez drzwi do małej, wyłożonej drewnianą boazerią biblioteki. Czeka tam na nas mężczyzna w białym mundurze.

— Kapitanie — odzywa się ojciec — oto i panna młoda.

Syryjczyk stawia walizczkę i bierze mnie pod rękę.

Pachnie jak ojciec, wełną i tytoniem, i wodą toaletową Paco Rabane. I nagle tamta tęsknota znika, a ja chciała-bym bardzo, żeby dziewczęta ze szkoły mogły mnie teraz zobaczyć. Siadywałyśmy na łózkach i zgadywałyśmy, która z nas pierwsza wyjdzie za mąż. Co też by powiedziały, gdyby mnie teraz mogły zobaczyć?

— Gotowe? — Ojciec wyjmuje kieszonkowy zegarek. —

Doskonale! Podpisz tutaj i tutaj. Kiedy oddalicie się o dwa-naście mil od brzegu, będziesz kobietą zamężną. — Podaje papiery kapitanowi, po czym wyjmuje z kieszeni złotą obręczkę. — Proszę — mówi — będzie ci to potrzebne.

Usiłuję ją włożyć, ale jest za mała.

— Nieważne — mówi kapitan. — Możemy użyć mojej.

Wystarczy jakakolwiek obręczka.

Ojciec wybucha śmiechem. Śmieje się jeszcze, kiedy całuje mnie na pożegnanie. Potem schodzi po trapie.

— Ha! Ha! — zarykuje się znowu. — Ha! Ha! Ha!

ROZDZIAŁ TRZECI

Z

atem stało się. Mam być żoną człowieka, którego imienia nie znam. Matka wyśmiałaby taką sytuację.. Jej śmiech towarzyszył każdemu głupstwu w moim życiu. Jednak odtąd, już na zawsze, będę pamiętała jedynie jej rozdzierający krzyk. Słyszą go, kiedy statek odbija od nabrzeża. Na pewno krzyczała już wcześniej, gdy wjeżdżała do garażu i gdy zobaczyła Maude stojącą z łańcuchem i kłódką od bramy w dłoniach. Na pewno przebiegła obok niej, wpadła do domu i podciągając się rękoma na poręczy, wspięła po schodach na górę. Kiedy zobaczyła, że nie ma mnie w pokoju, ruszyła z powrotem do auta, a potem na nabrzeże, nie zatrzymała się ani na światłach przy Umbiło, ani przy punkcie kontroli celnej, a mimo to przybyła za późno, za późno. Trap jest już podniesiony i statek odpływa. Ci dwaj, mój ojciec i jego przyjaciel, doskonale wszystko zorganizowali.

Siedzę na łóżku, przyciskając dłonie do uszu, a on podchodzi i siada obok mnie. Przemawia do mnie, a ja słyszę jedynie jej krzyk. Na pewno słyszy go cały statek. Jest straszny, straszny.

Zrywam się i biegnę do buloia, żeby wyrzeć na zewnątrz, jesteśmy jednak po niewłaściwej stronie statku, przeciwnej do nabrzeża. Niemniej widzę, co pozostawiani za sobą — jakiś statek, jeszcze jeden statek, a potem rozmazany

żarem urwisty cypel. Jej krzyk razem z głosami mew staje się teraz przeciągłym zawodzeniem. A potem, kiedy z rykiem włączają się silniki statku, przestaję ją w ogóle słyszeć. Teraz on mnie przywołuje, woła, bym wróciła do niego, ale ja nadal jestem głucha na jego słowa. Ogłuszyłam się płaczem. I kompletnie zapomniałam, kim jest i dla czego znalazłam się z nim tutaj. Zapomniałam wszystko prócz tego, co pozostawiłam za sobą.

— Masz ochotę na owoce? — woła.

Mamy dla siebie trzy kajuty w amflladzie. Wszędzie stoją wazy z kwiatami, jest też wielki kosz z owocami i orzechami.

Kręcę głową, ale on i tak się podnosi, wybiera dwa małeńkie banany, kilka owoców liczi i parę brazylijskich orzechów, sięga po dziadka do orzechów i układa to wszystko na talerzu.

— No chodź już — mówi — usiądź tutaj.

I ja to robię. Siadam na łóżku, podczas gdy on ściąga skórkę z liczi i podsuwa owoc do moich ust. Liczi to mój ulubiony owoc, ale czy on to wie? Kiedy jest na nie sezon, matka jedzie w dół, na indyjski targ, by kupić te różowe i świeże. Służbie każe wybierać dla siebie starsze, brązowe.

Teraz to wszystko już się skończyło. I chociaż ten miąższ pachnie jak kwiaty, kręcę przecząco głową.

— No już — mówi do mnie całkiem surowo.

Ja jednak nie chcę, nie mogę.

Zjada je zatem sam, palce wyciera starannie w serwetkę. Potem wyciąga rękę i gładzi mnie po włosach, unosi je, podwija na czubku głowy i pozwala, by opadły. Przebiega delikatnie koniuszkami palców po mojej szyi, wokół ucha. Od jego dotyku, od samej myśli o tym dotyku, kręci mi się już w głowie. Mógłby być

kimkolwiek, jakim-

kolwiek głupim mężczyzną z palcami na moim karku, a byłabym równie oszołomiona i odurzona. Zachęcała-bym go nawet, pociągnęła na siebie, wbiła paznokcie w jego ciało, jakbym zamierzała go zabić. Zabiłabym go, gdybym musiała. Gryzłabym go, głośno krzyczała.

Opiera mnie o oparcie kanapy i zdejmuje mi sandały, pieści stopy. Kiedy jednak przesuwa dłoń w górę moich nóg, przypominam sobie matkę spowitą w granatowy je-dwab i siłą podciągam kolana.

— Nie! — mówię, wstając. — Przestań!

To wystarcza. Opuszcza na chwilkę oczy i oddycha cięż-ko. Potem uśmiecha się i mówi:

— Mamy pół godziny drogi do ślubu, a potem całą dłu-
gą podróż życia.

Czy mają to być godziny, czy lata, ja wiem, że muszę zachować czujność, w przeciwnym bowiem razie będę jego na zawsze. Muszę zamknąć drzwi pomiędzy kajuta-mi i spać tutaj. Jeśli znajdzie sposób, żeby nocą przyjść do mnie, jeśli spróbuje podstępów z winem i z podarka-mi, muszę zawsze być czujna, nie wolno mi nigdy ulec.

Po dwóch nocach na morzu statek zatrzymuje się. W od-dali widać zatokę, błękitną w porannej mgle, za nią góry, a u ich podnóża rozciągnięte miasto.

— Chodź — mówi mój mąż — schodzimy na ląd. — Ma na sobie lniane ubranie oraz panamę i bardzo mu się spieszy.

Podchodzę z nim do burty. Czeka tam na nas kapitan. Daleko w dole podskakuje na falach motorówka. Morze jest niespokojne, wieje wiatr, a my musimy zejść stromym trapem, by się do niej dostać. Chwytam mocno za reling i cała drzę.

— Nie — protestuję — nie mogę.

Podchodzi kapitan.

— Będzie musiał pan ją znieść — mówi do mojego mę-

za. — Czy może woli pan, żebym ja to zrobił?

Mąż zbliża się do mnie.

— Nie upuszczę cię — mówi. — Zaufaj mi.

Ja jednak wciąż kręcę przecząco głową. Wobec czego on obejmuje mnie od tyłu i jeden po drugim odrywa moje palce od relingu. Ujmuje moje dłonie i mówi:

— Zniosę cię na dół. — I zarzuca mnie sobie na ramię

niczym worek i niesie ku schodkom.

Nie wrywam się. Kiedy rusza w dół, zamykam oczy. Myśl o śmierci i emanujące od niego ciepło niemal mnie usypiają. Schodząc, przemawia do mnie uspokajającymi słowami, choć zęby ma zaciśnięte na rondzie kapelusza i jedyne, co słyszę poprzez wycie wiatru, krzyk mew i chłopot wody o burtę statku, to jakieś mamrotanie. Gdy jesteśmy już na dole, przekazuje mnie mężczyźnie w motorówce. Po czym bez słowa siada obok mnie na ławeczce.

Powinnam być zadowolona, wiem, że powinnam być zadowolona, że tak szybko odsyłają mnie do domu. Jednakże teraz, kiedy to się faktycznie dzieje, chciałabym go błagać, żeby rzecz raz jeszcze rozważył. Chcę mu powiedzieć, że muszę mieć trochę czasu, że spróbuję być jego żoną albo zdecyduję się wrócić do domu, potrzebuję jedynie czasu na przemyślenie tego wszystkiego. Spoglądam na niego, szukam słów, za których pomocą mogłabym to powiedzieć, on tymczasem spogląda ponuro przed siebie, kapelusz na kolanach, czarne włosy rozwiane wiatrem wokół twarzy, Zauważywszy, że drzę, zdejmuje marynarkę i otula mnie nią. Nie przyciąga mnie jednak do

\

siebie, pyta tylko, kiedy już dopływamy do brzegu, czy potrafię szybko podejmować decyzje.

Kręcę przecząco głową. Nie jestem w tym dobra, nigdy nie byłam w tym dobra.

— Wobec tego będę musiał podejmować je za ciebie —

mówi. Macha do kierowcy, który stoi obok samochodu

na nabrzeżu. Ujmuje moją dłoń, prowadzi po schodkach

w górę. — Littlefields — rzuca do kierowcy — i proszę się
pospieszyć.

W aucie siadam jak najdalej od niego, wyglądam przez okno, zgarbiona i markotna. Nie pytam, co to takiego Littlefields, nie zauważam nawet tego, co mijamy. Pragnę jedynie wrócić na statek i nie mam pojęcia, jak mu o tym powiedzieć.

— Dokąd jedziemy? — pytam wreszcie.

Samochód zwolnił z powodu gęstniejącego ruchu. Całe procesje robiących zakupy, posłańców, mężczyzn w garniturach i kapeluszach płyną chodnikami.

— Proszę się tu zatrzymać! — rzuca do kierowcy. —

Chodź — zwraca się do mnie, wysiadając. Bierze mnie za
rękę i prowadzi poprzez ten tłum do ocienionego, eleganckiego wejścia z napisem „Littlefields” nad drzwiami.

— Potrzebne nam stroje na każdą okazję — informuje sprzedawczynię w Better Dresses. — Na wszystkie pory roku, na wszelkie okoliczności. I nie mamy zbyt wiele czasu. — Widzi, że przestałam się dąsać, uśmiecha się i klepie mnie po ramieniu, zupełnie jak ojciec. — Grzeczna dziewczynka.

Wzruszam ramionami. Nie zniosłabym, żeby pomyślał sobie, że jestem zadowolona. Zatem, kiedy sprzedawczyni zaczyna przynosić kolejne stroje, jestem coraz mniej

zadowolona. To moja matka powinna siedzieć obok mnie. To ona powinna gestem dłoni odsyłać poszczególne sztućki garderoby, bo za poważne jak dla mnie albo zbyt krzykliwe, czy co tam jeszcze. Uciszyłaby paplaninę sprzedawczyni, odwracając spódnicę na lewą stronę i pokazując tamtej, jak niechlujnie wykonano ściegi.

Jednak nie ma jej tutaj, a tych dwoje patrzy na mnie, czeka, co też wybiorę do przymierzenia. Są tu spódniczki plisowane i spódniczki długie, bluzki ze złotymi guzikami, bluzki z małymi haftkami, swetry i tweedowe kostiumy, sukienki i spodnie, i bliźniaki. Sprzedawczyni wywiesiła je wszystkie na specjalnym stelażu na kółkach, który podtoczyła i ustawiła przede mną. Wpatruję się w te ubrania, usiłując coś wymyślić, coś sobie przypomnieć.

— Wybierzesz coś sobie? — pyta mąż. — Czy może chcesz,
by sprzedawczyni ci pomogła? Przecież się spieszymy.

Ponownie wzruszam ramionami. Cóż ta sprzedawczyni może wiedzieć o tym, jak złote guziczki są w stanie zrobić z bluzki tandetny fatalaszek? Czy też jakie kolory nie pasują do mojej karnacji? Nawet ja sama tego nie wiem.

— Przymierzę wszystkie — oznajmiam.

A potem, idąc za nią do przymierzalni, postanawiam, że po prostu zatrzymam je wszystkie, nawet te tandetne szorty, które odsłaniają zbyt dużo ciała. Któż miałby mi w tym przeszkodzić? Kogo to obchodzi?

— Proszę zadzwonić, kiedy będę potrzebna — mówi ko-

bieta. Powiesiła stroje na dwóch wieszakach, swetry uło-

żyła porządnie na fotelu.

Ledwie drzwi się za nią zamknęły, sięgam po wieczorową suknię z szyfonu, ozdobioną na dole strusimi piórami. Nigdy przedtem nie pozwolono mi nosić czerni, nigdy nie miałam prawdziwej sukni wieczorowej. Wsuwam

stopy w pantofle bez pięt na wysokich obcasach. Potem staje, przed lustrem i przyglądam się swojemu odbiciu. Wykręcam głowę i spoglądam przez ramię.

— Puk, puk — słyszę głos sprzedawczyni — jada płasz-

cze. Dżentelmen mówi, że mu się spieszy. Ojej! — wy-

krzykuje, zatrzymując się w drzwiach i patrząc na mnie.

Odwracam się do niej i unoszę głowę. Rozpuściłam swój kucyk. Teraz włosy, czarne i lśniące, spływają mi na jeden policzek.

— Krawcowa do ewentualnych poprawek już czeka —

mówi sprzedawczyni. Wymuszone, sztuczne zachowanie

gdzieś zniknęło. Teraz spogląda na mnie właściwie. — Czy

będzie sobie pani życzyła, żeby ująć z cal lub dwa w talii?

Sięgam po płaszcz z wielbłądziej wełny, nakładam na siebie, gładzę futerko kołnierza i mankietów.

— Można je zdejmować do czyszczenia — informuje ko-

bieta. — I płaszcz można zapinać pod samą szyję. O, pro-

szę. A w ten sposób wywinać kołnierz.

Płaszcz jest śliczny, nawet matka musiałaby to przyznać. Odwracam głowę, żeby obejrzeć się z tyłu, a potem znowu z przodu.

— Proszę wyjść na zewnątrz, żeby dżentelmen mógł panią zobaczyć.

Ja jednak wkładam dłonie do kieszeni płaszcza i spoglądam na nią w lustrze.

— Zatrzymam go — mówię. — Zatrzymam wszystko.

Proszę iść i powiedzieć to panu.

Po tym, jak zabrał mnie na zakupy, mój mąż czuje się mężem bardziej niż przedtem. Codziennie przychodzi do mojej kajuty, każdego dnia pieści mój kark, uszy, stopy.

Jednak kiedy przesuwa dłoń ku kolanom, siadam wyprostowana, a on skłania głowę. Wtedy słyszę śmiech matki. „Jakiż to mężczyzna skłania głowę przed dziewczyną?” — zakrzyknęłaby. „Zero! Błazen!”

Ja jednak powiedziałabym jej, że tutaj wszyscy, nawet kapitan, skłaniają głowę przed moim mężem. Zatrzymują go w korytarzu i pytają, czy wszystko jest tak, jak trzeba. Jest tu zaledwie dziewięcioro pasażerów — rodzina Brazylijczyków oraz my — i nawet oni chylą przed nim głowy. Mąż zaproponował, bym rankami dołączała do Brazylijczyków przy basenie, bo mają córkę w moim wieku, a i wkrótce będzie już za zimno na pływanie. Ale tamci aż się świecą od olejków i są hałaśliwi, tak że wolę spoglądać na nich z pokładu powyżej. Albo myszkować po statku na bosaka, jak chłopak.

Z wyjątkiem części mieszkalnej i basenu statek jest brzydki, a niższe pokłady wąskie. Na niższych pokładach jedynie łańcuch chroni człowieka przed wypadnięciem za burtę. Od czasu do czasu, kiedy przechodzę z jednego końca statku na drugi, huśtam się na łańcuchu i spoglądam na kipiące w dole morze. Od tamtego zejścia po trapie do motorówki pokochałam ten rodzaj niebezpieczeństwa, wręcz poszukuję go teraz.

Pewnego ranka, gdy właśnie tam jestem, wspina się do mnie ta brazylijska dziewczyna i siada obok. Wskazuje dłonią w dół, na marynarzy i mówi, którego by sobie wybrała, gdyby mogła. Wzięłaby tego niewysokiego, z włosami blond i bardzo zepsutymi zębami. Ja wskazuję na wysokiego kelnera z lekko zajęczą wargą,

czarnymi oczami i włosami. Kiedy przychodzi z tacą nad basen, nie może się powstrzymać, żeby nie spojrzeć w górę na mnie. Obserwuje mnie też w jadalni, a ja czasami odwzajem-

niam mu się spojrzeniem. O nim właśnie myślę, gdy ubieram się rano i gdy nakładam szminkę. Czasami, nocą, leżę naga na łóżku i wyobrażam sobie, że on przychodzi i mi się przygląda. Nie przypomina to w niczym tamtych snów o pospolitych ordynusach, które kiedyś śniłam. On jest kimś rzeczywistym, a ja jestem mężatką.

Po lunchu, kiedy wzmaga się wiatr i Brazylijczycy nie opuszczają swoich kajut, idę nad basen. Staję przy relingu, spoglądam w dół, w mroczną bruzdę wody podążającą za nami na północ. Jak mogłyśmy tak postępować, moja matka i ja, niby para kochanków? Przecież wcześniej czy później musiałabym znaleźć jakiś sposób, by mnie od niej zabrano. Czy raczej oderwano, tak jak się stało, niczym pawiana — w jednej chwili młoda samiczka wybiera ro-bactwo z sierści matki, w następnej piszczy porwana gdzieś w przyszłość.

W przyklasztornej szkole trzymałam jej zdjęcie na noc-nej szafce. Zupełnie jak gdybym miała dwie matki — tę z fotografii, która uśmiechała się do mnie jak normalna matka i trzymała za rękę podczas spaceru przez miasto w sobotni ranek, i tę drugą, z kluczami na kółku i z wście-kłym wrzaskiem. Kiedy przyjeżdżałam na weekend do domu, zabierałam ze sobą tę fotografię, stawiałam ją na nocnym stoliku i całowałam każdego wieczoru. „Przecież ona jest tutaj — mawiała Maude — po co więc mażesz tę szybkę?”

Chciałabym teraz mieć tę fotografię. Zaglądam w głę-boką bruzdę w wodzie i nie potrafię sobie przypomnieć jej uśmiechu. Jedyne, co pamiętam, to trzaśnięcie fronto-nych drzwi, kiedy wraca do domu z próby, dźwięk wła-śnego imienia, a potem głośniejszy, jeśli nie zareagowa-łam dość szvbko.

Powracam do terażniejszości, na statek posrebrzony popołudniowym słońcem. Gdyby tylko matka zechciała słuchać, powiedziałabym jej, że nawet jeśli już mam mę-ża, który skłania przede mną głowę i kupuje wszystko, co zechcę, ona zawsze jest przy mnie. Gdy spoglądam w lu-stro, ona stoi za mną i robi to samo. To ona decyduje, którą sukienkę wkładam na lunch, a którą do kolacji, ona mówi, kiedy wyglądam tandetnie, i to ona zabrania para-dowania w futrze, bo przecież ciągle jest na nie zbyt gorą-co. Nawet w takiej sytuacji unoszę ku niej twarz i uśmie-cham się.

Chcę, by wiedziała, że gdy znów wrócę do domu, wszystko będzie inaczej. Będę miała własne klucze i będę wchodziła i wychodziła, kiedy zechcę. Skoro ojciec przychodzi na kolację, powiem, to ja spędzę wieczór poza domem. Gdzie? Po prostu — poza domem.

Wracam do kajuty, przez moment szczęśliwa. Tam, w szafie, wiszą moje sukienki, zupełnie jak jej sukienki. Swetry też są złożone tak jak jej, podobnie rzędem ustawione pantofle. Jednak jej suknie szyte były na miarę, jedna po drugiej, przez najlepszego krawca w kraju. Materiały zamawiała w Anglii i zabierała je do krawca, kiedy jechała do Katzenboga. Co tydzień miała tam przymiarki, dopóki suknia nie leżała idealnie. A kiedy przywoziła ją do domu, całą owiniętą w bibułkę, wieszala ją w gotowni i dopiero po kolacji wyjmowałyśmy szpilki, rozwijały bibułkę i stawiały oniemiale z zachwytem.

Jakie, w porównaniu z czymś takim, mogły być moje sukienki? Nawet ta z czarnego szyfonu. Nawet mój płaszcz. Mogłyby być kupione dla kogokolwiek, dla byle jakiej prostytutki, noszącej rozmiar 34, gotowej uciec z mężczyzną, bo powiedział jej, że jest piękna.

Kiedy mąż przychodzi, żeby mnie zabrać na podwie-

czorek, wykrzykuję mu to wszystko. Ściągam ubrania z wieszaków i rzucam na podłogę, płaszcz też. Nienawidzę tego wszystkiego, co mi kupił, krzyczę, nawet tego płaszcza. Kiedy zaczynam rzucać pantoflami, podchodzi i unieruchamia moje ręce.

— Obiecano mi cię niemal od początku, od dnia, w którym się urodziłaś — mówi. — Jesteś moja od wielu, wielu lat.

Myśl o tej kradzieży staje się teraz dla mnie nieznośna. Podobnie jak salon odchudzania i misa z owocami, i indyjski targ, i moje niemądre zachowanie, kiedy siadałam na balustradzie werandy i porównywałam go do jakiegoś bóstwa.

— A kimże jest mój ojciec, by mógł mnie komuś obiecywać? — krzyczę. — Jest zerem! Jest królem zer!

Wrywam się, wpadam z trzaskiem drzwi do łazienki. Zamykam zasuwkę. Potem siadam na taborecie, zastanawiam się, co robić dalej. Zamknięcie się przed nim nie

wystarczy. On po prostu poczeka, aż wyjdę. Rozglądam się wokół. Jego kolorowy szlafrok ze szkockiej wełny jak zwykle wisi na drzwiach. Zdejmuję go z haczyka, rzucam na podłogę i depczę go.

Potem dostrzegam jego maszynkę do golenia. Wyjmuję żyletkę, podnoszę szlafrok i obcinam ozdobne frędzle przy pasku. Przecinam na pół sam pasek, tnę zamasyście przód szlafroka. Słyszę, jak drzwi kajuty otwierają się i zamykają, przesuwam zasuwkę i wyglądam. Nie ma go. Podchodzę do szafy i wydaję płaszcz, wieszam go na drzwiach. Potem obcinam guziki, piękne kościane guziki, i niosę je do jego kajuty, kładę mu na poduszce. Tam też zostawiam żyletkę. Następnie zarzucam sobie płaszcz na ramię, chwytam całe naręczce ubrań, tyle, ile zdołam

unieść, i niosę tylnymi schodami na pokład, do relingu obok basenu. U góry, w miejscu, gdzie się zwykle sadowię, stoi jakiś marynarz i pali papierosa, ale jest mi wszystko jedno. Przerzucam ubrania ponad relingiem i patrzę, jak fruną w dół, jak unoszą się przez chwilę na wodzie, by zniknąć ostatecznie w kilwaterze. A potem zamykam oczy przed pyłem wodnym. Unoszę twarz ku słońcu. — Widzisz? — mówię do matki. — Widzisz?

Kiedy mąż wraca z podwieczorku, leżę na łóżku, naga. Gdy pierwszej nocy zażądałam osobnych kajut, natychmiast polecił stewardowi, by to zaaranżował. Nie interesuje go, co myśli sobie steward, nie wzrusza go, co ktokolwiek o nim myśli. Przed pójściem spać zaryglowuję drzwi łączące nasze kajuty. W rzeczywistości mogłabym sobie to darować. On nigdy nie wchodzi bez pukania. I nigdy nie widział mnie bez ubrania.

Przygląda mi się w milczeniu. Gdybym siedziała teraz przy biurku, pisząc jak zwykle listy, pocałowałby mnie w czubek głowy i poszedł spać do swojej kajuty. Słyszałabym, jak guziki przesypują się dźwięcznie z jego dłoni do kosza na śmieci. I zrozumiałabym, że oczekiwał ode mnie czegoś gorszego. Spodziewał się, że będę błagała kapitałną, by zatrzymał statek, by wezwał policję, unieważnił małżeństwo i zwrócił mnie matce.

— Wiedziałem, że okażesz się piękną — mówi. — Znałem twojego ojca, a i widziałem matkę.

Podnoszę na niego wzrok. Nie mogę powiedzieć: „Moja matka nie jest piękna” — ponieważ przy nim nie potrafię o niej mówić. I wiem, że za wszystko należy winić ojca. Matka miała rację, ona zawsze miała rację. „Z wyjątkiem

śmierci — powiadała — nic nie pojawia się w życiu przez pomyłkę. Są ci, którzy są winni, oraz ci, którzy nie są. Pomyłek jednak nie ma".

— Jesteś piękną kobietą — mówi.

Te słowa straciły już dla mnie znaczenie. Odwracam głowę, rozpaczliwie naga pod jego spojrzeniem.

— Odejdź! — proszę. Jednak tak naprawdę, nie chcę, by odchodził, chcę walki. Odwracam się twarzą do ściany, a on podchodzi i siada na brzegu łóżka. Kładzie mi dłoń na biodrze, zaczyna głaskać bok, przesuwa palcami w dół ku talii, i z powrotem w górę, wyżej i niżej, aż dotyka mojej piersi i obejmuje ją, druga dłoń okrąża pośladek, muska udo. Gładzi mnie tak delikatnie, że z trudem utrzymuję otwarte oczy i siłą wyrywam się z tego głębokiego szlamu, w który się zapadłam. Odsuwam się od niego, podkurczając nogi.

— Pozwól mi trzymać tam dłoń — mówi.

Kręcę przecząco głową. Nie powiem mu dlaczego. Nawet gdybym potrafiła znaleźć właściwe słowa, nie mogła-bym wypowiedzieć ich w jego obecności. Przy kolacji mogę rozmawiać z kapitanem albo z głównym mechanikiem. Czasami rozmawiam też z tą brazylijską dziewczyną. Kiedy spytała, dokąd płynę z ojcem, nie poprawiłam jej. Powiedziałam, że udajemy się do naszej wielkiej willi z ogrodem i dwoma psami. Tyle że jej matka zawsze ją odwołuje, kiedy ona ze mną rozmawia. Podobnie robiła-by moja matka.

W Rio Brazylijczycy schodzą ze statku, a mój mąż musi udać się na ląd, na jakieś spotkanie. Wróci na lunch, mówi, i potem zejdziemy do miasta razem, zwiedzimy je.

r

Poprosił, żebym na czas jego nieobecności pozostała w kajucie i zamknęła drzwi na

klucz. Powiedział to z całym szacunkiem, poinformował też, że steward będzie na ko-rytarzu, gdybym czegoś potrzebowała. Wiem, że posta-wiono go tam, żeby nie mogła uciec. Jaki jednak sens miałyby taka ucieczka? Wszystkie moje dokumenty zamk-nięte są w sejfie. A poza tym dokąd bym poszła? I po co?

Kiedy tylko odszedł, otwieram drzwi i proszę stewar-da, żeby przyniósł mi śniadanie. Okazuje się, że to nie mój steward, ale mój kelner. Przyglądamy się sobie przez chwilę. Wreszcie każę sobie przynieść przypieczoną grzan-kę i szklanę soku z guawy, i herbatę.

Czekając na jego powrót, stoję pośrodku kajuty i patrzę w lustro. Jestem w szlafroku, różowo-kremowym, prze-wiązanym w talii. Nadal mam większość z tych rzeczy, które kupił mi mąż, ale teraz stały się zwykłymi ubrania-mi, nawet ten szlafrok, który wybrałam dlatego, że był jedwabny i drogi jak szlafrok matki. Odwracam się i prze-chylając głowę tak jak ona, odrzucam włosy do tyłu. Od-wiązuję pasek i pozwalam szlafrokowi zsunąć się z moich ramion. Jestem brązowa od słońca, mam pięknie wyrzeź-bione kształty.

Kiedy kelner puka, każę mu wejść. Zobaczywszy mnie naga, staje jak wryty, zamyka za sobą drzwi.

— Postaw tacę tam — mówię.

— Tutaj? — Teraz przygląda mi się zuchwale, moim pier-siom, biodrom. Uśmiecha się, ale ja dostrzegam, jak drga mu warga.

Korytarzem przechodzą jacyś ludzie, rozmawiają, po-krzykują. On zerka na drzwi, ja przyzywam go gestem dłoni. Nie obchodzi mnie, że ktoś mógłby wejść, nic mnie to nie obchodzi. Sięgam w górę, by odpiąć najwyższy gu-

zik jego kurtki. On sam pachnie potem i brylantyną, i smażeniną, a ja się śmieje., bo nie mogę rozpiąć guzika, dziurka jest zbyt ciasna. On nie śmieje się ze mną. Od-pycha mnie, a jego palce przebiegają w dół po guzikach na podobieństwo pająka. Zrzuca kurtkę, następnie koszu-łę, odpina pasek, pozbywa się butów, spodni, odrzuca wszystko.

A potem spogląda w dół na siebie tak, że i ja muszę tam spojrzeć. Wygląda dziwnie i nedorzecznie i mam ochotę się roześmiać. Wyciągam rękę, żeby go dotknąć, on jednak chwytą mnie za ramiona i pociąga na podłogę, pomiędzy te wszystkie części

garderoby. Przytrzymuje mnie tam, podczas gdy sam klęka i rozwiera kolanem moje uda.

— Poczekaj — proszę, ale on nie czeka. Zaczyna mnie bóść, bodzie mnie i bodzie, aż nie potrafię powstrzymać okrzyku. — Przestań! — wołam.

Przerywa na chwilę, dysząc przy tym jak pies. Potem jednak znów zaczyna, wciska się we mnie, wciska i wci-ska, aż czuję palący ból, stęka i wwierca się, i dźga jak jeden z naszych psów. Wbijam palce w jego ciało, żeby wytrzymać ten ból, złagodzić go na chwilę, nie udaje mi się to jednak, wobec czego proszę go, błagam, by przestał. I wreszcie on sam wydaje okrzyk, opuszcza głowę na moje ramię i uspokaja się.

Na zewnątrz ktoś gra na organkach. Kobiety się śmieją, czuję smród gnijących owoców, psujących się ryb. Teraz wstydzę się swojego krzyku, chcę mu to powiedzieć. Tymczasem on nawet na mnie nie spojrzy. Chcę prosić go o przebaczenie, nie mam pojęcia za co. Matkę również chcę prosić o przebaczenie. Kiedy o niej myślę, łzy napływają mi do oczu. Chciałabym jej powiedzieć, że nadal

należę do niej, nie do niego. Wystarczy spojrzeć, jak leży tam na podłodze, jak patrzy z krzywym uśmiechem w sufit, z tą swoją zajęczą wargą i błyskiem zębów. Jakże-bym mogła być na zawsze jego? Jestem zamężna. Mam męża.

Potem, kiedy to wszystko sobie przypominam, nagle dociera do mnie, że mój mąż chciał, aby to się wydarzyło. Że sam to zaaranżował.

ROZDZIAŁ CZWARTY

P

o Rio kelner znika. Nikt nie rozmawia ze mną na ten temat, a spytać nie mam kogo. Wszystko jest tak, jak przedtem, tylko mój mąż nie próbuje mnie już gładzić. W ogóle nie wchodzi do mojej kajuty. I nadeszły chłody.

Codziennie piszę do matki. Mówię jej, że mamy oddzielne sypialnie i że nocą rygluję drzwi do swojej. Opowiadam jej też o płaszczu i o ubraniach, i o butach, które wrzuciłam do wody. Chcę ją rozbawić. Chcę, żebyśmy śmiały się z niego obie.

Każdego ranka biorę z biblioteki kopertę i papier, po kilka kartek. Kiedy skończę list, zaklejam kopertę i wsuwam ją do zamykanej na błyskawiczny zamek kieszonki torebki. On bez wątplenia wie, że piszę listy. Zauważyłam, że od czasu, gdy do

mojego pokoju przyszedł tamten kelner, obserwuje mnie w zupełnie inny sposób, tak jak obserwuje się mrówkę wędrującą w górę i w dół żdźbła trawy. Być może czeka, że spojrzę na niego tak, jak spoj-rzałam na kelnera. A przecież za każdym razem, kiedy teraz pomyślę o tym kelnerze, odczuwam wstyd. I cieszę się, że zniknął. Był nieokrzesanym prostakiem i zupełnie nic dla mnie nie znaczy.

Kiedy tak płyniemy na północ, zaczynam się zastana-wiać, jaka też jest ta willa mojego męża. Matka wychowa-

ła się w domu z kortem tenisowym, szklaną oranżerią, z oszklonymi szafami bibliotecznymi i bzem w ogrodzie. A każdego sylwestra odbywał się tam bal. Podczas wojny jej pieniądze, podobnie jak ona sama, były ukryte. Nazi-ści przewrócili wszystko do góry nogami, żeby je odna-leźć, ale nigdy im się to nie udało. Ona natomiast je od-nalazła, tam gdzie wskazał jej ojciec. Pieniądze za krew, powiada, nigdy nie zastąpią tego, co zabrano. Nigdy.

A teraz odebrano jej mnie i jak ma mi to wybaczyć? Płaczę, pisząc do niej. Kiedy przychodzę na lunch, mam zaczerwienione oczy.

— Dziecko najmilsze — mówi mój mąż — jakże mam ci pomóc?

Odwracam wzrok. Jego głos jest łagodny, a słowa po-wodują, że mam ochotę się poddać. Chciałabym, żeby mnie objął, i chciałabym zasnąć w jego ramionach. Od czasu, gdy do mojej kajuty wszedł kelner, nie mogę za-snąć. Każdej nocy leżę na łóżku rozbudzona, a serce wali mi w piersi jak oszalałe. Wsłuchuję się w stukot pcha-jących nas na północ silników i myślę o matce, jak je w łóżku śniadanie w tej swojej satynowej lizesce. Albo nakłada sobie makijaż przy toaletce. Albo widzę ją w go-towalni, zawsze tak jasnej w porannym słońcu.

Jej stroje wiszą tam w doskonałym porządku — od naj-dłuższych do najkrótszych — i buty stoją w równym rząd-ku. Suknie przeznaczone na występy są w osobnej sza-fie—z karmazynowego jedwabiu z długim trenem i z czarnej tafty, i w kolorze kremowym, który w rzeczy-wistości jest bladym, bledziutkim różem, takim samym jak kolor mojego szlafroka. Wyglądają jak żywe, gdy tak wiszą z wypchanymi bibułką gorsami i rękawami, ze spódnicami na tle białego prześcieradła. Każdego tygo-

dnia słyszę, jak Maude podśpiewuje, wyciągając wszyst-kie, żeby je przewietrzyć. Czasami idę wtedy na nie po-patrzeć i wtedy wyobrażam sobie mamę ubraną w nie.

Zdarza się, że daje mi kluczyk do szufladki z biżuterią i pozwala wyjąć szkatułki i pudełeczka, otwierać je i wybrać coś do przymierzenia. Kiedyś niechętnie zostawiła tę szufladkę otwartą, a ja wyjęłam wszystko i jak zwykle włożyłam na siebie. Potem pomyślałam, że przymierzę jej suknię z tafty bez ramiączek i zdobione sztucznymi brylancikami pantofle na wysokich obcasach, z odkrytą piętą, tylko po to, żeby zobaczyć, jak będą wyglądać. Włożyłam też jej boa ze strusich piór i długie rękawiczki z koźlecej skóry, skropiłam skórę za uszami jej Madame Rochas. Przeszłam do łazienki, nałożyłam róż na policzki, pomadkę na usta, tusz na rzęsy, a wysoko na prawym policzku wymalowałam sobie pieprzyk. Kiedy matka wróciła do domu i zawołała mnie, wyszłam na podest i czekałam.

Potem uniosłam suknię i zaczęłam schodzić. Kiedy mnie zobaczyła, podniosła wrzask, który natychmiast sprowadził Maude. Wobec czego ja również zaczęłam krzyczeć, wszystkieśmy wrzeszczały.

— Przepraszam! — wołałam. — Przepraszam, mamo!

Ona jednak chwyciła mnie za ramiona i nie puszczała, ciskając słowami, ciskając nimi prosto w moją twarz.

— Złodziejka! Kokota! Dziwka!

W wieczór poprzedzający nasze przybycie do Ameryki mąż daje mi skórzane puzderko. Są moje osiemnaste urodziny.

— Otwórz — mówi. — Kupiłem ci to w Rio.

Wewnątrz znajduje się podwójny sznur pereł ze szmaragdowo-brylantowym zapięciem i kolczyki z pereł o kształ-

cie przypominającym łezki. Pereły są większe niż te, które ma matka. Są śliczne i lśniące i marzę o tym, by je włożyć. Zwracam mu jednak puzderko.

— Nie mam przekłutych uszu — oznajmiam. — Matka twierdzi, że jedynie pozbawione gustu dziewczęta przekłuwają sobie uszy.

Aha, powiada on na to, w niektórych krajach wszystkie kobiety mają przekłute uszy, nawet dziewczynki, nawet niemowlęta. Jeśli jednak zechcę, to on wymieni kolczyki na coś innego albo mogę kazać przekłuć sobie uszy, co będę wołała. Oddaje mi z

powrotem puzderko.

— Proszę, zatrzymaj to — mówi. — Nie musisz nosić, jeśli nie chcesz.

Tego wieczoru nakładam naszyjnik z pereł do kolacji. Wiem, że uda, iż tego nie widzi. Poprosi mnie tylko jak zwykle, bym po kolacji dołączyła do niego i do kapitana w salonie. Zazwyczaj wracam do kajuty pisać listy, tym razem jednak zgadzam się zostać i napić koniaku. Perły są ciepłe i ciężą jak kamienie, a ja mam ochotę ogrzewać w dłoniach lampkę z koniakiem.

Kapitan mówi o pogodzie. Jest podła i lotniska są zamknięte. A wiatr pogarsza jedynie sytuację. Z tym wiatrem nadejdzie koniec świata, dodaje.

Mój mąż nigdy nie wspomniał o płaszczu, od którego obcięłam guziki i który wrzuciłam do morza. Teraz zastanawiam się, jak sobie bez niego poradzę. Na zewnątrz wiatr pędzi wokół statku tumany śniegu, miota nim w okna. Jest ciemno, szaro i okropnie.

Wypijam łyk koniaku. Trunek pali ogniem moje gardło, uda, ogień spływa do samych kostek. Płoną mi po-

liczki, a kiedy mąż sięga po moją dłoń, pozwalam mu ją ująć.

Kapitan mówi, że mieszka na wyspie, na kanale La Manche, gdzie klimat jest łagodniejszy. Jego żona zajmuje się tkaniem, choć żadna z niej Penelopa, zapewnia nas o tym, ha, ha!

Oznajmiam, że nie znoszą zimy i zimowej odzieży. Trudno w niej oddychać, czuje się, jakbym była Eski-moską.

— Zima rozwiązała jej język — stwierdza mąż, ściskając moją dłoń.

Ma rację. Koniak pozwolił mi zapomnieć, że nie chciałam się przy nim odzywać. Pozwolił mi zapomnieć o wszystkim poza widokiem tych dwóch mężczyzn słuchających bacznie moich słów. Zatem opowiadam historię o płaszczu i o guzikach — każdy szczegół zniszczenia oprócz samej jego przyczyny.

Kapitan uśmiecha się, ale obserwuje jednocześnie mojego męża. Być może myśli sobie, że powinno się mnie ukarać, że mój mąż jest głupcem, jeśli tego nie zrobił.

— Penelopa to nudziara — mówię — z tym swoim tka-
niem i pruciem. Dlaczego po prostu nie zaakceptowała
jednego z zalotników? Albo wszystkich nie przegoniła?

Dla mnie to zupełnie bez sensu.

— „Niewiele da, gdy gnuśny król...” — mówi mój mąż.

— „Przy martwym palenisku...” — dodaję.

— Mów dalej! — woła. — Mów dalej!

Mówię więc dalej. Unoszę wysoko głowę i recytuję im cały poemat, całego Ulissesa, jak gdybym była na szkolnej scenie. Kiedy kończę, mąż woła do stewarda o więcej koniaku.

— Trzy — mówi, nawet mnie nie pytając.

Wypijam kolejny łyk. Już mi się kręci w głowie, żołądek mam ciężki od tremy. Próbuje wstać, powiedzieć dobra-noc, ale opadam ze śmiechem z powrotem na fotel. Mąż podaje mi ramię. Podtrzymuje mnie, prowadzi między stolikami, schodami i korytarzem do kajuty.

— Nie powinienem był ci dawać tyle koniaku — mówi,
ryglując drzwi zewnętrzne. — Niemniej cieszę się, że to
zrobiłem.

Rzucam się na łóżko i patrzę w górę na niego, i uśmiecham się.

— „Asyryjczyk runął niczym wilk na owczarnię”. —

Chciałam to powiedzieć od tego pierwszego dnia, kiedy
pojawił się w naszym domu. Wtedy jednak było to nie-
możliwe, zresztą przez cały ten czas było niemożliwe.

Siada obok i obejmuje mnie.

— Jesteś moja — mówi. — Czy to rozumiesz?

Kiwam głową. Ale nie rozumiem. Opieram się o niego

i zamykam oczy, i pozwalam, by ujął mnie pod brodę i pocałował w usta. Kładzie mnie na łóżku i zdejmuje mi pantofle, spódnicę, pończochy, zupełnie jakbym była ma-lutkim dzieckiem.

Obserwuję, jak on sam zdejmuje ubranie, patrzę na kręcone owłosienie na jego piersi, na nogach. Cały jest brązowy, krzepki i cudowny. Kiedy kładzie się obok mnie, jest miękki jak niedźwiadek i ciepły. Przeczesuję palcami jego włosy i wybucham śmiechem.

On też zdaje się śmiać. Po chwili jednak przesuwa ręką po oczach, a ja widzę, że płacze. Nawet mu nie przeszka-dza, że patrzę. Spogląda na mnie, jakby zadał mi jakieś pytanie.

— Zamknij oczy — mówię. I chociaż nadal płonę, unoszę się i opadam na niego. Śmieję się, gdy odrzuca głowę

i zaciska zęby i wkrótce mój ból staje się czymś na po-graniczu przyjemności, nagłą koniecznością, której po-wstrzymać nie sposób, której powstrzymywać nie mam ochoty. A potem on sięga po mnie i z szaleńczą siłą przy-ciąga mnie do siebie, unieruchamiając całkowicie, krzyczy:

— Wybacz mi! Och, wybacz mi, skarbie!

I wtedy właśnie przypominam sobie matkę i wiem, że jest już za późno, że pozwoliłam, by to się stało. Wyrывam mu się i zaczynam płakać, okropnie, spazmatycznie łkać.

— Skarbie — mówi on. — Chodź. Proszę.

Próbuję go odepchnąć, ale on jest bardzo silny. Owija się wokół mnie, przyciąga mnie do siebie i całuje.

— To wymaga czasu — mówi. — Obiecuję ci, skarbie, obiecuję ci, że będzie cudownie.

Cały czas świata jednak nie cofnie już tego, co zrobi-łam. Równie dobrze mogłabym być morderczynią. Mo-głabym pójść do więzienia i nigdy więcej jej nie widzieć. Miała rację, ona zawsze ma rację. On dokończył to, co zaczął tamten kelner. I teraz już na zawsze będę jego. •

ROZDZIAŁ PIĄTY

M

ówi się, że umierający są zazdrośni o życie. Tymczasem Nalia zazdrości jedynie zmarłym. Swoim zmarłym. Wścieka się na ich milczenie, wścieka się na siebie, że dała się wyrwać z tamtej potworności, skazując się tym samym na dożywocie. A przecież sama wówczas walczyła, by przetrwać. Żuła kawałek skórzanego paska, przelykała go, żuła i znów przełykała. W dzień wyzwolenia posłuchała Katzenbogena, kiedy ten powiedział: „Jedź powoli, po troszeczkę”. Choć jej wnętrzości szarpała bestia głodu, brała jedynie małeńki kęs, a potem czekała.

A teraz nie chce nic jeść. Ani pić. Maude siada na krzesle obok łóżka, obserwuje. Jeśli Nalia umrze, co stanie się z jej własnym życiem? Kto przyjąłby gospodynię zatrudnioną przez osiemnaście lat u wariatki?

— A co, jeśli wróci? — pyta Maude. — Nie będzie miała matki. — Powtórzyła te słowa kilkakrotnie.

— Głupia krowo! — szepce Nalia. — Zamknij się wreszcie.

— Karze pani w ten sposób własne dziecko.

— Zamknij się.

Maude już dwukrotnie udała się na nabrzeże, dwoma autobusami, a potem kawał drogi pieszo do mieszczącego się tam "biura ojca. Za każdym razem przegonił ją ten strach na wróble za biurkiem. Zatelefonowała nawet do

doktora Slatkina. Powiedział tylko: „Spróbuj coca-coli”. A potem, kiedy zadzwoniła do niego ponownie, powiedział: „Jeśli tego chce, niczego się nie da zrobić, Maude”.

— Zwolnij służbę. — mówi Nalia. — Wyjmij pieniądze z mojej zamkniętej szuflady i zapłać im za trzy miesiące.

Chcę, żeby jutro już ich nie było.

-A ja?

— Ty będziesz tutaj siedziała i patrzała, jak umieram.

— Niech pani nie będzie niemądra i wypije łyczek coca-

-coli.

Tak było w ubiegłym tygodniu. W tym tygodniu w po-koju unosi się słodkawy zapach śmierci. Nalia dostała dreszczy. Maude zamknęła zatem okna i zaciągnęła zasłony, żeby nie dopuścić z zewnątrz diabła śmierci.

— Przestań obracać tymi paciorkami, na miłość boską.

Klekoczą jak sztuczne szczęki.

Maude wsuwa różaniec do kieszeni fartucha i schodzi na dół na podwieczorek. Nikt nie odkurzył domu, nikt nie posprzątał ogrodu, nie ściął trawy. Wczoraj zadzwoniła pani Holmes, żeby spytać, czy nie szukają ogrodnika, może przysłać własnego, jeśli zechcą. Maude poinformowała ją, że pani jest chora i nie zniosłaby hałasu kościarki. Oddzwoni, kiedy poczuje się lepiej.

Ledwie Maude opuści pokój, Nalia z trudem siada. Opuszcza nogi z łóżka, chwytając się nocnej szafki, próbuje stanąć. Opada jednak na podłogę; będzie zmuszona się czołgać. Ściąga nocną koszulę przez głowę, po czyni odrzuca ją i pełźnie do przodu, na rękach i kolanach, kołysząc pierśmi. Kiedy dociera do łazienki, zatrzymuje się dla nabrania oddechu, nim pokona próg, a potem czołga się po zimnych kafelkach do toalety, dysząc przy tym jak pies.

Chwyta klapę sedesu obiema rękami, próbuje ją pod-

nieść, pcha ją i popycha, aż ta zatrzyma się wreszcie w pozycji pionowej. Wtedy opiera podbródek i ramiona na porcelanowej krawędzi. Trzęsie się teraz gwałtownie, nie-mniej unosi się wyżej, przechyla ponad krawędzią i sięga w dół, ku wodzie. Nie dosięga jej jednak, jest za daleko. Opiera policzek o porcelanę i przymyka oczy.

W końcu, być może, łatwiej jest żyć, niż umrzeć. Będzie po prostu musiała poczekać, jak wszyscy inni. Będzie musiała tu leżeć i czekać, aż ona po nią przyjdzie. I nawet wtedy, ten tchórz, ten morderca, będzie wiedział, że ta śmierć nie jest pomyłką. Będzie znał przyczynę.]

— Eeee! Pszepani! Aiiiiii! — Maude spada na nią jak sęp.]

Tak więc ostatecznie to Maude jest tą, która ją wykończy, \

rozedrze na strzępy i zabierze resztki. 1

— Zrób to — prosi Nalia. — Zrób to teraz. *

Jednak Maude dźwiga ją z podłogi i zanosi do łóżka jak

małe dziecko. Otula ją tam moherowym kocem i Nalia nie może nic na to poradzić — nie może odpędzić tego ciepła wokół własnego ciała, tej miękkości. Nie może powstrzymać się od oblizywania warg, kiedy Maude ociera je moką szmatką. A potem Maude jest przy telefonie, nakreca jakiś numer.

— Panie Braughton, mówi Maude, gospodyni pani Nalii. Bardzo proszę, pani jest bardzo, bardzo chora, proszę zadzwonić do ojca dziecka. Tak, mamy lekarza, ale nie chce przyjść. Proszę.

Braughton? Dlaczego Braughton? To on był tym, który uważał ją za gwiazdę, nawet kiedy była jeszcze nieznana, kiedy była nikim.

— Braughton nie zasłużył sobie na to — szepcze.

— Nikt sobie nie zasłużył — oznajmia Maude. — Nawet pani.

Kiedy przybywa ojciec dziewczyny, psy nie szczekają. Biegają za nim na górę, wprost do sypialni i na łóżko. On ujmuje jej dłoń, sprawdza puls, kładzie delikatnie z powrotem.

— Na miłość boską, Maude — mówi — rozsuń zasłony i otwórz okna. — Siada na brzeжку łóżka i odgarnia włosy Nalii z czoła, niczym kochanek. Mają siwe odrosty, do czego normalnie ona nigdy nie dopuszcza. — Nie waż mi się tego robić, Natalio — rzuca.

— Morderca!

Przygląda się tej wściekłej kobiecie, temu cierniowi we własnej wątrobie i, Boże zmiłuj się, jest bliski płaczu. Spodziewał się gniewu i wrzasków, i prawników.

Spodziewał się, że będzie przysyłać do jego biura Maude z błaganiami. Jednakże to, to właśnie... ponownie podnosi jej dłoń. Jest lekka jak rękawiczka. Skóra wisi luźno, lakier na paznokciach niemal całkowicie złuszczony.

— Natalio — mówi — zobaczę, co się da zrobić, żeby na powrót ją tutaj sprowadzić.

Ona usiłuje wyrwać dłoń, on jednak przytrzymuje ją mocno. Wobec tego ona odwraca twarz, zaciska powieki. Nic dziwnego, że ta kobieta wtedy przetrwała, zawsze tak uważał. Bezlitośnie wykorzystywał jej historię w stosunkach z innymi kobietami, zupełnie jakby sam ją napisał.

Rozgląda się po pokoju. Nie wchodził tu od dnia, kiedy dziecko przyszło na świat. Należałoby go pomalować. Tak jak i cały dom. Powinni też powyrywać bluszcz, położyć wszędzie nowy tynk i pomalować na białe. Ten dom z werandami i kolumnkami, i markizami w zielone pasy powinien lśnić jak okręt.

Nie może jej jednak tego powiedzieć. Nalii nic nie można powiedzieć.

— Jeśli uda mi się to unieważnić, będziesz miała ją z powrotem — oznajmia. Wie, że małżeństwo nie jest jeszcze małżeństwem. Odebrał telefon ze statku.

Nalia otwiera oczy.

— Morderca! — szepcze.

— Och, przestań już, proszę.. — Ostatecznie żadna to dla niego przyjemność. — To całe przedstawienie to tylko próżność, Natalio.

— Wynoś się z mojego domu!

Wstaje, a wraz z nim zrywają się psy.

— Idź za nim — Nalia poleca Maude.

Maude jednak nie wstaje z zielonego fotela i tylko patrzy za nim.

— Psy za nim pójdą — mówi.

— Wobec tego ciebie też zwalniam.

— No, no, taka jestem niedobra, co? — Maude sięga po swoją robótkę.

— Stajesz się bezczelna — mówi Nalia. — A wszystko to z jego powodu.

— Może herbatki? *.

— Owszem. Z cytryną, nie z mlekiem.

I tak to się skończyło. Najpierw, mniej więcej co godzinę, wędrowały na górę tace: herbata i coca-cola, i rosół. Po-tem przyszła kolej na sucharki, potem na kompot z jabłek, potem na gulasz z podrobów, Nalia prosi o lizeskę oraz dodatkowe poduszki, tak żeby mogła usiąść i przeczytać gazetę, Każe sprowadzić fryzjerkę i zgadza się, żeby pani Holmes przysłała swojego ogrodnika, chociaż już ona sama ma nie przychodzić, nikt nie ma wstępu do tego domu.

Każdego wieczoru telefon przy jej łóżku brzęka cichutko i Nalia wie, że to Maude w pokoju śniadaniowym nakreśla numer mordercy. Podnosi zatem słuchawkę i słyszy, jak tamta mu opowiada, co ona tego dnia zjadła, co zamówiła na jutro i że służąca wróciła, a ogrodnik nie.

Nic, nic już nie będzie tak jak trzeba. Nawet Maude przeszła na stronę nieprzyjaciół. A przecież jedyne, o czym Natalia jest w stanie myśleć, to jego słowa. „Jeśli uda mi się to unieważnić, będziesz miała ją z powrotem”, jest gorszy od psa — jest mordercą i złodziejem — ale ona musi teraz szukać nadziei nawet u psa. Tak się w życiu zdarza. Córce też się tak przydarzy i ona nic na to nie może poradzić, zupełnie nic. Niemniej, ach... ach, chce ją mieć z powrotem. Pragnienie życia jest niczym w porównaniu z tym, niczym. Czymże jest życie? Brzemieniem, próbą. Jeśli on ma rację, jeśli pragnienie śmierci jest próżnością, to ta chęć życia jedynie po to, by doczekać powrotu córki, jest bez wątpienia pasją. Niech ciska w nią jakimi chce słowami. Niech godzinami rozmawia z Maude przez telefon. Nie jest niczym więcej niż złodziejem i psem. Jest niczym. Jest królem nicości. Ale jest też tą jedyną osobą, która potrafi sprowadzić z powrotem jej córkę.

Kiedy już wstanie, ubierze się i zacznie schodzić na dół, będzie to tak, jakby wróciła z długiej podróży. Widzi, że wszystko jest zaniedbane i szare, każe zatem służącym zdjąć dywany i wytrzeć je na dworze. Daje Maude listę rzeczy do zrobienia. Przede wszystkim należy umyć i odpowiednio nawoskować podłogi. Wyczyścić ponownie do połysku mosiężne elementy schodów, ale tak, żeby nie zostały ślady stosowanego środka Brasso. Zdjąć i wyprać

zasłony. Abażury, pokrowce i poduszki z krzeseł w jadalni — wszystko ma być wyszczotkowane albo uprane, albo wymierzone i zastąpione przez nowe.

Teraz, kiedy Nalia nie leży już w łóżku, Maude musi chodzić do budki telefonicznej na rogu, żeby składać ojcu te swoje sprawozdania. Jednego popołudnia podjeżdża tam Nalia. Parkuje i trzyma dłoń na klaksonie tak długo, że ludzie wychodzą z domów, żeby sprawdzić, co się dzieje, a Maude musi odłożyć słuchawkę. Po tym wydarzeniu Maude nie wolno już wychodzić z domu.

— Albo rozmawiasz z nim, albo pracujesz u mnie —
oświadcza jej Nalia. — Nie możesz mieć jednego i drugiego.

— On chce jak najlepiej — stwierdza nadąsana Maude.

— Nie rób z siebie głupszej, niż jesteś — mówi Nalia.

Ostatecznie to Katzenbogen miał rację. Czy można komukolwiek zaufać? Ani Maude, ani zresztą nikomu innemu.

— On stara się ją dla nas wydostać.

— Idiotko! — rzuca ostro Nalia. — A niby kto, według ciebie, ją stąd wyciągnął?

Pierwszy raz od osiemnastu lat Nalia nie udaje się w głąb kraju. To może poczekać, mówi, podobnie jak ona sama. Od końca wojny nie wybiegła nigdy o jeden dzień w przyszłość, z trudem pozwalala sobie na zerknięcie w te zamglone rejony. Teraz jest przyszłości pełna, wyczekuje jej w każdej godzinie. Zapisuje to wszystko w notatniku, który trzyma w nocnej szafce. Kiedy wreszcie ponownie wyruszy, przeczyta to Katzenbogenowi. Pokaże mu, że teraz żyje w przyszłości. Jest w niej

zakochana.

Przez wszystkie te miesiące po wyzwoleniu, kiedy włóczyli się z miejsca na miejsce, a on bez końca perorował na temat przyszłości rodzaju ludzkiego, ona jedynie spoglądała na niego — wymizerowanego, obszarpanego, ochryplego — i wybuchła śmiechem. „Popatrz tylko na siebie — mówiła. — Popatrz na mnie”.

Teraz jednak idzie korytarzem do pokoju córki przepelniona nadzieją. Przekreca klucz i otwiera drzwi. Nic się tam nie zmieniło, nawet pozostawione ubrania wciąż leżą na zapasowym łóżku, podobnie jak te tandetne pantofle na korkowych koturnach, które córka tak chciała mieć. Otwiera szeroko drzwi szafy. Co miała na sobie, kiedy odchodziła? Jaką sukienkę? Jakie pantofle?

Siada na łóżku, tracąc nieco nadziei, odrobinę zaledwie. Na toaletce jest szczotka do włosów i torebka z lo-kówkami, pamiętnik i, och, ta fotografia w filigranowej ramce. Sięga po nią, trzyma na kolanach. Znowu tamten ból przeszywa jej serce. Serce rzeczywiście się kraje, myśli sobie. Kraje to stosowne słowo.

Dlaczego córka tak kochała tę fotografię? Co w niej widziała? Sobotnie ranki, herbata i bułeczka w Bon Marche? A potem szukanie pantofelków, piórnika do szkoły, stanika bez ramiączek? Czy to było całe dziewczęce szczęście? Czy niczym był fakt, że ona trzymała ją z dala od tego, co brzydkie i nijakie? Ze tak daleko razem zaszły? Tak daleko?

Patrzy na zdjęcie. Fotograf musiał je uchwycić, kiedy spieszyły na lunch do domu, córka odwraca się, by zerknąć w okno Cottama, chce, dla odmiany, czegoś tam jeszcze. Czy tak bardzo tego pragnęła, że aż musiała uciec? Czy Katzenbogen miał przez cały czas rację? Wcześniej czy później, powiedział, wcześniej czy później.

Odkłada zdjęcie na nocny stolik. Każe Maude zapakować wszystko, oprócz tej fotografii, w kartony, opisać je starannie i wstawić do piwnicy. Kiedy córka wróci, będą jej potrzebne nowe ubrania, dla dorosłej. Nalia znowu zabierze ją do miasta, matka i córka razem. Wszyscy je zobaczą, już Nalia tego dopilnuje. Zobaczą córkę, jak siedzi w pierwszym rzędzie podczas występu matki, tym razem bez Maude u boku. I będą wiedzieli, że powróciła z własnej, nieprzymuszonej woli, że jest tutaj, bo sama tego chce. Wszyscy będą wiedzieli, kto ostatecznie zwyciężył.

Broughton przyszedł kilkakrotnie z wizytą. Od samego początku to właśnie Broughton ostrzegał ją przed ojcem dziewczyny, ale czy ona go słuchała? Czy mogła

odpędzić mężczyznę, który przychodził do niej każdego wieczoru? A kiedy zaczął się wymawiać, a Braughton zasugerował, że może chodzić o inną kobietę — inne kobiety, tu i tam — czy wtedy mu uwierzyła?

Przez cały ten czas, jak utrzymuje Katzenbogen, wiedziała wszystko o ojcu dziewczyny i jego kobietach. Od zakończenia wojny, jak twierdzi, spędza życie na poszukiwaniu kary, ale cóż on może na ten temat wiedzieć? Bez wątpienia powiedziałby też, że ona chciała, aby ten złodziej przyszedł i ukradł jej córkę. Katzenbogen jest zdolny powiedzieć cokolwiek, byle ją obwinie, dosłownie cokolwiek. Z wyjątkiem śmierci nic nie pojawia się w życiu przez pomyłkę. Ale co on tam wie? Co prawda sam był w obozie, ale co on wie? " | |

ROZDZIAŁ SZÓSTY

S

prowadził mnie na wyspę, mamó. Przypłynęliśmy tu łodzią motorową, prosto ze statku. Zejście na ląd nie było łatwe, wszystko bowiem okrywała mgła. A potem, kiedy mgła się uniosła, kompletnie zapomniałam, jak sobie to miejsce wyobrażałam — willę i ogród, i psy — bo oczom moim ukazała się wyspa, stroma i wysoka, niczym wznosząca się z morza góra. Samo morze wokół było spokojne, słońce świeciło ostro, w oddali kołysały się łodzie. Pomimo to było zimno, lodowato zimno i wiał silny wiatr.

Kiedy opowiadałaś mi, mamó, o zimie, myślałam jedynie o najjaskrawszej bieli, o pokrywającym wszystko śniegu, czystym i rozkosznym, oraz o tobie, siedzącej na ławeczce w oknie wykuszowym z twoją babcią, jedzącą po kolacji parujący pudding. Tutaj jest zupełnie inaczej. Jest pusto i nago, a także mroczno i wilgotno, a on mówi, że nigdy nie pada tu śnieg.

Na szczyt góry pojechaliśmy naziemną kolejką linową. To jego prywatna kolejka i jego prywatna wyspa. Wagonik kolejki wyposażony jest na podobieństwo staromodnego przedziału kolejowego. Siedzenia pokryte zielonym aksamitem, zasłonki i perski dywan. Spoglądając w dół, można zobaczyć odsunięty od brzegu rząd domów — małe, bielone domki z dachami z blachy falistej i otoczony-

mi murkami ogródkami od tyłu. Jeden, nad samą wodą, jest wyższy od pozostałych, pokryty jest dachówką i ma balkony. Spytałam o ten dom, ale udał, że mnie nie słyszy. A potem miasteczko znikło nam z oczu, znaleźliśmy się w górnej partii

zbocza, całkiem nagiego, jeśli nie liczyć paru karłowatych drzewek i głębokiej, zalesionej rozpadliny, przecinającej górę.

Na szczycie wszystko wyglądało inaczej. Jest tu płasko i zielono, i jest też cieplej. Ocieniona aleja prowadzi od stacyjki kolejki do bramy willi. Na nasze przybycie czekał land-rover, ale bez trudu moglibyśmy przebyć ten odcinek pieszo. Chciałam zresztą iść, on jednak powiedział nie, będzie jeszcze mnóstwo czasu na spacer. Wobec czego pojechaliśmy, ogromna ogrodowa brama otworzyła się i zamknęła za nami automatycznie.

Sam ogród, mamó, wielki jest niczym park; wzdłuż parkanu rosną palmy, są tam też trawniki oraz fontanna. Po obydwu stronach podjazdu rosną gęsto szerokolistne drzewa. Przypominają mangowce, tyle że liście są bardziej owalne, a owoce — niewielkie i pomarańczowe — wiszą w kiściach jak daktyle. Kiedy wjeżdżaliśmy, dostrzegłam dwa białe króliki siedzące w rozgałęzieniu konarów jednego z drzew. Naprawdę je widziałam, kiedy jednak spytałam o nie, on uśmiechnął się tylko. Jeśli nie ma ochoty mi czegoś powiedzieć, zachowuje się tak, jak gdybym mówiła językiem, którego nie rozumie.

Jeśli chodzi o samą willę, z ogrodu widać jedynie maślane drzwi frontowe pod kamiennym sklepieniem i opatrzone okiennicami okna po ich obydwu stronach. Kiedy się wejdzie do wnętrza, dom okazuje się ogromny, jest zbudowany na samej skale, a stok górski ucieka spod niego w dół. Okna wszystkich pomieszczeń, poza kuchnią

i jego gabinetem, wychodzą na morze po drugiej stronie góry. Kiedy wygląda się przez nie, odnosi się wrażenie, że ogrody od frontu w ogóle nie istnieją, bo jest tam równie nago i ponuro jak w drodze na szczyt. Sama willa jest również ponura, z tymi swoimi kręconymi korytarzami i kamiennymi schodami oraz ogromnymi posępnymi pokojami.

Mam dla siebie amfiladę pokoi — sypialnię, salonik, gabinet. Sypialnia jest nawet większa od twojej. Wyblakła i pełna ozdóbek, pachnie stęchło, jak stara kobieta. Kiedy mu to mówię, śmieje się. Uważa może, że mogłabym być zazdrosna nawet o jakąś staruszkę, ale przecież nie jestem. Jestem zazdrosna jedynie o odległość, jaka dzieli ciebie i mnie, odległość, która obecnie wydaje się większa niż cały świat.

Natychmiast po przybyciu poprosiłam go o pokazanie mapy, żeby zorientować się, gdzie jestem. Przyniósł mi jedną i rozpostarł na stole, ale widniały na niej jedynie

wyspy i morskie głębiny, i prądy — byle głupiec zorientowałby się, że to mapa morska. Wykrzyczałam mu to, po-darłam ją, podeptałam i zażądałam właściwej mapy. On tylko kręcił głową. Są setki wysp takich jak ta, oznajmił, niemożliwością jest odróżnić je od siebie.

I w ten sposób w ogóle nie wiem, gdzie jestem. Ale gdziekolwiek to jest, za bardzo się od ciebie oddaliłam, mamo, bo już nie stoisz za mną. Na początku myślałam, że milczysz, bo jesteś zła. Ale potem przyszło mi do głowy, że przecież zawsze jesteś zła, więc musiałaś umrzeć. I wtedy zaczęłam gorzko płakać, zamknęłam drzwi na klucz i nie wyszłam, gdy on pukał. Oznajmiłam, że z pomocą ojca cię zamordował, a i ze mnie zrobił morderczy-nię. Zawołał przez drzwi, że miał wiadomości od ojca.

Czujesz się dobrze i wszyscy w domu czują się dobrze. Teraz jest mi jeszcze gorzej. Jestem zazdrosna o twoje dobre samopoczucie, a i zła jednocześnie. Próbuję ci to wszystko napisać, lecz muszę na nowo nauczyć się od-najdywać słowa. W domu, kiedy robiłam w pamiętniku zapiski, było to tak, jak gdybyś ty czytała w trakcie mo-jego pisania, jak gdybyś śmiała się i mnie ganiła. Teraz natomiast milczysz. Ty czujesz się dobrze, a ja ponoszę karę.

Siostra Benedykta miała rację. Zawsze mówiła, że mo-ja duma zostanie kiedyś ukarana. Gdy rozmawialiśmy

O cierpieniach Chrystusa, podnosiłam wysoko głowę, zupełnie jakbym wszystko o tym wiedziała. Nawet teraz ni-gdy nie proszę męża o coś, czego potrzebuję. Jeśli cho-dzi mi o notatnik do robienia zapisków, to mówię mu, że miałam w domu pamiętnik oraz wieczne pióro z szeroką stalówką i ze specjalnym karmazynowym atramentem, które przywiozłaś mi z głębi kraju. I wtedy, kiedy wraca następnym razem z kontynentu, znajduję te rzeczy — no-tatnik, pióro i atrament — na stole. Ale jestem zbyt dum-na, by je po prostu wziąć. Zostawiam je zatem na miej-scu, na dzień czy na tydzień, nawet ich nie dotykam.

A potem, kiedy nie widzi, zabieram je do swojego pokoju.

1 wtedy dopiero otwieram notatnik, wacham śliczny, świeżutki papier i napełniam pióro atramentem,

Tutaj wszystko należy do niego, nawet te psy. Jeśli za-wołam je do swojego pokoju i zamknę drzwi, siedzą z no-sami wciśniętymi w szparę i skamlą, żeby je wypuścić. Pragną jedynie leżeć u jego stóp i lizać buty. On mówi, że przyzwyczajają się do mnie i że wiosną będą też kwiaty i ptaki i że słońce będzie gorętsze, niżbym sobie tego ży-czyła. Co nie znaczy, że na trawniku pojawią się ibisy, że

cykady będą koncertować w jacarandach. Nie będziemy mogły, ty i ja, zasiąść sobie na werandzie i obserwować, jak zbiera się popołudniowa burza.

Daleko na morzu widać łodzie, wolne i szczęśliwe, a co kilka dni pojawia się też statek. Oglądam je z tarasu, spo-glądam na nie z góry, tak jakby one mnie stamtąd widzia-ły. Nawet gdyby tak było, cóż mogłyby zrobić? Co chcia-łabym, żeby zrobiły?

Od tamtej nocy na statku nigdy więcej nie wpuściłam go do swojego pokoju, on też nigdy o to nie poprosił. Jed-nak po sposobie, w jaki na mnie patrzy, widzę, że czeka. Obserwuje mnie przez cały czas. Zatem unoszę wyżej włosy i pozwalam im opaść swobodnie. Odsuwam krze-sło i wyciągam nogi przed siebie. Nauczyłam się, jak pod-kręcić ogrzewanie, dzięki czemu mogę chodzić po willi w szortach i boso. Dwie siostry, które tu pracują, demon-stracyjnie wachlują się i narzekają, ja jednak nie zwrac-am na nie uwagi, a on w ogóle się nie odzywa.

Te dwie pojawiają się codziennie wcześnie rano i od-chodzą po kolacji. Są bardzo brzydkie, szczerbate i farbu-ją włosy na czarno. Wiem, że śmieją się za moimi plecami. Kiedy mówię mu to, oznajmia, że nie śmieją się ze mnie, że śmieją się z niego, ponieważ ma młodą i piękną żonę. Po tym śmiechy jednak milkną i w willi panuje ci-sza, przerywana jedynie odgłosami sprzą-tania i hałasami dobiegającymi z kuchni.

Kiedy go nie ma, mam, ta cisza jest wręcz straszna. Z początku spałam całe dnie i noce, budząc się tylko, kie-dy jedna z sióstr pukała do drzwi, żeby powiedzieć, że lunch czeka. Potem, po lunchu, spałam aż do kolacji. Od tego spania stawałam się jeszcze bardziej zmęczona. Wę-drowałam korytarzami, zaglądałam do różnych pomiesz-

czeń, ale nie miałam ochoty dowiedzieć się o nich nicze- j1

go. Czekałam jedynie na jego powrót."A

Zawsze poznaję po zachowaniu psów, kiedy on ma wró- ' cić. Podchodzą do drzwi frontowych i leżą tam, czasem \ całymi godzinami, czasami całe dni. A potem, gdy usły- i szę ich szczek, gdy usłyszę jego samochód na zwirowym .! podjeździe, biegnę do okna w hallu, żeby patrzeć, jak wy- 15 siada. Właśnie w taki sposób przyglądałam się chłopcom ' przez okno samochodu. Czego ja wtedy szukałam, mamó? Chłopca? Czy idei chłopca? Kiedy widzę go tam, na pod-jeździe, w kapeluszu i szaliku, też nie wiem, czego szu-kam teraz. Wiem jedynie, że nawet jeśli on jest niczym — nawet jeśli jest królem nicości — nic na to nie poradzę, mamó, że cieszę się, gdy go widzę.

Dziś jest niedziela i on zamknął się w swoim gabinecie. Ty i ja udałybyśmy się nad rzekę posłuchać śpiewu Afry-kanów. A potem na wybrzeże na lunch. Ja zamówiłabym kanapkę z langustą, a ty sery i krakersy i pełen dzbanek herbaty. Kiedy wzmógłby się wiatr, założyłabyś siatkę na włosy i wyszłabyś na taras, żeby popatrzeć, jak pływam w hotelowym basenie.

W niedzielę on zawsze słucha muzyki. Zwykle są to so-naty Beethovena, dzisiaj natomiast pieśni Schuberta. Skra-dam się tam i cichutko siadam na podłodze pod drzwia-mi, żeby posłuchać. Musi wiedzieć, że tam jestem, bo psy zawsze to wiedzą. Niuchają pod drzwiami. A przecież nie wychodzi do mnie. Mówi, że chce, bym robiła to, na co mam ochotę.

Teraz, słuchając, jak głos śpiewaczki wznosi się i wzno-si coraz wyżej, przymykam oczy i wyobrażam sobie, że

leżę z naszymi psami pod fortepianem w domu, obser-wując twoją uniesioną nad pedałem stopę. Cóż w tym było takiego strasznego, mamó? Codziennie zadaję sobie to pytanie, ale odpowiedzią są tylko te pokoje w tym dziw-nym zimowym miejscu.

Nie odczuwam już w ogóle głodu i moje ubrania stały się za luźne. Musiałam poprosić go o agrafkę, żeby nie opadały mi spodnie. Zapomniałam nawet, co to znaczy tęsknić za pieczonymi przez Maude babeczkami z dze-mem czy mieć ochotę na dokładkę jagnięcego curry. Kiedy mnie pyta, jakie dania lubię, też już tego nie pamiętam. „Curry — odpowiadam — i babeczki z dżemem". Nastę-pnego dnia, albo po dwóch dniach, na lunch jest kurczak w curry i jakieś tam ciasto z jagodami. Jednak ani trochę nie przypominają naszych, a poza tym i tak nie mogę jeść, kiedy on patrzy. Czasami, nocą, gdy siostry już sobie pój-dą, a jego nie ma, schodzę do kuchni

i znajduję sobie puszkę soku pomidorowego i orzechy nerkowca. Zabie-ram je do swojego pokoju. A potem, następnego dnia, na stole stoją miseczki z orzechami nerkowca, dzban z pomi-dorowym sokiem.

Otwierają się drzwi gabinetu i on staje nade mną.

— Nie wejdiesz, Theo? — pyta. Sięga w dół po moją dłoń. — Chodź — mówi, stawiając mnie na nogi i prowa-dzi do pokoju.

Och, mamó, jak tam jest ślicznie! Pachnie skórą i cyga-rami, i psami, a w świetle lampy wszystko wydaje się zło-ciste. Na ścianach wiszą ryciny, stare ryciny przedstawia-jące tubylców w strojach plemiennych, a na jednej lwica wgryza się w martwą zeb-kę. Nawet zasłony przypomina-ją nasze — wyblakły od słońca kwiecisty len. Są też per-skie dywany i śliczna skórzana sofa.

— Rozpalić w kominku? — pyta.

Ale we wnętrzu już jest ciepło, przytulnie w świetle lampy. Na gzymsie kominka stoi hebanowa podkładka na zapal-ki, inkrustowana kością słoniową, zupełnie jak na-sza. Obok stoi fotografia w srebrnej ramce. Biorę ją do światła. Widzę na niej ojca oraz jego, obaj są młodzi, obaj jak tubylecy smagli. I nagle powracasz, stajesz za mną i szepcesz: „Pinkerton i Sharpless! Ha!” — odwracam na-wet głowę, żeby cię zobaczyć. Śmieję się nawet.

— Tanganika — mówi — kiedy jeszcze była Tanganiką.

I ni stąd, ni zowąd, chcę się tam znaleźć. Tanganika.

— Czy nie możemy tam pojechać? — mówię, powstrzy-mując łkanie.

Słyszę, że głos mój brzmi po dziecięcemu, domagam się czegoś, czego mieć nie mogę, odwracam się zatem, by wyjść, choć za nic nie mam ochoty opuszczać tego poko-ju. Mam ochotę go poprosić, żeby wstawił tu dla mnie łóżko. Chcę, żeby zamykał mnie tutaj, kiedy będzie wy-jeżdżał. Tutaj, mamó, mogłabym czekać przez całą zimę i mogłabym czuć się szczęśliwa.

Bierze fotografię i odstawia na miejsce. Potem podaje mi miseczkę z orzechami, otwiera znajdujący się obok kominka barek, a ja widzę tam rzędy wiszących kluczy, błyszczących i znajomych.

— Napijesz się koniaku? — pyta.

Kręcę głową, a on podchodzi i ujmuje moją twarz w dłonie. Patrzy na mnie tak, jak patrzył podczas kolacji tamtego pierwszego wieczoru, a jeszcze wcześniej na werandzie.

— Jedyne, czego chcę — oświadcza — to żebyś była szczęśliwa. .

Wiem, że rozśmieszycie cię to, ale ja mu wierzę. Nie wiem, kim jest ani dlaczego chce mnie uszczęśliwić, nie-mniej pozwalam, by poprowadził mnie do tej sofy i ułożył na niej.

Kłękam u moich stóp, zaczyna je gładzić i całować. Całuje też moje łydki i uda, a ja go nie powstrzymuję. Pozwalam mu podnieść spódniczkę. Pozwalam się całować i dotykać gdziekolwiek tylko zechce. Pozwalam, by mnie przygarnął do siebie, trzymał tak długo, aż ja sama będę zmuszona go pochwycić za włosy.

— O tak! — wykrzykuję. — Tak! Tak! Tak!

Potem zostaje ze mną w domu dłużej. I każdego dnia, kiedy tutaj jest, idę do jego gabinetu, czasami dwukrotnie, czasem częściej. Nie potrafię się powstrzymać. Proszę go, żeby rano nie brał kąpieli, bo lubię, gdy jego zapachu nie zakłóca to dziwne wyspiarskie mydło. Upijam się jego wonią i jego straszliwym pragnieniem, i własnym też. Jeśli pomyślę o tym w nocy, leżę rozbudzona, czekając na rano. Nie pójdę jednak do jego sypialni, nie przyjmę go też w mojej. Chociaż jestem jego żoną, to nie jako żona chodzę do jego gabinetu. Raczej jako ktoś, mam, kim nigdy przedtem nie byłam, nawet w snach. Kiedy jestem tam z nim, jestem szalona i zachłanna. Jestem bezradna i niecna, i bezwstydna. A ojciec myli się. Cuchnące bagno to nie małżeństwo. Małżeństwo jest tam, w tym gabinecie. Zresztą czy nie jest ono zawsze jakąś formą kradzieży? Ktoś kogoś zabiera, ktoś inny zostaje. Ale tam jestem i zawsze będę jego. I wiem, że nie ma powrotu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

N

Alia przejeżdża szybko torem wyścigowym i pędzi w górę. Wzgórza, wyżej i wyżej, starając się, jak zwykle, by zaskoczył ją widok domu, taki, jakim ujrzy go córka. Malarze już skończyli swoją robotę, są nowe markizy, palmy przycięte, a wzdłuż parkanu kwitną kanny. Istna doskonałość. To właśnie córka zapisze w swoim

dzienniku. Napisze: „Dom jest samą doskońcałością, połyskującym białym zamkiem”. Napisze: „Jestem w domu i jest doskonale”.

Nalia trąbi na Maude, żeby otworzyła garaż. Może powinny na Boże Narodzenie i Nowy Rok wyjechać w góry, uciec od tych tłumów, które w wakacje zjeżdżają na wybrzeże. Wie, że córka może woleć zostać na miejscu, pośród tych tłumów, że dorośnie i być może zechce mieć własne życie. Nalia zapisała nawet te słowa w swoim notatniku, po to, żeby spróbować w nie uwierzyć. Napisała je i przeczytała, ale wciąż nic nie znaczą. Pozostają jedynie słowami.

Maude rozciąga sznur od telefonu, by sięgnąć do okna.

— Panie — mówi — pani na mnie trąbi.

— Cóż, niech sobie trąbi.

— Ale, panie, jak mam jej powiedzieć?

— O dajże spokój, Maude, nie zaczynaj od nowa.

Maude wpatruje się w tarczę telefonu. Gdyby dziewczyna po nią poszła, pojechałyby, a Nalia mogłaby sobie

robić, co by chciała; jeśli o nią chodzi, to mogłaby nawet spalić ten dom.

Odkłada słuchawkę i spieszy do bramy, zdejmuje kłódkę. Ostatnio przekłada ją jedynie przez łańcuch i w ogóle nie zatrzaskuje. Jaki był zresztą pożytek z tego zamykania i otwierania? Ten obcy przyjechał i kiedy zechciał, w chwilę przeciął łańcuch. Teraz sobie myśli, że to nie był zły człowiek. Wtedy też mogła tak pomyśleć, ale była za głupia, od samego początku wierzyła we wszystko, co mówiła Nalia. Skąd miała wiedzieć, co myśleć? Kiedy przyszła tu pracować, była młodsza, niż dziewczyna jest teraz. Szesnastoletnia, nieokrzesa kolorowa wieśniaczka. Skąd więc miała wiedzieć?

— Pszepani?

— Zamknij garaż na klucz, proszę — mówi Nalia, idąc ku bramie.

Kiedy tylko córka wróci, ona sama uda się ponownie w głąb kraju, postanawia. Brakuje jej tamtego kurzu w nozdrzach, a także widoku gór, sinych w oddali, noclegu w hoteliku i przyjemności, jaką daje długa jazda do domu. Ma już pełen

notatnik zdań, które zamierza przeczytać Katzenbogenowi. Zasiądą w jego małym pokoiku, będą pić mocną kawę, ona będzie czytać, a on słuchać. A po-tem, gdy przyjdzie do niej do hotelu i rozciągnie swoje nagie ciało na łóżku, żalostny jak martwy królik, wtedy powie jej, co myśli.

Stół nakryto na dwie osoby; tego wymaga Nalia przed każdym posiłkiem. Maude musi też na dwie osoby gotować i każdego ranka zmieniać kwiaty, piec dwa razy na tydzień. Kiedyś Maude czekałaby na dziewczynę tak jak Nalia, zapalałaby dla niej co wieczór świecę. Ostatnio jednak myśli o własnej przyszłości. Myśli z niecierpliwością,

wręcz z desperacją, kiedy tak stoi, czekając, aż Nalia skończy jeść marynowaną rybę.

— Pszepani? , .

-Tak?

— Muszę pani coś powiedzieć.

Nalia kładzie nóż i widelec. Powinna była odprawić Maude razem z pozostałymi, ale była zbyt osłabiona — słaba i głupia, stara kobieta, która nie potrafi o siebie za-dbać, nawet po tym wszystkim, co przeżyła.

— Wykrztuś wreszcie — mówi. — O co chodzi?

Maude cofa się tyłem ku drzwiom.

— Dziewczyna spodziewa się dziecka. Jej ojciec kazał to pani powiedzieć.

Nalia przechyliła głowę, obraca się powoli na krześle, wbija wzrok w Maude.

— To dlaczego nie powie mi tego sam?

Maude zna odpowiedź: tamten jest tchórzem i złodzie-jem, i wrogiem. Ona wie, że Nalia ma rację, zawsze miała rację, chociaż jest wariatką. Ale teraz, za chwilę, rzuci tą szklanką albo rozedrze na piersi sukienkę, tak że guziki pofruną na wszystkie strony. Pewnego piątkowego popo-ludnia, kiedy Maude przyszła do domu ze szkoły i powie-działa, że dziewczynka nie czekała jak zwykle przy bra-mie, Nalia rzuciła w nią słoiczkiem kremu do twarzy, ale trafiła w lustro i rozbiła je. Maude sama musiała dzwonić do matki przełożonej, żeby dowiedzieć się, co się stało. Okazało się, że po

prostu musiała zostać w kozie za zu-chwałość. Siedem lat pecha bez powodu.

Nalia odsuwa krzesło i wstaje, dla zachowania równo-wagi opiera się o stół. Potem, na tę jedną chwilkę zgęst-niałej ciszy, jakiej zawsze potrzebowała przed wyjściem na scenę, przymyka oczy. Czymże jest jej życie, jeśli nie

ciągami takich chwil, kiedy jest pół żywa, pół martwa? Czy nie opierała się temu zeru przez wszystkie lata... ach, bo inaczej kimże by się stała? Gorszą od najędźniejszej niewolnicy. Zamiatalaby z podłogi pozostawiane przez niego odpadki. Sama stałaby się niczym.

— Poczekam — mówi, wzdychając w słuchawkę. — Pro-szę mu powiedzieć, że będę czekała tak długo, jak będę musiała.

Jest odwrócona do Maude plecami, spogląda na ogród. Ten dzień, kiedy dał jej akt własności tego domu, spędza-łi na jachcie, poza zatoką, na otwartym morzu. Tam, przy sterze, wyglądał niczym Neptun, kiedy wiatr zdmuchi-wał do tyłu jego ciemne kręcone włosy. Wskazał jej ręką dom, wysoko na wzgórzu, ale nie była w stanie dojrzeć go z tak daleka. „Tam — mówił — tam! Naprawdę nie wi-dzisz?” Jednak im bardziej się starał, tym bardziej ona się śmiała. Omal nie wypuściła aktu własności, śmiejąc się z przerażenia na samą myśl o tym, że mógłby porwać go wiatr, pierwszy raz od wojny pragnęła zrobić krok w przyszłość. Chciała być szczęśliwa.

— Tak, Maude mi powiedziała — mówi do słuchawki. —

Kiedy? Gdzie?

Maude obserwuje ją od drzwi. Zazwyczaj ludzie, któ-rzy cierpią, wysychają na wiór, Nalia jednak ma skórę młodej kobiety, młodszej nawet niż jej córka. Bo dziewczyna jest śniada i mocna jak ojciec, natomiast matka jest jasna i gładka. Kiedy Maude przyszła pierwszy raz do pra-cy, to najpierw dostrzegła właśnie tę skórę, potem głos, a wreszcie to, że Nalia śmieje się w zupełnie nieodpowied-nich chwilach.

A potem, nagle, Nalia zgina się w pół, pada na podłogę, pociągając za sobą aparat telefoniczny.

— Pszepani! — Maude biegnie do niej. Klęka obok, obej-

muje dłonią brodę Nalii. — Pani!

Powieki Nalii drgają.

— Obudź się! — krzyczy Maude. — Wsiądziemy na statek i popłyniemy do niej! Pani, obudź się!

Nalia jednak chce tylko spać. Słyszy Maude, a także kosiarkę i wołający w słuchawce głos tego zera. Słyszy to wszystko, chociaż śpi snem tak głębokim, że nic, nawet pożar, nie byłby w stanie jej obudzić. Kiedy Maude wykrzykuje do niej, odczuwa to jak ból, jak śmierć. Usiłuje jej to powiedzieć, ale jest zbyt ociężała, by wymówić choć jedno słowo, zbyt ociężała, by unieść dłoń. Tutaj, kiedy tak leży, ma wreszcie spokój, którego zawsze pragnęła, rozkoszny, zniewalający i błogi. Za nic nie chce, by się skończył.

ROZDZIAŁ ÓSMY

M

ój mąż jest kuzynem ojca. Co więcej, powiada, że wyglądam dokładnie tak jak jego matka. Wszystko u mnie mu ją przypomina, nawet sposób, w jaki oplakuję to, co pozostawiłam za sobą. Jego matka błagała, by odesłano ją do jej ojczyzny, ale jego ojciec oświadczył, że to niemożliwe. Po śmierci ojca mój mąż postanowił sam ją tam zawieźć. Złożył prośbę do władz, zapłacił dużą sumę pieniędzy. Jednak ona umarła tuż przed wyjazdem. Kiedy mi o tym opowiada, w oczach ma łzy.

Proszę, by pokazał mi jej fotografię, przynosi mi zatem wyblakłe zdjęcie przedstawiające siedzącą na skale młodą dziewczynę w białej sukience. Wcale nie jest piękna. Jest poważna i nieładna, z długim jak mój nosem i dużymi, ciemnymi oczyma w płaskiej twarzy. Staję przed lustrem, żeby zobaczyć się taką, jaką on mnie widzi. Jednak widzę tylko to, co już doskonale znam. Czy jestem nieładna, czy jestem piękna? Już tego nie wiem.

Nigdy mnie nie uprzedza o swoim wyjeździe. Po prostu wyjeżdża, a ja jestem zbyt dumna, by prosić go, żeby został ze mną. Niemniej zawsze przywozi mi prezenty — bobrowe futro z takimż kapeluszem, bransoletę wysadzaną brylantami i tę piękną papeterię z moim nazwiskiem u góry. Nigdy mnie nie poprosił, bym przyjęła jego na-

zwisko, nigdy mi nawet nie powiedział, jak ono brzmi. Nawet go o to nie zapytałam.

Jakiż miałyby to sens? On mówi mi różne rzeczy jedynie wtedy, kiedy chce, bym o nich wiedziała. Powstał zatem między nami taki układ:

nigdy go o nic nie proszę, nigdy też za nic mu nie dziękuję.

Najbardziej lubię, kiedy wraca ze swojej stoczni na kontynencie. W stoczni jest gorąco, mówi, jest pełno dymu

1 cuchnie. Kiedy tylko znajdzie się w domu, natychmiast napuszcza pełną wannę bardzo gorącej wody, do której sobie wchodzi jak gdyby nigdy nic. Wanna jest potężna, jak on sam, głęboka i szeroka, a zrobiono ją z ciemnego, szarego marmuru. Lubię siadać ze skrzyżowanymi nogami na jej szerokiej krawędzi, i obserwować jego zanurzoną w wodzie postać.

— Dołączysz?

Ma jeden złoty ząb, który błyska mu, gdy się uśmiecha. Nigdy o tym nie pamiętam i ten nagły błysk w jego ustach zawsze mnie zaskakuje. On zaś chwyta moje stopy, zanurza je w wodzie i delikatnie bawi się moimi palcami. Lubię patrzeć na złoty pierścień, który nosi na małym palcu. Jego rozgrzane gorącą wodą ręce stają się różowe. Ogrzewa moje nogi, przesuwając po nich mokrymi dłońmi.

— Mój raj — mówi. — Moja królowa.

Jego pokoje są nad moimi, tyle że ta część domu jest bardziej wysunięta. Tworzy ona wieżę, z oknami ze wszystkich stron, ale nie ma tarasu, na który można by wyjść. Kiedy słyszę stamtąd szum puszczanej wody, przekręcam klucz i otwieram drzwi prowadzące ode mnie na schody i wspinam się cichutko, boso, w kółko i w kółko po zimnym kamieniu. Lubię tę grę, to czekanie na podeście, czy uda mi się go zaskoczyć. A nie udaje mi się to nigdy. Wy-

czuwa mnie nosem, powiada, czuje wywołany moim oddechem ruch powietrza.

Opieram plecy o ścianę, nad wanną i przymykam oczy. Każda chwila szczęścia przynosi mi jedynie, mamo, do ciebie. To prawdziwa choroba, ta tęsknota za tobą, niczym śmierć. Próbuję przywołać tamten czas, kiedy cię nienawidziłam, te

uderzenia krwi, kiedy kierowałaś na mnie swój gniew. I wszystkie rzucając we mnie wyzwiska: „Złodziejka! Kokota! Dziwka!”

Kiedy ten jeden raz zrewanżowałam ci się tym samym, kiedy wrzasnęłam: „Sama jesteś obrzydliwą dziwką! Dziwką Katzenbogena!” — po prostu zamilkłaś i patrzyłaś na mnie oczami rozwartymi tak szeroko jak nigdy przedtem. I wtedy zorientowałam się — w tej krótkiej chwili ciszy, nim skoczyłaś, by wbić mi paznokcie w ramiona, nim ja sama wczepiłam palce w twoje włosy — że mam rację.

— Idź i zamieszkaj z nim! — wrzeszczałam. — Ja nie

będę całą twoją rodziną! Nie zgadzam się być całą twoją rodziną!

I wtedy mnie puściłaś. Cofnęłaś się nawet i uśmiechnęłaś, przerażającym, lodowatym, triumfującym uśmiechem.

— Ha — zawołałaś — to akurat jest jedyna rzecz, moja droga, na którą musisz się zgodzić!

Zalewałam się łzami, chciałam cię ukarać za Katzenbogena, za całą tę długą, nudną wojnę, którą z nim każdego tygodnia przeżywałaś.

— Zamieszkać z ojcem! — krzyknęłam. Odwróciłam się, by odejść, by zatelefonować do niego, żeby przysłał po mnie szofera albo policję, kogokolwiek zresztą. Mogłabyś pójść za mną, gdybyś zechciała, ja w każdym razie bym już nie wróciła, nawet bym na ciebie już nie spojrziała.

Wtedy jednak się odwróciłam, żeby zobaczyć, czy idziesz za mną, i zobaczyłam, jak osuwasz się przy bujanym fotelu bezwładnie jak stos bielizny.

— Mamo! — podbiegłam do ciebie. A ty opadałaś na podłogę, jak ta stara hinduska kobieta, która na rogu udaje kalekę. .

Grałaś, widziałam, że grasz.

— Mamo! — zawołałam ponownie, tupiąc nogą. Miałam ochotę cię kopnąć, chciałam, żebyś przestała.

Ty jednak tylko się skrzywiłaś i odwróciłaś głowę, jakbyś rzeczywiście cię kopnęła. Och, jak ja wtedy tobą gardziłam! Nienawidziłam cię całym sercem. A przecież nadal czekałam, pragnęłam, byś spojrzała na mnie tak, żebym mogła ci powiedzieć prawdę. Że nigdy cię nie opuszczę, ani dla ojca, ani dla nikogo na świecie. Nigdy, przenigdy.

Patrzę na podnoszącego się z kąpieli męża.

— Chcę pojechać do domu — mówię.

Uśmiecha się do mnie, wycierając do sucha ręcznikiem. Jest to uśmiech, którym obdarzał stewarda na statku i którym obdarza te dwie pracujące tutaj siostry. Tak naprawdę nie jest to żaden uśmiech, a jedynie grymas dający do zrozumienia, że sprawy nie mają się tak, jak on by oczekiwał. Dotąd nigdy nie użył go w stosunku do mnie.

— Tylko na wakacje — mówię. Słyszę przymilność we własnym głosie i nie cierpię tego. Wobec czego odchrząkuję i zaczynam od nowa. — Chcę pojechać do domu, żeby odwiedzić matkę — oświadczam. — Chcę tam urodzić dziecko.

Wyciąga rękę i próbuje mnie pochwycić, owinać mnie

razem ze sobą w ten ręcznik. Często tak robi, a ja to lubię. Jest tam wtedy i ciepło, i wilgotno, i rozkosznie.

Tym razem jednak mu umykam. Zbiegam po schodach do swojego pokoju, z trzaskiem rygluję drzwi. Potem siadam na łóżku i użalając się nad sobą, spoglądam

w zimne okno. Jestem, mam, wybrykiem natury, nie mam żadnego przyjaciela oprócz ciebie, za to mam męża, zanim zdążyłam mieć chłopaka. Chcę nad tym wszystkim załłakać, a zamiast tego nasłuchuję jedynie jego kroków za drzwiami, pragnę, by błagał mnie, żebym wyszła.

Gdybym była w domu, zostawiłabyś mnie samą sobie, żebym zmięła. Dopilnowałabyś, żebym słyszała, jak śmiejesz się na dole z Maude albo grasz na fortepianie czy śpiewasz. Potem, jak gdyby nigdy nic, zawołałabyś mnie na kolację, a gdybym się nie pojawiła, posłałabyś na górę Maude z tacą. „Puk, puk” zawołałaby Maude i weszła, nie czekając na zaproszenie.

— Już niemal wiosna — woła mój mąż z tamtej strony drzwi. — W górach pojawiają się dzikie kwiaty, zobaczysz, jak tutaj pięknie.

Kręcę głową.

— Kłamiesz! — wołam. — Mówisz same kłamstwa.

Słyszę, jak wzdycha, jak szura pantoflami o kamień podłogi. Dla niego prawda jest dziecinna, dziewczęca i nudna, i niebezpieczna. Odpędza ją, jakby odpędzał muchę.

— Co chcesz wiedzieć? — pyta. — Powiem ci, jeśli potrafię.

Zeskakuję z łóżka i staję przy drzwiach. Gdybym była w stanie znieść widok jego twarzy, otworzyłabym je, obserwowałabym jego oczy, kiedy mówi.

— Chcę wiedzieć, dlaczego wybrałaś mnie — oznajmiam.

Milczy czas jakiś i zaczynam podejrzewać, że już go tam nie ma. Po chwili znów go słyszę.

— Założyłem się z twoim ojcem, taki tam żart. Łączy nas wiele różnych figłów. Na ogół związanych z kobietami, całkiem niewinnych.

Jego słowa padają jak kamienie.

— W tym konkretnym przypadku zażądałem jako za-

płaty jego ulubionej córki. A on z kolei zażądał, żebym się z tobą ożenił. Pamiętam, jak się śmiałem, małżeństwo było bowiem pomiędzy nami nieustannym przedmiotem dowcipów. Wypiliśmy nieco za dużo koniaku, niemniej wyraziłem zgodę.

Z trudem oddycham pod brzemieniem jego słów. Przez całe swoje życie wiedziałam, jak nienawidzić mężczyznę, jednak teraz wydaje mi się, że nie wiedziałam nic.

— Potem zabrał mnie do ratusza, żebym cię mógł zobaczyć. Miałaś wtedy sześć czy siedem lat, siedziałaś w pierwszym rzędzie i słuchałaś śpiewu matki. Dał ci pudełko czekoladek. „Popatrz, powiedział, nie ośmieli się ich otworzyć”. I rzeczywiście, nie otworzyłaś. Siedziałaś przez cały występ z tymi czekoladkami na kolanach. Już wtedy chciałem cię ratować, ale postanowiłem poczekać.

Błyskawicznie odciągam zasuwkę i otwieram drzwi. Jego postać jest ciemną plamą w gasnącym świetle. Dostrzegam jedynie jego oczy i zęby i gdybym miała nóż, przebiłabym go.

Robi krok do przodu, a ja zatrzymuję go uniesioną ręką.

— Ratować mnie?!—krzyczę.

— Zaintrygowała mnie wówczas — mówi szybko — i intrygowała przez te wszystkie następne lata myśl o tym dziecku, córce kuzyna... o tobie jako mojej żonie.

A potem, kiedy już ten pomysł zaczynał mnie nieco nużyć, twój ojciec ponownie zaaranżował moje spotkanie z tobą. Los przedziwnie traktuje żarty, nie sądzisz?

Patrzę na niego, jakbym czekała na coś jeszcze. Słowa jednak zostały już

wypowiedziane, a każą mi one jedynie myśleć o tym, jak wkładasz dla niego te granatową je-dwabną suknię i czarne, wieczorowe perły i jak schodzisz na dół beze mnie, myśląc jedynie o sobie.

— To ty sam jesteś żartem! — krzyczę do niego. — Jesteś stary i brzydki, a ja nie mogę znieść twojego widoku!

— Wiem, wiem.

— Nie wiesz. Co ty możesz wiedzieć? — Biegnę do okna, żeby nie widział moich łez.

Idzie za mną, wreszcie otacza mnie ramionami.

— Ona jest moja królową! — łkam. — Ona jest moim rajem!

— Wiem — mówi. Całuje mój kark, włosy. — Ale, proszę cię, Theo, proszę, nie żądaj, bym cię teraz do niej odesłał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

T

o Braughton zasugerował, żeby Nalia zamknęła dom i udała się na jakiś czas w głąb kraju. Stary dwór Leyfield zamieniono na azyl dla muzyków, mówił. Mają tam pianina i organizują koncerty i można spacerować pośród pięknych wzgórz. Po tym, co przeszła, przydałby się jej odpoczynek, czemu by nie spróbować? Ucisza go machnięciem ręki. Od czego niby odpoczywać? Od kary? Katzenbogen utrzymuje, że najwidoczniej chciała, żeby córkę zabrano, bo niby po co zaprosiła tego Syryjczyka? Cóż on jednak wie o próżności, ten stary głupiec? W pomieszczeniu służby Nalia spaliła tamtą granatową suknię. Wyrzuciła też wszystkie kosmetyki i pozwo-liła odrastać siwym włosom. Kiedy osiągną odpowiednią długość, zawinie je w kok, jak robiła jej babka. Ta stara kobieta pojawia się teraz w jej snach, tyle że ponownie młoda, z tą swoją wąską twarzą i tycjanowskimi włosami. A przecież, jednocześnie, myli się jej ona z córką i z nią samą. Każdej nocy Nalia spodziewa się odwiedzin wszystkich trzech.

Jako dziewczynka Nalia bezgranicznie kochała tamtą starą kobietę. Kiedy przenosiły się do letniego domku, obserwowała, jak tamta rozplata swoje długie, siwe włosy i

płynie nago na sam środek jeziora. Każdego ranka, kiedy tamta szła przed śniadaniem na trawnik, żeby poćwi-

czyć, Nalia szła również. Stara kobieta miała piersi niczym morskie muszle, zaokrąglony brzuch oraz płaskie, blade pośladki, na które Nalia uwielbiała patrzeć. Kiedyś babka znalazła sobie gdzieś na jeziorem kochanka, prostego robotnika, o wiele młodszego od siebie. Przychodził, pukał do drzwi z tyłu domu i szli oboje w las. Nalia dzwoni na Maude.

— Wyciągnij, proszę, moje walizki.

— Dokąd pani jedzie?

— Nie twój interes. Rób, co ci każą.

Kiedy Maude wraca z walizkami, zastaje Nalię składającą wszystko i pakującą zupełnie nie tak, jak trzeba; ubrania leżą rozrzucone po całym pokoju. Zbiera je i układa na kanapie. Wszystkie już kiedyś przeszły przez jej ręce; prała je, prasowała, skraciała i wydłużała. Zaczyna pakować szybkimi, sprawnymi ruchami.

— A wieczorowe pantofelki do czarnej sukni? — pyta, wyjmując odpowiednią parę z szafy. Podnosi nocną koszule, i sprawdza pod światło. — Mole się już do niej dobrały — mówi — trzeba wyrzucić.

Nalia wychodzi na werandę. Gdyby zabrała ze sobą Maude, używałaby jej jak wachlarza, jak maski. Inni muzycy nie będą mieli służby, będą żyć, korzystając z dobroczynności innych. Braughton zasugerował kiedyś, by sama rozważyła jakąś na ten cel darowiznę, i nawet chciała to zrobić, ale obecnie nie bardzo już ją na taki gest stać. Nawet Braughton nie wie, jak bardzo przez te lata skurczyły się jej zasoby, jak bardzo musi uważać z wydawaniem pieniędzy.

— A co z biżuterią? — pyta Maude.

— Nie będzie mi potrzebna.

— No to dokąd się pani w końcu wybiera?

Nalia opiera się o parapet. Wieczór jest piękny, łagodny i ciepły, upały najwyraźniej nadejdą w tym roku wcześniej. | W najbliższych dniach powinna zastanowić się nad podróżą > żą na północ, nad powrotem w swoje góry, a być może nawet nad tamto jezioro. Mogłaby zabrać Maude, kazać jej przedtem zabezpieczyć dom na dłużej, podobnie jak zabezpieczyła i zamknęła na zimę letni domek. Teraz, kiedy córki nie ma, Nalia mogłaby pojechać, gdziekolwiek chce. Egipt... mogłaby pojechać do Egiptu. Albo nad Bałtyk, jak babka. Myśl o całej tej swobodzie, jaką może dysponować teraz, kiedy córka odeszła, podnosi ją na duchu.

Bo czymże zresztą jest ten dom bez dziewczyny? Wygląda, jakby z niej drwił i ją beształ. Kiedy siada, żeby poćwiczyć, bawi się co prawda klawiszami, ale jej głos pozbawiony jest życia. Nic dziwnego, że Braughton chce ją wysłać na odpoczynek. W takiej formie jest bezużyteczna dla niego i dla innych. A ona nie jest już nawet w stanie wysłuchać płyty. Każdy takt, każda nutka jest wręcz nieznośnie przewidywalna.

Cóż by zatem mógł tu zmienić Egipt? Gdyby tam pojechała, musiałaby nieuchronnie powrócić tutaj. To samo z Bałtykiem. Miejsce, do którego naprawdę chce się udać, istnieje jedynie w snach. Chce do babki. Chce iść za nią po kuchennych schodach i przez kuchnię w chłodzie wczesnego poranka, gdy na piecu fermentuje maas służby, a jezioro nadal spowite jest oparami.

Jej własna matka od samego początku usiłowała trzymać ją z dala od babki. Stara kobieta jest nieobliczalna, utrzymywała, nie można jej powierzyć opieki nad dziećmi. Pewnego razu babka nakryła ojca Nalii, jak pokładał się w swoim gabinecie z pokojówką, i po tamtym incydencie nazwała go Pokładaczem. Jeśli się nachmurzył,

nazywała go Naclimurzaczem. Bywał również Dąsaczem, i Krzykarzem, i Błaznem. Na ogół był jednak Pokładaczem, bo ten przydomek najbardziej ją bawił. Matka Nalii już przy drzwiach uprzedzała gości przed własną matką. Nie jest godna zaufania, słyszeli od niej. Nie należy wierzyć ani jednemu jej słowu.

— Pszepani... — Maude staje w drzwiach, trzyma w dłoniach duże, blaszane pudełko po ciasteczkach. — Tutaj są wszystkie listy od dziewczyny.

Nalia zwraca ku niej twarz. Ile też Maude może mieć teraz lat? Trzydzieści pięć? Trzydzieści sześć? Widać pojedyncze siwe włosy, a i nos jej się nieco poszerzył,

razem z całą resztą ciała. Poza tym jest właściwie taka sama jak wtedy, kiedy przed laty pojawiła się przy drzwiach kuchni. Mając szesnaście lat, wiedziała dokładnie, czego chce — pokoju w samym domu, nie zaś w kwaterze dla służby oraz wolne niedziele, żeby mogła chodzić na mszę. Nalii się to nawet podobało. Podobały się jej też te zimne, czarne oczy, zdecydowana stromizna biustu. Lepsza od jakiegoś tam męża, pomyślała sobie, lepsza też od zwyczajnej służącej.

I miała rację. Maude była sprawna, szybka i co najważniejsze, rozumiała znaczenie straty i kary. To ona zasugerowała szkołę przyklasztorną dla dziewczynki. Będzie z dala od hołoty i pospolitych ordynusów, oznajmiła. Jej matka wyrzuciła ją z domu, żeby sobie znalazła pracę w mieście. W szkole misyjnej była najbystrzejszą uczennicą, zakonnice chciały zatrzymać ją u siebie, ale jej matka oświadczyła, Bzdura, czas znaleźć sobie zajęcie.

— Przyniesz je po kolacji do salonu — mówi Nalia. Teraz, kiedy wyjeżdża, wydaje jej się, że znowu będzie w stanie znieść myśl o córce. Może nawet zmierzy się z wiadomością dotyczącą miejsca jej pobytu i przeżyć.

Kiedy Maude razem z kawą wnosi też pudełko, Nalia już czeka na kanapie. .-.-'."

— Możesz odejść — mówi.

Maude jednak nie odchodzi. Listy przychodziły od mie-sięcy, czasem dwa, trzy jednocześnie. Kiedy Nalia, nie otwierając, zostawia je na komódce, to Maude je stamtąd zabiera i ukrywa w spiżarni.

— Niech pani czyta je od końca — radzi teraz — ten jest pierwszy. — Chce mieć szansę, by zostać i też je przeczytać. Chce też prosić Nalię o wybaczenie za swoje telefony do ojca dziewczyny. To jednak będzie niemożliwe. Wszyscy wiedzą, że nie może wyrazić żalu przy Nalii. Bo to jedynie przypomina jej o wszystkim, co godne pożałowania. Nalia wyciąga list ze środka.

— Podaj mi nóż do papieru, proszę.

Zatem Maude go jej przynosi. Potem siada na podłodze obok kanapy, podnosi koperty i kartki, które Nalia tam rzuca. Chwilami Nalia zamyka tylko oczy i ciężko oddycha. Chwilami wydobywa z siebie głośny okrzyk; wtedy też chowa tę kartkę dla siebie, ale najpierw odczytuje ją głośno Maude.

— Posłuchaj tylko tego.... — mówi.

Duży stojący zegar wybija dziesiątą i Maude zaczyna zbierać kartki upuszczone przez Nalię.

— Pszepani — mówi — już późno.

— Zostaw, niech leżą — rzuca Nalia.

— Psy je poszarpią.

Nalia spogląda na nią surowo.

— To zabierz psy i zamknij w kuchni. Jeśli jakieś listy zostaną pogryzione, będzie to twoja wina.

Po wyjściu Maude Nalia zdejmuje okulary i zbliża kartki do twarzy, by odetchnąć ich zapachem. Czy chciała, by

córka poniosła aż taką karę? By wszyscy zostali ukarani? Nawet ona sama? Tak, owszem, chciała tego. Kara wynikająca z jej milczenia miała być bezgraniczna. Podnosi jedną z kartek i sprawdza datę. 15 lutego. A inna — marzec. Kwiecień. Lipiec. Chwyta kopertę. Tak, znaczek miejscowy. Zatem ostatecznie przychodzą za pośrednictwem tego zera i jeśli ona sama odpisze, list też będzie musiał przejść przez jego ręce. Wkrótce urodzi się dziecko i nawet wtedy to zero będzie tym, kto przekaże jej wiadomość.

Nalia opada na poduszki. Jak można jakkolwiek zdradę porównywać z czymś takim? Kiedy dziewczyna chodziła do salonu odchudzania, powinna była to wyczuć. Widziała przecież, jak córka przygląda się sobie z podziwem w lustrze — płaskiemu, umięśnionemu brzuchowi, piersiom i nogom, i skórze. Słuchała też przecież jej pa-miętników i co w nich słyszała?

Nalia wie, że miłość od nienawiści dzieli bardzo cienka linia. Kiedyś wsiadła za babką do tramwaju i pojechała za nią do miasta. Gdy stara kobieta wysiadła, Nalia

zrobiła to samo. Trzymała się z daleka, szła za tamtą, obserwo-wała, jak babka wchodzi do apteki, do ciastkarni, biblio-teki. Gdyby tylko poprosiła, babka zabrałaby ją ze sobą. Często jeździły razem do miasta. Teraz jednak Nalia ko-niecznie chciała starą kobietę na czymś nakryć — na po-siadaniu jakiegoś sekretu, na spotkaniu z kimś tajemni-czym, bliższym sercu babki niż ona. Chciała znienawidzić tę starą kobietę, choćby na jeden dzień. Po czym, przy kolacji tamtego wieczoru, czuła, że i tak jej nienawidzi. Zupełnie jak gdyby babka rzeczywiście ją zdradziła. Ta nienawiść, podchodząca wysoko do gardła, sprawiała jej niemalże fizyczną przyjemność. I była równie silna jak miłość.

L vi

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

M

ój mąż ma na imię Naim. Odkrywam to tego dnia, którego przychodzą na świat moje bliźniaczki. Przez cały czas przywoływałam go do siebie, ale lekarz nie mógł wiedzieć, czego chcę, bo nie wymawiałam żadnego imienia. A potem, kiedy to się już kończy i kiedy wynoszą dzieci, pojawia się wreszcie on sam, przynosząc ze sobą zapach zewnętrznego świa-ta — tytoniu i skóry, i Paco Rabane.

— Dzikie kwiatki zakwitły dla ciebie — mówi. — Tańczą

po całej górze. — Paznokcie ma wymanikiurowane, złoty

pierścień pobłyskuje na palcu.

Jednak od trzech dni tam, w cieniu, siedzi jakaś kobieta. Wysoka, tykowata, z długim nosem, swoim wyglądem przypomina bociana. Szydełkuje, nie spuszczając ze mnie wzroku. Przypro-wadziła ze sobą małą szarą małpkę, która wspina się po zasłonach i biega po drażkach. Kiedy próbo-wałam uwolnić obandażowane piersi, kobieta

unosła się ze swojego miejsca, cmokała z dezaprobatą, a jej małpka natychmiast wskoczyła na łóżko, by również mnie skarcić.

— A któż to taki?! — wołam do męża. — Dokąd zabrała moje dzieci?

On siada na łóżku i bierze mnie za rękę, ja jednak wy-rywam mu dłoń.

— Co z nimi zrobiłeś?!—krzyczę.

Nie odpowiada. A mógł je przecież zrzucić ze skały, albo zostawić na zboczu góry wilkom na pożarcie. Przy-wołuje kobietę, a ta podchodzi i staje przy łóżku, mroczna i masywna, i surowa.

— To Sonja — mówi. — Moja przyrodnia siostra.

— Nie obchodzi mnie, kim ona jest! — Nie chcę jej tutaj!

— Dzieci mają się świetnie, Theo — mówi mąż — śpią teraz.

Jego głos mnie uspokaja i staram się mu wierzyć. Jednak pierwsza dziewczynka urodziła się z zajęczą wargą, a druga okryta jak zwierzątko jedwabistym futerkiem. Kiedy krzyknęłam na ich widok, wszyscy się roześmiali. A potem pielęgniarzki zabrały je, zostawiając jedynie tę kobietę, żeby mnie szpiegowała.

— Chodź — mówi mąż — zabiorę cię na taras, żebyś mogła zobaczyć te kwiaty.

Pozwalam, by mnie podniósł i jak kalekę postawił na podłodze, poprowadził na zewnątrz, do balustrady.

— Popatrz — mówi — są dosłownie wszędzie. Zakwitły na twoją cześć, o zupełnie nieodpowiedniej porze roku.

Ma rację, cały stok pokryty jest kwiatami, żółtymi i nie-bieskimi, i czerwonymi. Skręcają się, gną się na wietrze wiejącym od morza. Ale nie pojawiły się tutaj dla mnie. To jego kwiaty. Ptaki też są jego... jego są krzaki, jego wiatr, morze. Wskazuje mi to te, to tamte kwiaty, podaje ich na-zwy. A przecież w domu mieliśmy swoje

nazwy na wszystko, co nas otaczało — frangipani, jacaranda, mango i gula--gula, kikuyu, hadedah, shongololo. Teraz używam tamtych słów jedynie dlatego, że je zapisuję. W rzeczywistości jednak nie są to tylko nazwy... to sarna istota tamtego miejsca. Są tym, co trzymało nas razem, matkę i mnie.

On sięga tymczasem do kieszeni rozpinanego swetra i wyjmuje telegram.

— Przyszedł do ciebie dziś rano — mówi.

Przyglądam się kopercie podejrzliwie, jakby chodziło

o jakąś sztuczkę. Wreszcie wyrywam mu ją z ręki i w po-

śpiechu drę również sam telegram. Składam oba kawałki

razem i unoszę ku światłu. Słowa, pozbawione znaczenia,

tańczą mi przed oczyma, dopóki nie uspokoję oddechu

1 nie odczytam ich osobno, jednego po drugim.

PRZYWIEŹ DZIECI DO DOMU STOP MATKA Zatem tak to się dzieje. Kiedy już zapominasz, za czym tęskniłaś, to coś wślizguje się niczym złodziej. A przecież ja nie zapomniałam; pamiętałam to moje drugie, inne życie, jakbym nie miała do niego najmniejszego prawa, jakby sama pamięć o nim stała się moim wrogiem. I oto mam ją teraz w swojej dłoni. Jej wściekły głos, jej szalone żądania.

— Theo... — Opiera łokieć na balustradzie i spogląda ku morzu. — Nigdy nie spytałaś o moje imię.

Krzyżuję ramiona, osłaniając się przed wiatrem, przyciskam telegram do piersi. Natalia i Theadora, Nalia i Thea.

— Naim — mówi. — Na imię mam Naim.

Przyglądam mu się, temu nieznanemu, który nigdy

nie miał imienia. Od tego pierwszego dnia w oknie wykuszu na piętrze czekałam na niego. Nasłuchiwałam jego kroków, dźwięku samochodu, płynącej do wanny wody.

Nigdy jednak nie było mi potrzebne jego imię. A teraz je mam. Naim. Ostatecznie okazało się bardzo ładne, przypomina krzyk krążących nad nami mew.

Postanawiam, że będę myślała o nim jako o miewie. Będę myślała o nim jak o ogromnej, mrocznej, niebezpiecznej miewie, której więźniem jestem teraz o wiele

bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

ROZDZIAŁ DRUGI

N

alia nigdy nie chodzi do salonu hotelowego na popołudniowe koncerty. Każe kelnerowi przy-

nosić sobie podwieczorek do bungalowu, tak jak wszystkie inne posiłki.

— Amatorzy i ci, co dawno przebrzmiali — gdera do Maude — niech się wzajemnie zabawiają.

— Może byłoby miło choć raz tam pójść — sugeruje Maude. Słyszała, co inni opowiadają o Nalii. Mówią, że sama jest tą dawno przebrzmiałą, że jej córka uciekła z domu jak jakaś chórzystka; kto by ją zresztą za to winił? Matka to wariatka, mówią, zawsze była zwariowana, po- mimo całej tej swojej sławy i majątku.

Nalia siedzi na stopniach werandy z filiżanką i talerzy-kiem. Uwielbia zapach rozgrzanej popołudniowym słońcem strzechy. Uwielbia wszystkie zapachy — pasty do podłóg, kominka, kokosowych mat. Ten bungalow zdaje się ogarniać całe to górskie pasmo. Odnosi wrażenie, jak gdyby — kiedy tak siedzi, z filiżanką herbaty w dłoniach, wdychając woń tej strzechy — jak gdyby cały świat był tą jedną jedyną chwilą.

Kiedy przyjechały, kierownik zaprowadził je do apartamentu w głównym budynku hotelu, dwóch połączonych pokoi z niewielką łazienką przy sypialni.

— A gdzie ma spać moja pokojówka? — spytała Nalia, rozglądając się po wyblakłych, kwiecistych tkaninach i trzciniowych mebelkach. — Gdzie jest jej łazienka?

— Jest dla niej pokój w pomieszczeniach personelu —
odparł. — Naturalnie, będzie musiała go z kimś dzielić.

Jak zresztą cały pozostały personel.

Nalia uniosła głowę.

— Proszę uprzejmie wstawić tutaj dla niej łóżko — po-
wiedziała.

— Przykro mi, proszę pani — odparł mężczyzna ze wzro-
kiem wbitym w czubki swoich butów — to niemożliwe.

Co by inni powiedzieli?

Nalia nigdy nie zwracała sobie głowy odpowiedzią na podobne pytania.

— Maude — rozkazała — odnieś natychmiast nasze rze-
czy do samochodu.

— Ależ jedną chwileczkę, proszę pani — zaprotestował
kierownik. — Proszę pozwolić, że przejdę do biura i zate-
lefonuję do pana Jamesa.

Nalia wyraziła zgodę. Odpowiednio wcześniej wysłała do tegoż pana Jamesa czek na
pokaźną sumę w przewidywaniu właśnie takiej sytuacji. W odpowiedzi otrzymała
bardzo uprzejmy list.

Kiedy kierownik wrócił, rozplýwał się w uśmiechach.

— Proszę uprzejmie pójść za mną — powiedział, prowa-
dząc je z hotelu, obok kortów tenisowych do małego, kry-
tego strzechą bungalowu z osobnym, otoczonym mur-
kiem ogrodem. Tu właśnie zatrzymuje się pan James, kie-
dy przyjeżdża. Powiedział, że z przyjemnością odda to
miejsce do dyspozycji obu pań.

I tak już od sześciu tygodni Nalia jest szczęśliwa. Bunga-low okazał się dokładnie
tym, czego mogłaby sobie ży-
czyć — dwa pokoje w amfiladzie z salonikiem

pomiędzy

nimi, z niedużym fortepianem, różami w ogrodzie i amfi-teatralnie wznoszącymi się wokół górami.

Gdyby nie Maude i ten jej świergot, palące się każdej nocy świece, i to pod strzechą, gotową, niczym stos siana, spłonąć w jedną chwilę, byłoby to pod każdym względem doskonale rozwiązanie. Musi to oddać Braughtonowi. Za-mieszkanie w tych trzech pokojach, z dala od dawnego życia, przywróciło jej nieco nadziei. Dlaczego sama o tym nie pomyślała? Lubi poszczekiwanie pawianów, lubi, jak popołudniowe burze odświeżają powietrze. Czasem nawet przez pół dnia potrafi nie pamiętać, że córka odeszła i urodziła nie jedno dziecko, ale dwoje i że te dzieci będą jej bliższe, niż Nalia kiedykolwiek była.

Katzenbogen byłby pierwszym, który zwróciłby jej uwagę na fakt, że to właśnie jest normalność, to jest życie. Jednak Nalii nie interesuje normalne życie. Każdego rana budzi się, przeżywszy ten sam senny koszmar. Córka wróciła — jest na lotnisku i szuka swojego bagażu. Kiedy jednak Nalia woła do niej z drugiej strony barierki, ta jej nie słyszy. A kiedy odwraca się w kierunku Nalii, nie widzi jej.

Nalia budzi się ze zdrygnięciem, wpatruje w ciemną czeluść strzechy, czekając, aż ucichnie łomotanie jej serca. Już od trzech tygodni budzi się z tego snu, nie znajdując odpowiedzi na to samo pytanie. Skoro to tylko sen, dlaczego nadal chce, by ona ponosiła karę?

Potem jednak, kiedy znajdzie się na trawniku i przygotowuje się do ćwiczeń gimnastycznych, zapomina o koszmarze i sama znów jest dziewczyną. Przed wschodem słońca góry są szaroniebieskie i tajemnicze, jak tamte góry nad jeziorem. Jeśli przymknie oczy, to jezioro rzeczywiście się pojawi, razem z rozkoszną wonią sośniny, z oszro-

nionym żdźbłami traw pod stopami. Unosi wysoko głowę i oddycha głęboko. Po tych wszystkich latach jej ciało nadal pamięta każdą pozycję, zupełnie jakby nadal słyszało w tle muzykę. Czuje nawet na ramieniu dłoń babki. „Świetnie, Natalio, bardzo dobrze”.

Kiedy nad górą pojawia się słońce, mgła rozwiewa się niczym dym. Obecnie jej skóra jest bielsza niż kiedykolwiek, jej włosy to krótkie, siwe runo. Nim słońce wzejdzie całe, nim góry zalśni soczystą zielenią, zdąży zapomnieć o wszystkim,

prócz tego nadzwyczajnego, dawnego odczucia szczęścia. Jest to ów rodzaj szczęścia, który daje jej nadzieję, który niesie ze sobą przeróżne możliwości.

Uśmiecha się nawet na widok afrykańskich dzieciaków, które przychodzą się jej przyglądać. Pierwszego tygodnia kilkoro z nich zebrało się na wielkiej płaskiej skale za murem ogrodu i szczebiotało w podnieceniu jak ptaki. Kiedy uniosła głowę i rozłożyła szeroko ręce, najwyższy z chłopców, mądrała, wstał i powtórzył jej gesty. Roześmiała się, a wszystkie dzieci odpowiedziały jej śmiechem. I teraz więcej niż tuzin czeka na nią każdego ranka. Raz w tygodniu idzie drogą do pobliskiego sklepu, żeby kupić im cukierki. Po czym, każdego piątku, dzieci zbierają się przy ogrodowej furtce, niemalże nagie, i ze złożonymi w miseczki dłońmi czekają na nią.

— Powinna się pani czymś okryć, nim zacznie im rozdawać te cukierki — gdera Maude. — Hamba\ — wrzeszczy, atakując murek jak nosorożec. A one rozpraszają się ze śmiechem i czekają w oddali, z niej również się śmiejąc.

— Kto cię o to prosił? — pyta Nalia. Przywołuje dzieci z powrotem.

Maude kląska językiem. Męczy ją rola niańki tej starej kobiety. Czy mają zostać tu już na zawsze, w tych trzech

pokojach? A co z tymi kelnerami, codziennie bezczelnie ją zaczepiającymi? Pierwszej niedzieli Nalia zabrała ją samochodem na poszukiwanie kościółka misyjnego za wsią, drogi jednak były bardzo błotniste, a one nie miały łańcuchów. I teraz pozostały jedynie piesze wędrówki do sklepu oraz spacer w górę stoku przed lunchem i Maude ma już tego serdecznie dosyć.

A potem pewnego dnia jakiś mężczyzna niczym duch wyłania się z mgły. Kiedy dostrzega na trawniku Nalię, zatrzymuje się, ona jednak ma oczy zamknięte przed wyłaniającym się zza góry słońcem. Mężczyzna ma na sobie szorty oraz skórzany kapelusz i uśmiecha się na widok tej bladej, smukłej, starej kobiety, tańczącej w rześkim, porannym powietrzu. Wkłada między zęby fajkę, pochyla się, żeby ją zapalić.

Nalia czuje zapach tytoniu, ale nie przerywa tego, co robi, i nie rozgląda się. Skręca się i zgina, prostuje, skręca i zgina w drugą stronę. Od jakiegoś czasu wiedziała, że ktoś tutaj po nią przyjdzie. Wiedziała, zupełnie sobie tego nie uświadamiając. Nie

miała pojęcia, że to będzie mężczyzna. Wiedziała jedynie, że ktoś wyczuje to szczęście i wpadnie w jego pułapkę.

Nie jest zatem zaskoczona, kiedy widzi go nonszalantko usadowionego na ogrodowym murku, jego sylwetka w blasku słońca zdaje się jedynie cieniem. Kiedy kończy ćwiczenia, osłania dłonią oczy i zmarszczywszy brwi, spogląda na mężczyznę. Jest ogorzały od słońca i zakurzony — farmer albo hodowca bydła, albo też czyjś leniwy mąż. Minęło jednak mnóstwo czasu, odkąd ktoś patrzył na nią w sposób, w jaki on teraz na nią patrzy, zatem rozkoszuje się sytuacją, unosi wyżej głowę, jak gdyby zamierzała śpiewać.

— Hej, to naprawdę niezłe — odzywa się mężczyzna.

Głos ma równie mroczny jak on sam, suchy, stłumiony, zdyszany i chropawy.

— Bardzo panią proszę... — Maude podchodzi ze szlafrokiem, już rozłożonym, że tylko wsunąć ramiona. — Zaraz będzie śniadanie — mówi — czas się ubrać.

Ale Nalia podchodzi do murku.

— Czego pan sobie życzy? — pyta mężczyznę.

On śmieje się, zupełnie jakby był przyzwyczajony do tego rodzaju pytań ze strony nagich kobiet.

— Tylko sobie patrzę — mówi. — Chyba nie ma w tym nic złego?

Ona odwraca się i rusza w kierunku bungalowu. Z każdym krokiem jest coraz bardziej przekonana, że tamten będzie na nią czekał. Nie spieszy się zatem. Kiedy wychodzi ponownie, ubrana w przeznaczoną na spacer spódnicę i z laską, on niepewnie podnosi się z murku. Ona jednak otwiera furtkę i idzie ścieżką prowadzącą do rzeki, a on rusza za nią, tak jak się spodziewała. Kiedy ona zatrzymuje się przy brodzie, oceniając sytuację, on zbliża się do niej.

— O tutaj — pokazuje — tędy można przejść.

Nalia przygląda się, jak mężczyzna tanecznie skacze z kamienia na kamień, mocząc

przy tej okazji zakurzone wysokie buty. To tancerz, myśli sobie, duch i tancerz, zesłany tutaj, żeby przynieść jej radość. On tymczasem wraca biegiem, po tych samych kamieniach, sięga po jej dłoń, ona mu ją podaje i pozwala się przeprowadzić przez rzekę.

Po drugiej stronie mężczyzna kieruje się w górę rzeki, idzie przodem, zatrzymuje się, zerka przez ramię, wraca po nią jak pies. Ona sama nigdy wcześniej nie zauważyła

tej ścieżki. Jest tu wilgotno, obok z hukiem przetacza się rzeka i nikt by jej nie usłyszał, gdyby wołała. Jeśli jednak on jest mordercą, to ona jest gotowa, podobnie jak wtedy, kiedy w drodze powrotnej od Katzenbogena pozwala, by jej samochód pędził w dół wzgórza bez żadnych ograniczeń. Katzenbogen powiada, że to jeszcze jeden sposób karania wszystkich innych, owa gotowość na śmierć. Jak zwykle nie ma racji. Bo jeśli ona jest już gotowa na śmierć, to jedynie dlatego, że nie może znieść oczekiwania.

Idą wzdłuż rzeki jakąś milę, nim on skręci na zbocze wzgórza i zacznie się po nim wspinać. Są teraz w pobliżu rozpadliny, ona słyszy ryk wodospadu. Może właśnie tak to zrobi, a potem... wrzuci ją w kipiel. Zatrzymuje się, odwraca i spogląda na hotel. Zawsze ślicznie wygląda z góry — ta strzecha, trawniki i ogrody, i stawki, i baseny, wszystko to połyskuje w porannym słońcu.

— Chodź — mówi mężczyzna, ponownie wyciągając do niej rękę.

Ona wbija jednak łaskę mocno w ziemię. Dostatecznie daleko już zaszła, ta gra zaczyna ją nużyć.

— Tylko tam — mówi on, wskazując ciemną rozpadlinę na stoku góry.

Ona wciąga w nozdrza powietrze, zupełnie jak gdyby była w stanie wywąchać to na odległość, tę wilgoć i rozkład.

— W jaskiniach mieszkają pawiany — mówi.

— Wobec tego nie wejdziemy do środka. Proszę!

Skąd on wie, że należy ją w taki sposób prosić? Nie

uśmiechać się, ale błagać, tęsknić, pragnąć. Dochodzi do wniosku, że on sam musi

być półpawianem. Idzie za nim w cień wiszącej skały i stoi zupełnie nieruchomo, podczas gdy on rozpina guziki jej spódnicy.

Nie próbuje jej całować, po prostu przyciska ją do swojego chciwego, niepohamowanego ciała. Ona słucha jego oddechu, patrzy na przepływający obok jej twarzy kapełusz. Pachnie potem i tytoniem, kurzem i kiepskim jedzeniem. Od teraz, postanawia, będzie to już zapach jego pożądania, tego rozkosznego, nieokrzesanego pożądania, tak długo już nieobecnego w jej życiu. A przecież jedno-cześnie tak dobrze znanego... tak doskonale, doskonale przewidzianego.

ROZDZIAŁ TRZECI

N

awet dzieci są w jego cieniu, mamó. Jedyne, co słyszę, to ochryple głosy opiekunek, które je otaczają i odgradzają ode mnie. Kiedy zasypiam, dzieci znikają w snach. A potem, kiedy się budzą, jest tak, jak gdyby one nigdy nie zaistniały we mnie. A przecież wiem doskonale, że są moje, tak jak ja jestem twoja. Są moje i twoje. Są nasze.

Każdego ranka oraz popołudnia opiekunki zabierają je na spacer, a ja, jak duch, snuję się w pewnej odległości za nimi. Patrzą, jak rozkładają koc pod drzewem i jak podają dzieciom butelki. Nigdy nie zerkają w moim kierunku, chociaż wiedzą, że tam jestem. Jeśli się zanadto zbliżę, zabierają dzieci i odchodzą. Kucam zatem w oddali, w cieniu drzewa i obserwuję w milczeniu, jak złodziej.

Czasami Sonja wychodzi razem z nimi i teraz, kiedy nauczyły się już raczkować, próbują się na nią wspinać, żeby sięgnąć okularów. Ona też wie, że tam jestem. Wi-dzę to po sposobie, w jaki podnosi je i trzyma w powie-trzu, tak żebym mogła dostrzec jej paluchy na ich plec-kach i ten jej obrzydliwy uśmiech. A potem spośród drzew wypada, szczerząc zęby, jej małpka, a ona oddaje niemowlęta opiekunkom.

Za to też byś na mnie krzyczała, mamó. Mówiłabyś, Co się z tobą dzieje? Odeślij tego stwora! Kiedy jednak krzy-

kiem domagam się tego od Naima, on wzrusza jedynie ramionami, jakby nie był w stanie niczego uczynić. Dzie-ci go nie interesują, spory pomiędzy kobietami też nie. Bo przez te wszystkie miesiące czeka na to jedynie, że ja znów wyciągnę nogi na całą

długość i uniosę do góry włosy — oznak tego szuka przy każdym lunchu i kolacji.

Trzymam się zatem z dala od niego. Przymierzam ubrania, które mi przywozi, potem jednak odkładam je do kartonów, złożone dokładnie tak jak przedtem. Przy kolacji nie piję wina, które mi nalewa. Gdybym je wypila, mogłabym zapomnieć, dlaczego chcę go ukarać. Mogła-bym też zapomnieć o dzieciach i o Sonji, o tym, jak planuję ją ukarać.

Obserwuję ją podczas kolacji, nie odwracam wzroku od jej dłoni, kiedy kroi mięso czy kiedy niesie je do ust. Przyglądam się jej tak uporczywie, że jeszcze przed podaniem deseru odkłada nóż i widelec i odchodzi od stołu.

— Theo — odzywa się on po jej odejściu — czy nie przyjdiesz do mnie? — Nachyla się ku mnie, a jego oddech przesycony jest winem.

Niemal omdlewam, czując tak blisko zapach Naima, ale kręcę przecząco głową.

Jestem teraz bardzo szczupła, mam, szczuplejsza niż kiedykolwiek. Codziennie rano wykonuję ćwiczenia, które nauczono mnie w salonie odchudzania, a każdego wieczoru po kąpieli przymierzam swoje nowe ubrania. Jak dotąd moim ulubionym strojem jest letnia sukienka z żakiecikiem. Uszyto ją w Ameryce i kiedy ją wkładam, sama czuję się Amerykanką. Ty nigdy byś mi nie pozwoliła jej włożyć.

Powiedziałabyś, że ma zbyt głęboki dekolt i że zieleń nie pasuje do błękitu. W przypadku tej sukienki jednak pasuje. A wokół dekoltu jest śliczny kołnierzyk

z materiału w małe wypukłe kropeczki. Gdyby nie Sonja, włożyłabym ją dziś wieczorem, po to tylko, żeby zobaczyć jego reakcję. Włożyłabym również perły, rozpuściła włosy.

Jednak Sonja jest tam zawsze. To jej każe przynosić nowe stroje do mojego pokoju. Nasłuchuję jej ciężkich kroków zbliżających się korytarzem, dzwonięcia kluczy w kieszeni. A ma klucze do każdego pomieszczenia w tej willi, nawet do gabinetu Naima. Widziałam, jak tam wchodzi podczas jego nieobecności, słyszałam, jak rygluje drzwi i tkwi tam tak długo, jak tylko chce.

Nawet jeśli nie ma dla mnie żadnego nowego pudełka i tak wchodzi do mojego pokoju. Czuję w nim potem zapach jej mały, a kiedyś nawet zapomniała zamknąć szufladę mojego biurka. Chowam zatem swoje notatniki w głębokiej szafy, a dziś, pozostawiając drzwi nieco uchylone, sama się w niej kryję. Wiem, że przyjdzie tu tego popołudnia. Naim wrócił do domu. Słyszałam, jak wolał do tych dwóch sióstr, żeby wniosły jego bagaże.

Kiedy przychodzi, puka tylko raz i wchodzi; jej małpa, jak zwykle, rusza na zasłonę. Ona myśli, że jestem na dworze, że przyglądam się dzieciom. Wysłałam za nimi, jak zawsze, potem jednak, kiedy usłyszałam, że rusza kołejka linowa, przekradłam się z powrotem do pokoju i ukryłam w szafie.

Małpa wie, że tu jestem. Trzeszczy do Sonji, żeby ją o tym poinformować. Ta jednak położyła na moim łóżku pudełko i szybko je otwiera, rozchyła bibułkę i wyjmuje jakąś sukienkę. Piękną sukienkę, staromodną, a jednocześnie nowoczesną, z dopasowaną górą sięgającą aż pod szyję i z króciutkim trenem. Niesie ją do lustra i staje przed nim, przykładając ją do siebie.

Widzę, jak bardzo chciałaby ją zatrzymać, i dosłownie zastygam z uciechy. Ta sukienka jest moja i moje są dzieci. Należą do mnie bardziej niż do kogokolwiek innego, nie wyłączając Naima. Pewnego dnia powiem im to. Znajdę, sposób, by wyrwać je z zasięgu jego oczu. Teraz jednak zmuszona jestem czekać. Nawet ty byś czekała, mammo, tak jak czekałaś podczas wojny. Musiałabyś kryć się tutaj, jak ja się kryję, i obserwować, jak siostra twojego męża przyciska do siebie twoją sukienkę i jak zaczyna płakać... zalewając łzami cały ten piękny jedwab.

— Przestań! — krzyczę, wyskakując z szafy i wrywając jej sukienkę. — Zniszczysz ją! Zawołam Naima! Naim!

NAIM! — wołam.

Ona rzuca się na mnie i zakrywa mi usta dłonią, niemalże mnie dusząc. Zabiłaby mnie, gdyby tylko mogła. Wiem, że tak jest, i dlatego gryzę mocno jej dłoń, a Sonja odskakuje z wrzaskiem.

— Szpetna! — krzyczę do niej. — Jesteś stara i szpetna i nigdy nie dostaniesz moich dzieci!

Ona tymczasem wybiega z pokoju, biegnie korytarzem, klucze dzwonią jak szalone, a małpa z wyciem podąża za nią.

Kiedy schodzę tego wieczoru na kolację, Naim jednym rzutem oka ogarnia wszystko — suknię, szminkę, opuszczone na ramiona włosy. Nie uśmiecha się, pyta jedynie:

— Kto ma dziś ochotę na szampana? Sonja? Szampana?

Kobieta kręci głową, udaje, że przygląda się jakiejś plamie na obrusie. Uszy ma jednak czerwone, twarz bladą, a ja nie muszę zadawać sobie pytania, czy siostra, a

nawet siostra przyrodnia, może być zazdrosna o bratową. W przypadku zazdrości nie ma potrzeby pytać dlaczego.

Jest brzydka i jest zazdrosna, a ja nie potrafię jej pomóc, nawet gdybym chciała.

Kiedy podchodzę do swojego krzesła, sukienka opływa mnie jak woda. A gdy spoglądam przez stół na Sonję i uśmiecham się, Naim również się uśmiecha. Otwiera bu-telkę i nalewa nam dwojgu po kieliszku; pijemy i jemy, i rozmawiamy, jakby Sonji tam w ogóle nie było. Od tej pory, postanawiam, każdego wieczoru będę wkładać no-wą sukienkę. A kiedy pójdę do jego gabinetu, upewnię się, że ona to widzi, że słyszy, jak on zamyka po moim wejściu zasuwkę. Jeśli sprowadził ją tutaj, by była matką dla moich dzieci, a dla mnie strażnikiem więziennym, to niech teraz ona każdego dnia uświadamia sobie na nowo, że prawdziwym moim strażnikiem jest on, natomiast ona, zarówno dla mnie, jak i dla moich dzieci, jest niczym.

Następnego ranka wychodzę, żeby je zobaczyć. W ogro-dzie znów jest wiosennie, ciepło i wonnie, a pod drzewa-mi wręcz parno. Po drugiej stronie willi słońce praży tak mocno, że nie jestem w stanie wytrzymać dłużej na tara-sie. Po słonecznej stronie zamknięte jest każde okno, za-ciągnięta każda zasłona. Od frontu natomiast okna są otwarte, słysząc przez nie muzykę Mozarta, króliczki bie-gają na zewnątrz. Dzieci suną na czworakach za nimi, jak duchy znikają pośród drzew.

Postanowiłam nadać dzieciom imiona. Te prawdziwe są długie i brzydkie i nie mam ochoty ich się uczyć. Nazy-wam je więc Mina i Nema. Mina to przekreścone imię Na-ima. A za imieniem Nema nic się nie kryje. Zrugalabyś mnie za to, mamó. Powiedziałabyś, że jestem o wiele za sprytna. A Naim ich w ogóle nie zauważa, nie dba o nie.

Mina i Nema, Nema i Mina — wyśpiewuję do siebie te imiona niczym kołysankę, idąc w kierunku Miny i zatrzy-mując się w bezpiecznej od niej odległości. Siada i przy-gląda mi się z powagą. Włosy, które ją pokrywały, zniknę-ły już, tak jak przewidział Naim. Sam też się taki urodził. Kiedy włosy wypadły, zebrano je i włożono do małego złotego puzderka; tak samo uczyniono z włoskami Miny. Podobna jest teraz do jego matki, mówi, podobna jest też do mnie. Przyglądam jej się zatem tak samo, jak przyglą-dałam się zdjęciu dziewczyny na ścianie, ale widzę jedy-nie takie samo dziecko z małpią twarzą, jakie poka-zano mi za pierwszym razem — dzikie stworzenie, rów-nie obce jak on sam.

— Jestem twoją matką — szepczę. Śmieję się cichutko na

wypadek, gdyby miała ochotę wrzeszczeć. Nie robi tego jednak, przygląda mi się tylko i przechyla główkę. Odzywam się znowu i tym razem uśmiecha się. Przypomina małe Cyganiątko. Widzę już cztery połyskujące zębki i malutkie złote kółeczka w uszach, maleńki pierścionek na palcu oraz miniaturowe bransoletki na każdym przegubie — złoto, ametyst i perła.

— Thea! — Naim stoi w oknie gabinetu.

Ujmuję maleńkie dłonie i tańczę.

— Cyganeczka, Cyganeczka, Mina, Mina, Mina. — Podnoszę dziewczynkę i przyciskam do piersi. Jest mięciutka i opalona, i pachnie skwaśniałym mlekiem i tym cierpkim, miejscowym mydłem. Wszystko tutaj pachnie tym mydłem.

-Thea!

Ale ja już jestem pijana jej wonią, oszalała od nagłego szczęścia. Całuję jej karczek, włosy. Głaszczę gładką skórę ud.

— Jestem twoją matką — śpiewam — twoją matką, twoją matką, twoją matką.

Kiedy sadzam ją w końcu na ziemi, wybucha płaczem, odwracam się zatem, przypominając sobie, jak sama płakałam przy wykuszowym oknie, obserwując, jak idziesz mozaikowym chodnikiem do garażu. Nie odwróciłaś się, kiedy waliłam w szybę, ani razu. A kiedy odjechałaś, Maude przychodziła po mnie. „Po co tak płakać bez potrzeby? — pytała. — Jutro wróci. Czas już dorosnąć”.

Kiedy staję w drzwiach jego gabinetu, nie podchodzi jak zwykle, by mnie pocałować.

— Muszę cię o coś poprosić — mówi.

Stoję nieruchoma niczym słup soli. Nie znoszę, kiedy mnie o coś prosi. Pragnę, żeby brał, co zechce, tak jakbym nie miała żadnego wyboru.

— Jutro wyjeżdżam — mówi. — Będę bardzo zadowolony, jeśli zostawisz dzieci Sonji.

— Sonji?! — wykrzykuje, jak gdyby był głuchy.

Podchodzi i kładzie mi dłonie na ramionach, ale ja je strząsam. Nie chcę, żeby mnie dotykał. Chcę normalnego męża; sama też chcę być normalną matką.

— Chcę do domu! — wołam. — Chcę pokazać swoje dzieci matce! — Naprawdę tego chcę. Ale w istocie tęsknię za takim życiem, jakie jest udziałem innych dziewcząt — uniwersytet, randki z chłopakami, nauka jazdy samochodem — choć już jest na to za późno, chociaż zawsze było na to za późno.

— Theo — zaczyna — twoja matka wyjechała. Dom jest od kilku miesięcy zamknięty.

Patrzę na niego, ale widzę jedynie cień, ogromny i ma-sywny na tle okna. Gdybym była normalną dziewczyną, czy wiedziałabym, co widzę, mamó? Nawet kiedy próbuję

spojrzeć na niego twoimi oczyma, jedyne, co widzę, to ciebie u szczytu stołu, spowitą w granatowy jedwab, jak jakaś zjawą, i jego czekającego na szansę, by uchwycić moje spojrzenie. A przecież kiedy wyjedzie, będę czekała na jego powrót. Znowu będę nasłuchiwała odgłosu otwieranej bramy, obserwowała zachowanie psów.

— Jesteś łgarzem — szydę, śmieję się zimno i bezlitośnie.—Jesteś królem łgarzy!

— Skoro tak uważasz. — Podchodzi do okna, by ponownie wyjrzeć na zewnątrz. Przyzwyczyił się już do moich obelg, jest nimi wręcz znudzony. — Pojechała w góry — mówi. — Jest w doskonałej formie.

Zapadam się głębiej w fotelu. Zawsze utrzymywałaś, że kłamcę można rozpoznać po oczach. Ja nie muszę widzieć jego oczu, żeby usłyszeć prawdę w wypowiedzianych słowach. Wyjechałaś w góry i zamknęłaś dom. Opuściłaś mnie, mamo, i teraz nie mam już domu, do którego mogłabym wrócić, nawet gdyby to było możliwe.

— Chodź — mówi — chodź ze mną.

Bierze mnie za rękę i jak dziecko prowadzi na sofę. Pozwalam się na niej położyć, pozwalam mu zamknąć sobie oczy opuszkami palców, przesuwać nimi wzdłuż brwi, po policzkach, podbródka, karku. Zupełnie jakby był ślepcem próbującym poznać coś, czego nie może zobaczyć. Jego dotyk jest tak lekki, jest niemalże niczym, a przecież powstrzymuje mnie od zadawania dalszych pytań, tak jak chciał, żeby się stało. Przestaję być świadoma czegokolwiek poza tym, że wiodę dwa żywoty, jeden, w którym wiem, co myślę i czego chcę, i ten drugi — jego dłonie na mojej talii, na biodrach, unoszące mnie niby puchar, niby czarę, tak że bez tego rytuału staję się niczym i nigdy już nie będę wolna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

M

Maude nigdy nie była w stanie znieść wysłuchiwania gam — każdego popołudnia najpierw te ciągle wędrówki dźwięków w górę, a potem znów ich nieustanne schodzenie. Bierze zatem swoją robótkę i wychodzi, idzie ścieżką do przykrytej strzechą altany obok kortów. Nikt tutaj nie grywa w tenisa, goście są na to zbyt starzy, wobec czego przychodzi sobie tutaj, kiedy tylko może, i zasiada w jednym z tych wiklinowych foteli. „I znów powrócił szczęśliwy czas” — podśpiewuje, wyjmując robótkę.

Zazwyczaj śpiewała to dziewczynie w drodze ze szkoły w piątkowe popołudnia. W poniedziałkowe ranki była to z kolei „Podróż sentymentalna”. A czasami, kiedy sprawy przybierały zły obrót, „Jesteś moją szczęśliwą gwiazdą”. Kiedy śpiewa, przypomina sobie wszystko, co zabrał czas.

— Ai, sooga! — mówi do siebie i kręci głową. — Ai, sooga!

Maude wciska się w fotel, przyciska robótkę do piersi

jak tarczę. W cieniu murku tkwi przykucnięty jakiś mąż-cyzna.

— Śpiewaj dalej, kobieto! — prosi, podnosząc się. To

Sonny, starszy kelner, beczelny pawian, który od dnia przyjazdu ma na nią oko.

— Przylazłeś tutaj za mną? — głos Maude brzmi ostro. — Poskarżę się kierownikowi.

On odsłania dziąsła w udawanym przerażeniu.

— O co ci chodzi, he? Ja byłem tutaj pierwszy. Może to ty przyszedłeś za mną?

Maude owija robótkę wokół drutów, a te wbija w kłębek wełny.

— Ej, nie odchodź, kobieto — reaguje szybko mężczyzna. — Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. — Jest zwinny jak małpa, ciemnoskóry. — Tutaj można się poczuć samotnie.

— Gdzie w takim razie jest twoja żona?

— Rozwiodła się ze mną.

Maude ma ochotę się przeżegnać, ale ponieważ on się jej przygląda, drapie się tylko lekko to tu, to tam.

— Też pewnie się czujesz samotna, co?

— Nie, samotna nie. — Ale to kłamstwo. Jest przecież samotna aż do szpiku kości. Samotnością taką samą jak wtedy, gdy zaczęła pracować u Nalii. Każdej nocy przykrywała twarz ręcznikiem i łkała w poczuciu przygniatającego nieszczęścia. Wtedy jednak była młoda, była samotna z powodu swoich nadziei i marzeń. Teraz jest samotna z powodu samego życia, życia, które ułożyła sobie z Nalią i z dziewczyną, i z powodu wszystkich związa-

nych z tym życiem obyczajów.

Kelner wyjmując zza ucha papierosa i zapala. Zapach papierosów domowej roboty zawsze sprawiał Maude przyjemność; ale też ją przerażał. Jest to bowiem zapach ojców i braci, śmiejących się i sprawiających kłopoty męż-czyzn.

— Tam z tyłu puszczają dla nas w sobotnie wieczory filmy — mówi kelner. — Jeżeli zechcesz, możemy iść w niedzielę na spacer.

— A! — wykrzykuje Maude, odganiając w ten sposób

jego propozycją. Otwiera torbę na robótki i udaje, że czegoś w niej szuka. — W domu w niedzielę chodzę do kościoła — mówi — z siostrą.

— Do misji nie jest zbyt daleko; można tam dojść spacerkiem.

— Próbowaliśmy dojechać autem. Za daleko.

Przypomina sobie, jak po kościele razem z Dorothy idą aż do samej plaży. Zdejmują pończochy, podwijają spodnice i wchodzi do wody, żeby napełnić butelki. Brakuje jej Dorothy, brakuje jej morza.

— Posłuchaj, kobieto — mówi kelner. — W niedzielę po śniadaniu będę czekał na ciebie przy bramie. Przejdźmy się. Nie zawieź mnie, dobra?

Kiedy Maude wchodzi, Nalia pisze coś w swoim notatniku.

— Dzisiaj idę tam na kolację — mówi, nie podnosząc wzroku. — Włożę tę czarną z koronką. — Wie, że Maude się dąsa. Mimo to na razie Nalia nie zamierza pozwolić, by coś zepsuło tę przyjemność, którą czerpie z faktu, że powraca jej głos, jej nadzieja. Może jutro zatelefonuje do Katzenboga, zaprosi go na weekend.

Tak naprawdę pragnie przeczytać mu to, co napisała o mężczyźnie duchu. Ileż to razy Katzenbogen mówił jej, że zazdrość nie ma nic wspólnego z samym przedmiotem zazdrości? Nawet ojciec dziewczyny, nawet ten złodziej, który przyszedł i zabrał córkę — wszyscy oni stanowią je-dynie pokarm dla wgryzającego się w jej

wnętrznosci szczura. Powinna sięgnąć pamięcią wstecz, najdalej, jak potrafi. Powinna sięgnąć do samego początku.

Cóż on może powiedzieć Nalii o pamięci? Opowiedz

mi, co wydarzyło się w tym tygodniu, tak jakbym była ślepa i głucha, mówiła do córki. Była to taka gra, którą wymyśliła, sama będąc dziewczynką, kiedy tam leżała, nieporuszenie jak śmierć, obserwując i nasłuchując. Jeśli jest zazdrosna o oczy i uszy córki, od czasu kiedy ją zabrali, to dlatego że dziewczyna nie wie, jak używać ich właściwie. W jej listach jest wszystko oprócz samego zło-dzieja. Pierścień na palcu? Przyzywający ją cień pod wodą? Co to jej mówi? Może córka nie potrafi dotrzeć do korzeni tej tajemnicy. Kiedy wróci do domu, Nalia odczyta jej swoje notatki, pokaże jej, jak szukać stosownych słów na określenie zera.

Popija wódkę i spogląda na góry. Nadzieja niesie ze sobą niebezpieczeństwo; wie o tym. Niemniej, kiedy tak siedzi i czuje w nozdrzach woń prasowanej tafty, chce myśleć wyłącznie o głosie, dojrzewającym w jej płucach i o czekającym na nią każdego ranka na murku mężczyź-nie duchu. A gdyby córka jutro wróciła? Nalia odpycha tę myśl. Już siedem miesięcy bez listu, bez niczego. Dla-czego miałyby w ogóle się zastanawiać, co się stanie, jeśli córka przyjedzie do domu? Albo jak sobie poradziła, kie-dy urodziły się dzieci?

Ona sama była zbyt chuda, by zacząć krwawić we wła-ściwym wieku. Dojrzewanie musiało poczekać, jak wszystko inne w jej życiu, na koniec wojny. A kiedy ten nastąpił, wreszcie zaczęła krwawić, a potem urodziła dziecko, a potem już na zawsze przestała krwawić — wydawało się, że wszystko to zdarzyło się w jednej chwili. Cóż za-tem pozostało? Jej zdjęcie w gazetach, ktoś z uniwersyte-tu zamierzający napisać historię jej życia? Podczas gdy każda zwyczajna dziewczyna może robić wszystko to, cze-go ona już nigdy nie będzie mogła robić? Na czym jej

zresztą nie zależy? Gdzie zatem w tym wszystkim jakaś strata? Gdzie ta zniewaga?

— Pszepani? — Maude stoi z sukienką w rękach. — A bi-żuteria?

Maude jest zakochana w jej biżuterii. Być może Nalia zapisze jej w testamencie tę wysadzaną perłami i amety-stami bransoletę. W niedzielę zawiezie ją na mszę do mi-sji — to wyrwie ją z tych dasów. Nalia sama uwielbia słu-chać śpiewających Afrykanów, anielsko zestrojonych ze sobą. Gdyby Maude była Afrykanką, być może miałyby głos wart słuchania. A tak jest on cieniutki jak trzcina i ostry. Nalia odeśle ją,

żeby sobie usiadła na drugim końcu kościoła; pewnie nawet wtedy usłyszy jej trele w całym niewłaściwej tonacji. Gdyby mogła, zabroniłaby Maude w ogóle śpiewać. Uciszyłaby także gnieźdzące się pod strzechą szpaki oraz tę Gracie Winthrop, przechoǳącą codziennie przed podwieczorkiem obok jej bungalowu — codziennie ta głupia krowa odwraca głowę, żeby rzucić: „Miłego popołudnia, maestra”.

Patrząc teraz na siebie w lustrze, Nalia żałuje, że to nie na scenę wychodzi dzisiejszego wieczoru. Suknia z czarnej koronki doskonale jest dostosowana do jej figury — hlouson u góry, dopasowana w biodrach. Włosy zaczesała do tyłu, założyła za uszy i polakierowała, nadając im kształt rzymskiego hełmu. Pierwszy raz od roku odczuwa gotowość do występu. W istocie mogłaby wyjść natychmiast, ujrzeć, jak światło ze sceny pada na twarz siedzącej w pierwszym rzędzie córki, dostrzec w loży to zero, które sądzi, że ona nie może go tam zobaczyć. Przez osiemnaście lat nie opuścił żadnego koncertu, ale nadal uważa, że ona nie odszuka go wzrokiem, nie dojrzy go za tym filarem.

A przecież, stojąc przed tym lustrem, nie za nimi tak naprawdę tęskni. Jest to ten moment, w którym o nich zapomina, zapomina o sobie samej. Tęskni natomiast za tą chwilą ciszy poprzedzającą tamtą inną przyszłość, tę, którą ma przed sobą — pełną chwały przeszłość, która musi się urzeczywistnić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

P

odczas nieobecności Naima każdego ranka wychoǳą, żeby zobaczyć dzieci. Kiedy sięgam po nie, one wyciągają do góry rączki, podnoszą je więc, przyciskam do siebie, krzepkie jak małe szczeniaczki. Nie pojmują mojej zawziętej radości. Wyrrywają się albo śmieją, jak gdyby to, co robię, było żartem, ja natomiast zastanawiam się, jak by to było, gdyby mi ich nie zabrano. Gdyby należały do mnie, jak ja należałam do swojej matki, czy byłabym równie zawzięta jak ona? Nie wiem, nie wiem nawet, czy tańczyła ze mną w taki sposób i czym jeszcze może się radować oprócz triumfu z wykluczenia z tego wszystkiego ojca.

Sonja jest cieniem na tle drzewa. Od wyjazdu Naima przestała przychodzić do mojego pokoju. Może teraz, kiedy opuściła mnie matka, nakazał jej, by zostawiła mnie w spokoju. A może ona wie, że wykonała już swoje zadanie, gdy ja włożyłam tę szarą, jedwabną sukienkę. Jakakolwiek jest przyczyna, kiedy wychodzę na trawnik,

jej ponury głos milknie, a wszyscy odwracają się, by patrzeć na mnie.

Dzisiaj trzymam w ramionach skrzącą się od biżuterii Nemeę. Wpatruje się we mnie jak zwykle, czekając, co na-stąpi za chwilę.

— Matka mnie opuściła — śpiewam cichutko w jej włosy — opuściła, opuściła, opuściła.

Kiedy zaczynam z nią tańczyć, chwyta paluszkami ramię mojej sukienki i trzyma się mocno, zupełnie jak gdybym mogła ją upuścić. Śmieję się zatem do niej, tak jak przedtem do Miny. Wiruję z nią ze śmiechem, aż ona sama zaczyna się śmiać. To szalony śmiech, z tą jej rozszczępioną wargą — bardziej krzyk przeraźliwy niż śmiech — ale kiedy go słyszę, milknę i przytulam ją mocno do siebie. Płaczę, całując jej karczek, włosy, i nie obchodzi mnie, czy ktoś nas obserwuje, nic mnie nie obchodzi.

Mina zbliża się na czworakach, wyciąga do mnie rączki i płacze. Wobec tego ją też podnoszę. Ciążą mi obie na biodrach, ale gdy zaczynam tańczyć, stają się lżejsze, a śmiech staje się czymś na kształt piosenki, jest dla nas niczym krzyk. Jesteśmy trójgłowym potworem wyjąłym unisono, osieroconym, bezdomnym, szczęśliwym.

Zatrzymuję się w pełnym słońcu, opadam, ciężko dy-sząc, na trawę. One jednak ciągną mnie za włosy i wspinają się na mnie, chcą, żeby ta zabawa trwała dalej. Sonja nie przestaje obserwować, nie potrafi się od tego powstrzymać. Mówi coś do opiekunek i te podchodzą, żeby zabrać dzieci.

Spoglądam w słońce i zamykam oczy, kiedy je odnoszą. Gdyby nie było tutaj pilnującej mnie Sonji, czy w ogóle wyszłabym na dwór? Moja matka rzadko wychodziła do ogrodu. Kiedy chciałam jechać na piknik, jak inne dzieci, kazała Maude zapakować do koszyka herbatniki i coca--colę i zabrać mnie na ten niżej położony trawnik. Czasami machała do nas z werandy, zupełnie jakbyśmy udały się, jak wszyscy inni, do Jameson Park albo na plażę.

Jednak pomiędzy matką i Maude byłam tylko ja, nigdy żaden mężczyzna. Jeśli się pokłóciły, ja byłam tą, która chciała, żeby Maude znów zaczęła śpiewać. Pukałam do

jej drzwi, niosąc złożony ze szczotki i grzebienia komplet, który dostałam od matki, albo mój flakon perfum Dzika Gardenia.

— Idź sobie — mówiła wtedy — mam teraz wolne.

— Ale ja mam dla ciebie prezent.

— Idź sobie.

— Nigdy nie mogłam wytrzymać, jak ktoś się dąsał — mówiła matka, kiedy Maude wносиła tacę z drinkami. — Nigdy się nie dąsaj, słyszysz? — mówiła, gładząc mnie po głowie, którą trzymałam na jej kolanach. — Miejsce dąsających się jest na dnie jeziora, tak jak miejscem robaków jest błoto.

A potem, kiedy po kolacji wchodziłam do kuchni, Maude podchodziła do zlewu albo do pieca i odwracała się do mnie plecami.

— Powiedz jej, że to ona jest robalem, który się dąsa — mówiła. — Powiedz jej, niech się sama nauczy.

Kiedy po południu słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, wychodzę na taras, żeby popatrzeć na morze. W domu zmierzch nie trwał nawet pół godziny, nim następowała nagła ciemność. Teraz wszakże wychodzę, żeby oglądać gasnące powoli światło i sprawdzić, czy nie przepływają jakieś statki. Patrę wtedy na nie tak, jak zwykliśmy pa-trzeć z okna szkolnej biblioteki na wracające do domu dziewczęta z Rangston. Ich szoferzy czekali z ciasteczkami i butelkami soku. A każda z nas wybierała sobie dziewczynę, której najbardziej nienawidzi. Moja miała rude włosy i piegi i była pulchna jak ja sama.

Jak dzikus unoszę ramiona wysoko do słońca. Każdego popołudnia zdejmuję ubranie i wychodzę nago na słoń-

ce. To tak, jak gdyby ono zostało moim kochankiem i ogrzewało moje ciało jak lampa. Gdyby dostrzegł mnie ktoś ze statku, nadal stałabym tak, jak stoję, z szeroko rozłożonymi ramionami i szeroko rozstawionymi nogami. Mam dziewiętnaście lat i sześć miesięcy i czuję, że w każdej chwili mogę się zestarzeć, że już jest niemal za późno. Wychylam się przez balustradę i patrę w dół, na morze. Jak tam ślicznie, zielono i gładko, i połyskująco. Czasami aż tu na górę dochodzi mnie jego woń, a czasami, przy odpowiednim wietrze, czuję, jak za willą psują się owoce pomarańczy. Dzisiaj natomiast słyhać krzyk jakiegoś zwierzęcia, niski i chrapliwy, odwracam zatem głowę, by posłuchać. Idę wzdłuż tarasu, wysilając słuch, by usłyszeć

pomińmo szeleszczącego w krzakach wiatru. Dźwięk zdaje się dochodzić z wnętrza samej willi. Podnoszę wzrok. Okna u Naima są otwarte. Ten krzyk dochodzi z jego wieży.

Z początku nie widzę jej w tym przyćmionym świetle, potem jednak dostrzegam ją na jego podnóżku, łkającą, zgiętą wpół jak jakaś wielka, czarna wrona. Czekam w progu, dopóki wreszcie nie usiądzie prosto, nie oprze łokci na kolanach i nie zacznie przyglądać się czemuś, co trzyma w dłoniach. To rdzawy, jedwabny fular Naima, ten, który wkłada do granatowej bonzurki. Ponownie przyciska do niego twarz, łkając żałośnie.

Ja łkałam tak samo za matką. Zanurzyłam się w tym poczuciu nieszczęścia, jakby było ono jeziorem, a ja celo-wo tkwiłam w jego głębi, i próbowałam już nigdy nie zacerpnąć oddechu. Być może mogłybyśmy w tym stanie oczekiwać powrotu Naima — ona płacząc, ja obserwując. Już nic w tym miejscu nie wydaje mi się niemożliwe. Wi-

działam krowę pijącą z wymienia innej krowy. A króliki rzeczywiście siedzą na drzewach. Wiem to, bo kiedy się zbliżam, zeskakują i kicają gdzieś w bok.

Sonja prostuje się, rozgląda za okularami. Upadły na podłogę i leżą obok. Mogłabym jej powiedzieć, gdzie są, ale chcę nadal obserwować. Małpka też obserwuje, z szafy, raz przynajmniej milcząca. Sonja wkłada fular do kieszeni spódnicy i zaczyna poruszać się na czworakach, niczym raczkujące dziecko

Wtedy stoję przed nią, a ona odskakuje, mrugając. Pozbawione okularów, jej oczy są jak czarny jedwab. Nawet w tym półmroku widzę, że ma grube i długie rzęsy, piękne oczy i doskonale zarysowane łuki brwi.

Chwytam okulary i wymierzam palec w jej kieszeń, wyciągając dłoń po fular. Ona jednak robi unik, zupełnie jakby się bała, że ją uderzę. Nos i wargi ma opuchnięte od płaczu, dłonie podrapane do krwi. A dłonie i stopy ma ogromne, jak Naim. Robię jeszcze jeden krok w jej kierunku, nadal trzymając wyciągniętą rękę. W każdej chwili ona może skoczyć na mnie i podrapać mnie tak, jak siebie samą, ale ja się nie cofam. Przechyliłam głowę, by usłyszeć wieczorny wiatr. Naim uwielbia jego zawrozenie wokół wieży. To muzyka bogów, powiada. Wyśpiewuje nam serenady.

Wyjmuje fular z kieszeni i ciska nim we mnie. Podnoszę go stopą, ujmuję dwoma palcami jak coś obrzydliwego. Potem rzuca w jej kierunku okulary, jakby była psem. Patrzę, jak szuka ich po omacku na podłodze, jak je nakłada. Są grube, w czarnych oprawkach, i rzucają groźne błyski. Ale przynajmniej teraz już mnie widzi;

widzi, jak stoję tam naga i wymachuję jego fularem. Chcę, żeby pamiętała mnie taką za każdym razem, kiedy pomyśli o Naimie. Chcę, by było to elementem jej kary.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

M

Maude widzi, jak on się odwraca, kiedy w nie-dzielny poranek przejeżdżają autem przez bramę., ale siedzi sztywno i prosto i patrzy przed siebie. Będzie miał jej to za złe, wie o tym. Wszyscy w kuchni będą mieli jej za złe, ale cóż oni wiedzą o Nalii?

Gdyby Nalia dowiedziała się o Sonnym, natychmiast poszłaby do kierownika i zaczęła krzyczeć, a Sonny straciłby pracę. Bezczelny z niego małpison, ale przecież dzisiaj specjalnie dla niej włożył kapelusz i ładną, białą koszulę i Maude nic na to nie poradzi, że wołałaby teraz iść tą pełną pyłu i kurzu drogą razem z nim.

Spogląda na swoje dłonie. Są szorstkie i pokryte piegami i Maude nie ma pojęcia, dlaczego on na nią leci. To prawda, już wcześniej mężczyźni na nią lecieli. Przez wszystkie jej lata w tym dużym domu przychodzili do furtki od tyłu i naciskali dzwonek, ale ona nigdy ich nie wpuszczała. Nigdy też nie rozmawiała z nimi na ulicy. Wierzyła w to, co Nalia powiedziała jej o mężczyznach. Zresztą, tak czy owak, po cóż jej mąż, popijający i brudny, i wydający jej pieniądze?

Jednak obecnie, w tym górskim miejscu, Maude czuje, że ma dość dotychczasowego życia. Dorothy nieustannie powtarza, że razem się zestarzeją, że wykorzystają oszczędności, by zamieszkać w domu opieki. Tyle że

Maude nie chce wydać swoich oszczędności na dom opieki. I nie chce mieć przy sobie na stare lata Dorothy, z tym jej wściubianiem nosa w nie swoje sprawy. Chce natomiast, żeby wszystko było tak jak niegdyś, żeby nie musiała tak bardzo współczuć temu małpisonowi przy bramie.

Co się z nią tutaj stało? Boleje nad wszystkim, nawet nad tą wariatką, która pójdzie za byle śmieciem w busz, jeśli tylko odczuje taką ochotę, i która nie pozwala jej śpiewać w tym bungalowu, nie pozwala nikomu, by robił to, na co ma ochotę.

— Tym razem jesteśmy za wcześnie — odzywa się Nalia.

Biały ksiądz stoi przy wejściu do małego kościółka. Nalia wita go skinieniem głowy, ale nie zatrzymuje się na chwilę rozmowy. Zawsze jest taka nieuprzejma, wchodzi tu niczym królowa, bez apaszki chociażby czy kapelusza. Kto jednak miałby jej powiedzieć, jak się należy zachować? Przy wyjściu ten sam ksiądz ujmie jej dłoń i poprosi, by przyszła ponownie. Ludzie będą się do niej uśmiechać, zupełnie jakby mogła im dać pieniądze czy pracę. i

— Usiądź tam. — Nalia wskazuje przeciwną stronę ko- \ i
ścioła. Spogląda na sufit, żeby sprawdzić akustykę, potem \f
siada w połowie nawy, przy przejściu. Stąd będzie dobrze " i
słyszała ich pełne, jasne głosy i widziała rozkołysane po-
staci. Kościół już jest wypełniony ciemnymi, błyszczącymi ;
ciałami, pachnącymi balsamem nawilżającym i mydłem \
Lifebuoy. Ale najsilniejsza jest rozkoszna woń kurzu i uży-]
wanego do bielenia ścian wapna, i płonących świec. 1

Nalia przymyka oczy i myśli o niedzielnych porankach nad rzeką, lunchach na wybrzeżu. Dopóki salon odchudzania nie zajął się córką, niedziele były wręcz doskonałe. Siedziały na werandzie hotelu, dziewczyna tak rozgadana, że trzeba jej było przypominać, by jadła kanapkę

z langustą. Wystarczyło jednak, żeby zauważyła widownię dla swojego ciała, a już nie mogła doczekać końca lunchu, żeby przebrać się w swoje czerwone bikini i paradować po schodkach prowadzących do basenu. Schodki były jakby do tego celu stworzone, zakręcały za kępą dzikich bananowców, a ostatnie dwie kondygnacje wyłaniały się, całe wyeksponowane. Na dole wybierała sobie leżak i ustawiała go przodem do hotelu, a tym samym przodem do starszych panów w szortach i podkolanówkach, którzy odstawiali na stoliki swoje piwo, żeby ją obserwować.

Czy wobec tego to ci starsi panowie stanowili zawsze niebezpieczeństwo? Nalia spogląda poprzez przejście na koi-bietę z chłopczykiem u boku. Malec ma uczesane i wypo-madowane włosy i też śpiewa. Nigdy nie pragnęła żyć z innymi ludźmi, teraz jednak chce być tą kobietą. Chce uciszyć ten głos, który zdaje się pobrzmiwać w jej krwi dzień i noc, i zawsze budzi ją nad ranem jedenaście po trzeciej.

Gdyby córka miała wrócić do domu, czy ten głos by zniknął? Prawdopodobnie nie.

Katzenbogen powiedziałby, że był tam zawsze, a ona jedynie teraz zwróciła na niego uwagę. Ale co on wie? Nie może przecież słyszeć, jak zdaje się on czynić całe jej życie jednym wielkim pytaniem. Kiedy córka była w domu, wydawało się, że takie pytanie nie jest potrzebne. Jednakże teraz, kiedy odeszła, Nalia ponownie wróciła do siebie, niczym gość — ktoś, kto wyszedł z cienia i próbuje sobie przypomnieć, jak ona się nazywa.

Sonny czeka przed kościołem. Maude widzi jego kapełusz na drugim końcu tłumu, odwraca się zatem, staje z boku, żeby zaczekać na Nalię.

Tymczasem on ją odnajduje i podchodzi.

— Widziałaś mnie przy bramie, prawda? — mówi. Już nie żartuje, jest szorstki i zagniewany.

Maude ogląda się na Nalię, ale ta nadal rozmawia z księdzem.

— Ona może narobić ci kłopotów — szepcze — może na ciebie naskarżyć.

— Ta stara szympansica? Co mi może zrobić?

— To nie jest zła kobieta. Ma tylko zmartwienia..

— Co z tobą, kobieto? Przecież ona zadaje się z tym łązęgą, kiedy tylko ma na to ochotę.

— Maude?

— Ssz! — syczy Maude. — Po podwieczorku mogę przyjść na korty.

— Maude? A, tam jesteś! — Nalia idzie przez trawnik w ich kierunku. — Och! Czyż to nie było wspaniałe? —

Bierze Maude pod rękę, kładzie jej głowę na ramieniu. —

Och, Maude — wykrzykuje — co ja bym bez ciebie zrobiła, moja droga, stara przyjaciółko?

Maude zna ten nastrój. Śpiew zawsze wywołuje u Nalii doskonałe samopoczucie.

Niemniej Maude jest szczęśliwa, kiedy czuje dotyk delikatnej skóry Nalii, kiedy czuje zapach jej lakieru do włosów, kiedy widzi zdumienie patrzących.

— Jestem stara głupia krowa i stary, próżny strach na wróble — oznajmia Nalia. — Ale przecież znosiłyśmy się wzajemnie przez te wszystkie lata, prawda? Możemy razem być starymi, głupimi krowami.

Ten nastrój trwa do końca dnia. Nalia zamawia do lunchu butelkę wina i proponuje kieliszek Maude, namawia ją, by choć raz spróbowała.

Maude kręci głową. Kiedy Nalia jest w takim nastroju, wszystko może się zdarzyć. Kiedyś, na pół godziny przed wyjazdem w głąb kraju, Nalia postanowiła, że zabierze ze sobą Maude. Zatrzymają się po drodze w wiosce Maude i odwiedzą jej matkę. Nalia ją tam zostawi i zabierze w drodze powrotnej. Nie miało dla niej najmniejszego znaczenia, że Maude nie chciała jechać, że matka Maude była pijaczką, zawsze proszącą o pieniądze, wysyłającą do miasta braci Maude, by ci dzwonili do bramy i robili niepożrebny szum. Nalia dała jej dziesięć minut na spakowanie i wyruszyły.

Nalia splata dłonie na karku i odchyła się do tyłu, aż skrzypi fotel.

— Natychmiast po otrzymaniu wiadomości, że ona wraca, jedziemy do domu — mówi. — Obiecuję.

Maude kiwa głową. Sama liczy miesiące. Może dziewczyna nie pisze, bo teraz ma już własne dzieci. A może mąż jej nie pozwala. Kto to może wiedzieć, jak się mają sprawy u takich szaleńców? Każdego wieczoru modli się za dziewczynę i za dzieci, i za ich szybki przyjazd do domu.

— Która godzina? — pyta Nalia. — Nie! Pozwól, że zgadnę! Wpół do trzeciej?

Maude rumieni się. Jak może iść na korty, kiedy Nalia wie o wszystkim, zupełnie jak czarownica?

— Wieczorem — oznajmia Nalia — powiem im, że myśle o daniu koncertu. Po tych wszystkich miesiącach to

ich powinno ucieszyć, nie sądzisz? Co powinnam włożyć?

Znowu tę czarną koronkową? Czy beżową jedwabną?

W końcu wino usypia Nalię w fotelu na werandzie; zasypia tak mocno, że Maude, która chce odprowadzić ją do łóżka, nie może jej dobudzić. Wobec tego zdejmuje san-

dały i w samych pończochach schodzi po stopniach. Na dole przysiada na słupku, wkłada sandały i jak kot skrada się poprzez trawnik.

Kiedy dociera do kortów, on już tam czeka. Ma dla niej kubek herbaty i dwa herbatniki na blaszanej tacce. Maude bierze kubek, choć wolałaby, żeby wiedział, iż w domu ona zawsze pija herbatę z porcelanowej filiżanki, z talerzykiem, i że Nalia nie jest starą szympanaicą, która zadaje się z tamtym łągą, kiedy tylko ma na to ochotę. Jest sławna, w każdej chwili może sobie obejrzeć jej zdjęcia w gazetach.

Herbata jest letnia i przesłodzona. Wypija ją szybko. Potem wyjmuje robótkę i zaczyna liczyć oczka.

— Każdego miesiąca — odzywa się mężczyzna — płacę ratę na auto.

Maude podnosi na niego wzrok. Tamten siedzi niepewnie na brzeжку jednego z trzcinowych krzesel, po bezczelności ani śladu.

— Na taksówkę — dodaje.

— A dokąd tu niby można jechać taksówką?

— Nie tutaj, kobieto... w mieście. Mam dom w Wentworth. Teraz mieszka w nim moja siostra.

— A dzieci masz?

— Chłopca i dziewczynkę. Ale są duże, już mnie nie potrzebują.

Maude rozważa tę informację, kiedy zaczyna wywijać drutami. Ma siostrę i dwoje dzieci. Ma dom w Wentworth. I oszczędza na taksówkę.

— Zostaw tę robótkę, skarbie — odzywa się mężczyzna. —

Pogadajmy, co?

Już drugi raz tego popołudnia jej policzki płoną. Dotąd jedynie mężczyźni na ulicy wołali za nią „skarbie”. Ale

ten tutaj nie jest prymitywny jak tamci. Bardzo zależy mu na rozmowie, na rozmowie z nią. Przestaje poruszać rękoma, ale wciąż nie może się zmusić, żeby na niego spojrzeć.

— W czwartki mam wolne popołudnia — mówi mężczyzna.

— A ty?

— Tylko niedziele, ale mogę poprosić.

Owszem, poprosić może, co jednak powie Nalii? Jeśli Nalia się dowie, że chodzi o mężczyznę, będzie strasznie, okropnie. A przecież jeśli skłamię, Nalia na pewno się zorientuje. Za każdym razem, kiedy łapała na kłamstwie dziewczynę, był straszny wrzask i ciskanie przedmiotami i to Maude zawsze musiała odprowadzać dziewczynę do jej pokoju i pocieszać ją tam, pozwolić jej bawić się swoim różańcem i figurką Matki Boskiej.

— Możemy pójść do kawiarni kawalek stąd, pokażę ci okolicę.

Nawet jego głos powoduje, że czuje się niczym zdrajczyni. Kiedy ojciec dziewczyny przychodził na obiad, jego głos wił się wzdłuż korytarza, obok spiżarni, docierał do kuchni, a tam do jej uszu, jak głos samego diabła. Po kolacji zachodził, żeby dać jej napiwek, ona jednak, ledwie ten wyszedł, przekazywała pieniądze posługaczowi. Dopóki nie porwano dziewczyny i dopóki Nalia nie oszalała, ona zawsze wierzyła w to, co tamta mówiła jej o mężczyznach.

— Jestem katoliczką — oznajmia.

On wpatruje się w czubek papierosa. Czoło mu błyszczące, ma przerzedzone włosy.

— Nie próbuj mnie zniechęcić — mówi.

Maude nieraz zastanawiała się, co by się stało, gdyby musiała wybierać pomiędzy pozostaniem z Nalią a pod-

jęciem ryzyka. Jeśli zostanie, skąd będzie wiedziała, co Nalia dla niej zrobi? Raz obiecuje jej to i owo, a już po chwili grozi, że ją wyrzuci tak jak stoi. Jeśli zostajesz z wariatką, mówi Dorothy, masz to, na co zasługujesz. Dorothy nigdy nie chce słuchać, kiedy Maude opowiada o dobrych czasach z Nalią. Być może jest zazdrosna. Gdyby dowiedziała się o tym starszym kelnerze, poleciałaby prosto do księdza.

— Pełno tu nic niewartych dziewczuch — mówi ten tym-czasem, ponownie spoglądając na nią. — Zobaczyłem cię już pierwszego dnia, widziałem twój dumny krok. Wiesz, facet może zatęsknić za dumną kobietą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

P

Przez trzy dni nasłuchiwałam, czy Sonja napełnia wodą wannę. Bo dwa razy w tygodniu, po kolacji, przygotowuje sobie kąpiel. Jest to ta pora dnia, którą lubię najbardziej; nietoperze już latają, a powietrze nadal jest ciepłe. Zazwyczaj siedzę wtedy na tarasie, w resztkach dziennego światła piszę w swoim notatniku. Teraz jednak czekam wewnątrz, aż rury zaczną dygotać i po-dzwaniać.

Odkąd złapałam ją, jak płakała w pokoju Naima, unika mnie. Jeśli idę korytarzem, odwraca się i odchodzi w przeciwnym kierunku. Poluję zatem na nią jak na jakieś zwierzę, żeby sprawdzić, jak blisko uda mi się podejść, nim się odwróci. Chcę, żeby wiedziała, że jak długo tutaj pozostanie, tak długo będę ją w ten sposób prześladowała. Za swoje dzieci, za wszystko, co zechcę.

Dzisiaj chcę zdobyć klucz do gabinetu Naima. Nieraz widziałam, jak zanosila tam swoją małąkę. Puszczą też jego muzykę, gdy ja tymczasem muszę słuchać pod drzwiami, a przecież to ja jestem jego żoną, a ona tylko przyrodnią siostrą.

Kiedy słyszę dzwonięcie rur, wybiegam ze swojego pokoju, pędzę korytarzem do drzwi dzieciennego pokoju. Dzieci już śpią, opiekunki poszły do siebie. Wślizgnę się zatem do środka, na moment jedynie, żeby na nie popa-

trzeć. Nigdy przedtem nie byłam w tym pomieszczeniu; stanowi ono część apartamentu Sonji, podobnie jak Naima, wysuniętego nad skałę; wokół witrażowe okna oraz świetlik, który można uchylać w czasie upałów. Kiedy przybyłam na tę wyspę, weszłam tutaj. Nie chciałam jednak tych pokoi dla siebie. Z tym nadmiarem szyb wydawały się zbyt zimne. Wtedy wszystko na tej wyspie było zimne.

Dzieci śpią w łóżeczku, wtulone w siebie wyglądają jak bliźnięta syjamskie. Nachylam się i wdycham ich zapach, woń skwaśniałego mleka oraz owsianki. Marzę, by porwać je na ręce i uciec. Dokąd jednak mogłabym pójść? Jak miałabym przejść przez tę prowadzącą do willi bramę?

Odwracam się i przechodzę do pokoju Sonji. Wszędzie widzę walizki i w pierwszej chwili myślę sobie, że ona pewnie w końcu wyjeżdża. Po chwili jednak orientuję się, że żadna z tych walizek chyba nigdy do końca nie została rozpakowana. Dwie, zepchnięte na bok, opierają się o ko-modę, a pomiędzy nimi leży stos prania. Suknię cisnęła na krzesło, a wielkie czarne buty, nadal zasznurowane, rozrzuciła na dwie strony.

Ona sama pluska się w wannie, pochrzäkując jak zwierzę, w czym towarzyszy jej mamrotanie małpy. Podnoszę jej suknię i szybko wyciągam z lewej kieszeni klucze. Są na kółku, jak u Maude, a kółko przymocowane jest do skórzanego paska. Ten pasek widziałam codziennie owinięty wokół jej nadgarstka, ale samych kluczy do tej pory nie widziałam. Podchodzę z nimi do fotela i oglądam uważnie. Do każdego przymocowano mały, mosiężny krążek z wrytym napisem, którego odczytać nie potrafię. Niektóre klucze są duże, jak nasze, staroświeckie i proste, ale są też mniejsze, bardziej nowoczesne, tkwiące razem, w jednym pęku.

Znam klucz do jego gabinetu. Jest długi i płaski, jak klucz do naszej komódki w domu, tyle że grubszy i cięższy. Przez całe życie zwracałam uwagę na klucze. Lubię wiedzieć, do czego pasują, jak działają. „Po co ci własne klucze? — krzyczała matka. — Kiedy już dorośniesz do własnych kluczy, będziesz też wystarczająco dorosła, by pojąć mnóstwo różnych rzeczy”.

Z łazienki dobiega plusk, po nim głuchy odgłos; woda zaczyna spływać. Przebieram szybko palcami po pęku kluczy, aż trafiam na ten od gabinetu. Zdejmuję go z kółka, a pozostałe wsuwam z powrotem do jej kieszeni.

Po zimnym kamieniu willi jego gabinet zawsze mnie zaskakuje — jest taki ciepły, nawet jeśli w kominku nie płonie ogień. Podchodzę do zasłon i wdycham ich zapach. Pachną słońcem i kurzem, tak jak te nasze, i właśnie mam je zaciągnąć, kiedy słyszę dwie siostry. Podbiegam do bocznej okna, żeby wyjrzeć. Idą przez przykuchenny trawnik, z chustami zawiązanymi pod brodą, dźwigają ten podwójny kosz, w którym codziennie przynoszą ze wsi produkty spożywcze.

To dlatego Naim nie chce, żebym tu przychodziła, nim one wrócą do siebie na noc. Jeśli powiem, że chciałabym posłuchać po kolacji muzyki, zaciąga zasłony, nawet

jeśli nie jest jeszcze ciemno. Tam nie ma nic ciekawego do oglądania, mówił, a ja mu wierzyłam. Wierzyłam, że te siostry pojawiają się i znikają jak duchy.

Tymczasem widzę je tutaj, słyszę ich głośną rozmowę, otwieram zatem okno i wychodzę na rosnącą pod nim

trawę. Powietrze na zewnątrz jest ciepłe i wonne, króliki jak zwykle cieszą się swobodą, śpiewają nocne ptaki. Biegnę wzdłuż bocznej ściany domu, pod okapem, ani na chwilę nie tracąc sióstr z pola widzenia. Kiedy dochodzą do ogrodzenia, starsza wyjmuje z kieszeni klucz; widzę, jak połyskuje w słabym wieczornym świetle. Podchodzę bliżej, obie jednak odwrócone są do mnie plecami, a samo ogrodzenie kryje się w cieniu. A potem, niespodziewanie, są już po drugiej stronie i skrzeczą do siebie niczym para szpaków.

Czekam, aż znikną, a potem podbiegam do ogrodzenia, żeby mu się przyjrzeć, idę wzdłuż niego, szarpię za każdy słupek, każdą poprzeczkę. Nie znajduję jednak ani śladu furtki, nawet nie słyszałam odgłosów jej otwierania czy zamykania. Kiedy Maude otwierała kłódkę, każdy mógł usłyszeć zgrzyt metalu, dzwonienie opadającego łańcucha. Kiedy zaś pchała samą bramę, ta piszczała jak jakieś zwierzę, a całe ogrodzenie aż od tego drgało. Nim przez nią przeszłam, oglądałam się na dom. Patrzyłam nań w pełnym porannym słońcu, jakbym chciała wypalić jego obraz we własnych oczach. To ogrodzenie natomiast jest milczące, mocne i niewzruszone. I siostry rzeczywiście przeniknęły przez nie jak duchy.

Całą noc spędzam na sofie otulona w bonzurkę Naima. Bez niego to tylko sofa, pochyła i niewygodna, dlatego też ledwie drzemię, mam wrażenie, że unoszę się lekko w powietrzu, przemykam korytarzami willi, odwiedzając różne jej pomieszczenia. A potem, nagle, zupełnie jakbym cały czas tego właśnie szukała, budzę się ze wzdrygnięciem pod wpływem raptownej myśli o barku — o kluczach, które widziałam wiszące po wewnętrznej stronie jego drzwiczek. Zapalam lampę i podbiegam do

nich, otwieram. Są tam — rzędy wiszących na haczykach kluczy.

Z nadejściem świtu wracam do ogrodzenia; idę wzdłuż niego, przesuwam dłonie po każdym słupku, każdej poprzeczce. Kiedy wreszcie odnajduje, furtkę, okazuje się ona niemalże niczym, jakby była cieniem samej siebie, jest pod moimi palcami cieniutką jak włos rysą w metalu. Wsuwam dłoń pod poprzeczkę, znajduję zamek i kucam, by zobaczyć, jaki klucz do niego pasuje. Teraz już słyszę z kuchni głosy

opiekunek; przygotowują śniadanie dla dzieci. Jednak one nie mogą mnie stamtąd zobaczyć. Bo żadne okno nie wychodzi na tę stronę; ta część ogrodu jest skryta przed wszystkim, z wyjątkiem kamiennych murów willi.

Rozkładam klucze na ziemi. Tylko pięć z nich może pa-sować do tego typu zamka, sprawdzam je zatem po kolei, aż jeden wchodzi do środka i daje się obrócić. Kiedy go przekręcam, furtka — malutki element ogrodzenia na nie-widocznych zawiasach — uchyla się niemal bezgłośnie, nie-wyobrażalnie cicho. Nawet kiedy przez nią przechodzę i zamykam za sobą, trzask jest prawie niesłyszalny.

Potem, na zewnątrz, zatrzymuję się, by popatrzeć na dom. Mogłaby to być jakakolwiek normalna siedziba, po prostu willa na wzgórzu, oświetlona wschodzącym słoń-cem, a przy niej palmy, fontanna i piękny tropikalny ogród. Gdybym była taką zwyczajną osobą, zastanawiałabym się, kto też tu mieszka i jakie wie dzie życie. Ja jed-nak nie jestem kimś zwykłym. W jednej kieszeni mam klucz do furtki, a w drugiej orzeszki nerkowca z miseczki Naima. Wyjmuję kilka i jem, idąc. Są kwintesencją Na-ima i wyspy, i tej przechadzki w dół zbocza, swobodnej i łatwej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

N

alia zwleka z ogłoszeniem koncertu. W hotelu pojawiła się jakaś nowa kobieta, która przywio- zła ze sobą własną kawę. w ziarnkach i każe ją teraz mleć w kuchni i podawać sobie do stolika uzyskany z niej gęsty i czarny napar. Jest mała i wyprostowana i wydaje starszemu kelnerowi polecenia, żeby ściszył gra- mofon albo też całkiem go wyłączył.

Maude dowiedziała się od personelu, że przyplęnęła tutaj z za morza. Bez wątpienia; jej ubrania nie są miej- scowe. Chodzi ubrana jak mała katarzyniarza i ma ma-łego pieska, którego trzyma w torebce. Bierze z talerza jedzenie i karmi nim to stworzenie, co Nalia uważa za obrzydliwe. Po puddingu Nalia wstaje i każe sobie podać kawę na werandzie.

Kiedy tam czeka, wpatruje się w mrok. Mężczyzna duch czy nie mężczyzna duch, przydałaby jej się roz- mowa z Katzenbogenem. Szczególnie chciałaby usłyszeć własny głos, kiedy czyta słowa, które sama napisała. Kie- dy bowiem czyta je na głos, zdają się opowiadać jakąś zupełnie nową historię, pozwalają jej spojrzeć z innego punktu widzenia na własne życie. A potem, po jakimś czasie, kiedy on z kolei powtarza jej tę samą historię, okazuje się ona znowu zupełnie inna. Tego właśnie jej tutaj brakuje.

Jutro, postanawia, zadzwoni do niego i powie, żeby przyjechał na weekend. Co z tego, że będzie to dość nie-szablonowe posunięcie? On i tak zawsze ogląda się za siebie niczym przerażony królik, nawet kiedy pokonuje za-ledwie te dwie przecznice do hotelu. Nieszablonowe, nie-prawidłowe, nieprofesjonalne — cóż znaczą dla niej te słowa? Gdzie one się podziewały, kiedy obwiązywał jej stopy szmatami? Kiedy mówił, że pójdzie za nią na koniec świata?

Kiedy jednak wraca do bungalowu, stwierdza, że linia telefoniczna znowu nie działa, że nie można się nigdzie dodzwonić. Trzaska słuchawką i mówi warkliwie do Maude:

— Lada dzień po prostu się spakujemy i wrócimy do domu.

Maude kiwa głową. Wiedziała, że tak to się skończy. W momencie kiedy ona zapragnie zostać, Nalia będzie chciała wyjechać. I nawet nie znajdzie czasu, żeby wyjaśnić rzecz Sonny'emu.

Nalia zrzuca ubranie i staje naga przed lustrem. Po tych wszystkich miesiącach ćwiczeń ma giętkie ciało. Może się zgiąć do przodu i dotknąć czołem kolan. Może też wygiąć się do tyłu i wykonując doskonały mostek, dotknąć dłońmi ziemi za sobą. Kiedy mężczyzna duch widzi coś takiego, gwizdże cichutko. Ale cóż znaczy dla niego jej ciało? Kształt i cień kobiety? Starej kobiety, wyginającej się do tyłu? Czasami, kiedy czuje jego zapach i słyszy postękiwania, mimowolnie wyobraża sobie córkę w ten sposób ujarzmianą. I ogarnia ją wielki smutek, kiedy myśli o tamtych wszystkich dziewczynach, które widziała rozplątane nożami, te traktowane jak psy i jak psy karmione, dopóki nie zachorowały i nie umarły.

Jedna matka zdołała uchronić córkę. Przeznaczała dla niej swój chleb. Kradła dla niej i walczyła dla niej, a przecież kiedy w końcu przyszli żołnierze, by je uwolnić — pomimo że dziewczyna składała się głównie z kości i wszy, przemarznięta i zagłodzona — nawet wówczas jeden z żołnierzy ruszył ku niej, rozpinając spodnie; co mu tam? Matka jednak pchnęła córkę na ziemię i usiadła na niej, niczym stara, łysa kwoka. Siedziała tak i wpatrywała się w żołnierza z głębi ciemnych oczodołów, patrzyła i pa-trzyła, dopóki inni żołnierze jej nie zauważyli, nie pode-szli, by odciągnąć tamtego.

Nalia nienawidziła wtedy tej dziewczyny. Nienawidziła też jej matki. Kiedyś, gdy Nalia miała osiem czy dziewięć lat, jej własna babka zaskoczyła ją, jak rozkładała nogi, żeby szofer mógł sobie popatrzeć. Nie dotykał jej, chciał jedynie usiąść na

krzesła, rozpiąć się i patrzeć na nią. Nalia lubiła, kiedy to robił. Miał za garażem mały pokój, całkiem ciemny, mimo że było tam wychodzące na kuchenny ogródek okno. Prosił ją grzecznie, żeby zdjęła majtki i położyła się na stole. A potem, kiedy jechali gdzieś samochodem, nigdy nie spoglądał na nią w lusterku wstecznym. W ogóle nigdy na nią nie patrzył, chyba że leżała na jego stole.

Kiedyś jej babka ją tam zaskoczyła i narobiła strasznie go wrzasku. Krzyczała tak głośno, że zbiegła się cała służba. A potem, gdy matka Nalii obudziła się z popołudniowej drzemki i zażądała, by podstawiono samochód, jego już nie było. Uciekł, nie zabierając ze sobą nawet ubrań. Kiedy Nalia ponownie go zobaczyła, był w żołnierskim mundurze i wychylał się z kabiny ciężarówki, żeby poczęstować wartownika papierosem. Mógł podnieść wzrok i zobaczyć, jak ona mu się przygląda, ale nie zrobił tego. Zapuścił wasy, włosy zaczynały mu siwieć i uśmiechał się.

— Pszepani? — Maude podaje jej nocną koszulę, ogrzaną nad elektrycznym piecykiem.

Nalia siada jednak naga przy fortepianie. Zaczyna śpiewać starą pieśń, której kiedyś uwielbiała słuchać jej córka, a Maude zasiada, by jej wysłuchać. Też uwielbia tę pieśń, chociaż dziewczyna nie była w stanie wytrzymać, kiedy ona sama usiłowała ją śpiewać. Pod tym względem była zepsuta, jak matka nieuprzejma. Nawet afrykańskim dzieciom wolno śpiewać pieśni Nalii. Kiedy idzie z tym łazęgą, tańczą za jej plecami i wyśpiewują. A potem, kiedy wraca, znowu czekają na skale podobne małpkom, mam-roczą i śmieją się.

Nalia zamyka fortepian i wychodzi na werandę, żeby rozprostować nogi. Noc jest cudownie rześka. Tego ranka na górskich szczytach leżał śnieg; jutro może będzie go jeszcze więcej. Już zapomniała o tej nowej kobiecie. Zapomniała też o Katzenbogenicie. I o mężczyźnie duchu. I o córce. Co za rozkosz tak móc zapominać, być niezdolnym do myślenia o jakimś imieniu czy o przyczynie czegokolwiek, nawet jeśli przez jedną tylko chwilę — wtedy, kiedy śpiewa.

Nazajutrz nic nie jest tak, jak trzeba. Po pierwsze, Nalia postanawia, że pójdą po lunchu do sklepu po słodycze. Wyruszają zatem, z brykającymi z tyłu dziećmiakami, wykrzykującymi bardzo niegrzecznie. Kiedy Maude odwraca się, by je zrugać, robią do niej miny, a Nalia wybucha śmiechem.

Kiedy wracają i Nalia kładzie się, żeby odpocząć, jest już za późno na spotkanie z Sonnym. Niemniej Maude idzie na umówione miejsce. Usiłuje robić na drutach, nie

w

może się jednak powstrzymać, by co chwilę nie zerkać, czy on nadchodzi. A potem przybiega do niej pies tej nowej, skacze i drze jej pończochy.

— Nie skacz! — krzyczy Maude. — Wynoś się, ty brzydaku!

Nowa kobieta go przywołuje, woła go i woła, ale pies, zupełnie jak szczur, odbiega w przeciwnym kierunku.

To beznadziejne. Sonny nie przyjdzie, teraz, kiedy jest tutaj ta nowa. Maude już ma złożyć robótkę, gdy słyszy jej krzyk, wysoki, głośny i straszny. Wstaje, żeby zobaczyć, co się stało. Kiedy dochodzi do szczytu schodków, Nalia też już jest na werandzie, nadal w szlafroku.

— Co się dzieje? — woła.

Po drugiej stronie murku zebrał się tłum — kilkoro dzieci i Sonny, i dwóch ogrodników — wszyscy patrzą w niebo i coś wykrzykują. Jest tam również ta nowa kobieta, wrzeszczy, a w ręku trzyma psią smycz.

— Halo? — Nalia przechodzi przez bramę, zbliża się do tłumy. Przygląda się wrzeszczącej kobiecie w taki sam sposób, w jaki obserwuje biegnącego po obrusie pajaka.

Nalia nigdy nie pozwoli Maude zabijać pajaków, nawet tych dużych. — Kelner! — woła. — Proszę do mnie!

Maude widzi, jak Sonny do niej podbiega, widzi, jak ze smutkiem kręci głową i wskazuje na nową kobietę, i mówi, mówi.

Nalia przerywa mu szorstko.

— Dwie podwójne brandy, proszę. Chodźmy — mówi, ujmując ramię kobiety. — Proszę wejść ze mną do środka.

— No to orzeł dopadł psa — szepcze Sonny, przechodząc obok Maude. — Tam, przy skale.

Maude nie jest pewna, czy to dowcip. Spogląda w niebo. Widziała przecież wcześniej te krążące jak diabły orły.

— Ha u, szkoda psa — mówi.

— Kogo szkoda?! — obrusza się Sonny.

— Sonny! — Pojawia się kierownik. — Co ty tutaj robisz?

— Przyjmuję zamówienie na trunki, baas.

— No dobrze, tylko przestań się guzdrać.

Maude wbija wzrok w kierownika. Nalia jest dobrze znana ze swoich krzyków, ale ona krzyczy tak samo na wszystkich, tych maluczkich i tych wielkich. Tymczasem mężczyzna krzyczy na Sonny'ego, jakby ten był śmieciem, a Sonny jedynie się uśmiecha i biegnie potulnie jak pies.

Kiedy Maude wchodzi do domu, ta nowa leży na kana-pie. Teraz, gdy jest zapłakana, Maude widzi, że jest starsza, niż sądziła. Przypomina starą kobietę, która straciła dziecko.

— Proszę zdjąć buty — mówi Nalia. Zawsze, gdy wydarzy się coś złego, staje się apodyktyczna. Raz, kiedy Maude złamała sobie nogę, zbiegając ze wzgórza do autobusu, Nalia siłą wepchnęła ją na początek kolejki czekających w szpitalu. Potem zapakowała ją do łóżka i kazała elektrykowi zainstalować w kuchni dzwonek, taki sam jak jej. Maude musiała dzwonić na służącą, jeśli potrzebowała nocnika czy czegokolwiek innego. Musiała leżeć jak nieboszczyk, czy jej się to podobało czy nie, dopóki noga nie wydobrzała.

Stara kobieta zaczyna rozsznurowywać wysoki but.

— Świetnie. — Nalia upuszcza go na podłogę. — Teraz

drugi.

— Jest pani bardzo dobra — mówi kobieta. Głos ma wyśoki, jak dziewczynka, a jej pończochy są całe w dziurach.

— Wcale nie jestem dobra, nigdy nie byłam.

Sonny puka i wnosi brandy. Potem usuwa się w cień

pod ścianą. Dobrze wie, gdzie się wycofać, żeby nikt go nie zauważył.

— Co się stało? — pyta szeptem Maude.

— Poszliśmy do sklepu — odpowiada mu również szeptem. — Może ona ma już dość tego miejsca. Może niedługo wyjedziemy.

— Ja też już mam go dosyć. Daj mi swój numer w mieście.

— Po co ja tu wróciłam? — zawodzi kobieta, wypijając jednym haustem swoją brandy. Nadal trzyma w rękach smycz i patrzy na nią żałośnie. — Tak naprawdę nigdy nie miałam ochoty tu wracać — mówi.

Nalia pomrukuje. Żal to luksus, na jaki nigdy sobie nie pozwalała. Ludzie, którzy powtarzają: „Gdybym tylko mógł raz jeszcze przeżyć swoje życie”, powinni być do tego zmuszeni, z pełną świadomością tego, co ich czeka.

— Czym się pani zajmowała za granicą?

— Niczym udanym, niczym udanym.

Alkohol robi swoje. Kiedy ta kobieta pojawiła się z wrzaskiem, niczym Medea, wydawało się, że pozbawiona swojej kawy w ziarnkach i szalonych cudzoziemskich strojów zostaje zesłana prosto w ręce Nalii. Wieczorem Nalia zamówi kolację dla obu u siebie. Telefony nie będą działały do wtorku, mówi kierownik, ale teraz już jej to nie przeszkadza. Może nawet pozwoli tej kobiecie posłuchać, jak ćwiczy. Nalia może zrobić wiele rzeczy, by pokazać tam-tej, kim jest i jak doszło do tego, że jest

stracona dla świata w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

D

roga w dół nie jest tak stroma, jak wydawało się to z kolejki linowej. Ścieżka biegnie zygzakiem po skale, wzdłuż krawędzi rozpadliny. Dopiero teraz słońce weszło w całej pełni; zatrzymują się przy strumieniu, żeby się napić. Potem strząsam kurz z sandałków i ruszam dalej, podśpiewując.

Ponad godzinę zabiera mi dotarcie do podnóża skały, gdzie ścieżka wiedzie do położonej nad miastem, nie brukowanej drogi. Gdyby była tu Maude, razem śpiewałybyśmy jej hymny. Z Maude mogę śpiewać wszystko, co zechcę, a ona zawsze towarzyszy mi dyszkantem. Uśmiecham się. Idę drogą, śpiewając jak ktoś zwyczajny, i czuję się tak wolna, jak byłam jedynie w snach. Kiedy dochoǳę do skraju miasta, milknę. Z cienia wyłazi kilka kundli i obszczekuje mnie. Obwąchują moje stopy, spódnicę, wyczuwając zapach psów z willi. Potem odskakują i szczekają z bezpiecznej odległości. Poza tym panuje zupełna cisza. Drzwi i okiennice domów są zamknięte. Może ludzie jeszcze śpią. A może to dzień ich odpoczynku.

Kiedy spytałam Naima, jakiego jest wyznania, odpowiedział, że wielu, tak jak i wieloma językami potrafi mówić. Moja matka też mówi wieloma językami i uwielbia nowe słowa, nowe idee. Może to jej się tak podobało w pomyśle zaproszenia na kolację Syryjczyka — samo to

słowo, idea za tym słowem stojąca. Kiedy ona zakocha się w jakimś słowie, będzie je najpierw obracała tym swoim pełnym, soczystym głosem, by rzucić się potem na nie niczym kot. Jeśli zapiszę w swoim pamiętniku jakieś nowe dla niej słowo, muszę dokładnie je wyjaśniać, nawet jeśli jest w slangu. Jednak nie na samym tylko znaczeniu jej zależy, jej chodzi o brzmienie owego znaczenia. Jeśli polubi jakieś słowo, uczyni je własnym. Czasami zasiada przy fortepianie i wyśpiewuje je w górę i w dół gamy. Potem podnosi wzrok i obie wybuchamy śmiechem.

Skrećam w wąską uliczkę i opieram się o ścianę. Nawet kiedy ona milczy, jej głos towarzyszy mi wszędzie. Wszystko, co widzę, widzę dla niej. Gdyby jej nie było za moimi oczyma, jak wyglądałby błękit i czerwień tych połyskujących w porannym świetle okiennic? Co bym widziała, gdy tam, na tarasie, zobaczyłam Syryjczyka?

Idę uliczką w dół, skrećam to tu, to tam, cały czas mając słońce przed sobą. Miasto

jest istnym labiryntem biegnących w dół wzgórza uliczek, te bardziej strome przechodzą w schodki. Od czasu do czasu dostrzegam błysk wody, oślepiający w tym porannym słońcu. Kiedy tak schoǳę, słyszę głosy kobiece, dziecięce. I potem nagle, skręciwszy w szerszą uliczkę, znajduję się w tłumie ludzi — grupki kobiet dźwigają podwójne kosze, a za nimi biegają dzieciaki.

Kobiety te mają szerokie twarze, czarne włosy i małe, szeroko rozstawione oczy, jak tamte siostry. Noszą domowej roboty sukienki w kwiaty albo spódnice z nylonowymi bluzkami w jaskrawych kolorach. Wiem, że mnie dostrzegły; nie uśmiechają się jednak, nawet na mnie nie patrzą. Tylko dzieci podchodzą, żeby mi się przyjrzeć. Jeden z chłopców błyskawicznie wyciąga rękę, żeby mnie

dotknąć, ale jakaś kobieta chwyta go i wymierza mu klapsa.

Idę dalej między nimi; mam wrażenie, że jestem nie-widzialna. Tak zapewne poruszają się turyści w nowych dla siebie miejscach. Tamta brazylijska dziewczyna ze statku powiedziała mi, że pojechała kiedyś z rodziną obejrzeć tubylczą wioskę; kupili tam jakieś paciorki i rzeźby. Gdybym miała pieniądze, też bym coś kupiła, cokolwiek tu mają. Zawsze marzyłam, żeby mieć pieniądze na takie właśnie wydatki, móc sobie pojechać autobusem, bez Maude — własnoręcznie zapłacić za bilet, wysiąść przy Joubert Street i wejść do Bon Marche. Poszłabym wprost do działu z pasmanterią i wybrałabym sobie, co tylko bym chciała, chociażby poduszeczkę do szpilek, na prezent dla matki.

Mijamy małe, wychodzące na ulicę sklepiki; zatrzymuję się gdzieś, żeby popatrzeć. Sklepikarze ani razu nie wołają do mnie, tylko do tych innych kobiet. Mogę posuwać się ulicą razem z tłumem, mogę też, jeśli zechcę, zatrzymać się i popatrzeć na sztuki materiału albo na plastikowe sandały. Zatrzymuję się, ale niczego nie dotykam. Nie chcę robić nic, co by zwracało na mnie ich uwagę. Chcę płynąć z tłumem, jak duch, aż do samego końca uliczki, do małego placu, gdzie są stragany, na których sprzedaje się jedzenie — kosze pełne ryb i dziwne owoce tej wyspy, wiszące na haku suszone mięso, na innym zaś mała zasuszona małpka. Kobiety przechodzą od straganu do straganu, machają rękoma, odganiając muchy. Nad wszystkim unoszą się ich roje; całe to miejsce pachnie słodkawą zgnilizną.

Z początku nie widzę, co robią ci mężczyźni na środku placu. Potem jednak dostrzegam płynącą po bruku krew,

widzę ciele., które dopiero co zabili i ułożyli na kamiennej płycie. Inne już czeka z

postronkiem na szyi. Z boków stoją wykrzykujące coś kobiety. Mężczyźni kiwają głowami, błyskają ich noże. Pomrukują przy pracy, rzucają krwawe ochłapy do wielkiej, blaszanej miski.

Próbuję się wycofać, ale tłum za mną jest teraz mocno zbity. Całe to miejsce jest zbudowane na podobieństwo sceny, z platformą do zabijania na podwyższeniu pośrodku i opadającym w dół brukiem wokół. Kobiety stoją za rynsztokiem biegnącym wokół placu, a i tak mają stopy ochlapane krwią. Ja też jestem ochlapana. Odwracam się, żeby przepchnąć się na powrót do tamtej uliczki, i widzę u jej wylotu dwie siostry z ich nieodłącznym koszykiem. Podobnie jak pozostali, w ogóle na mnie nie patrzą. Potem jedna z nich woła coś do tamtych mężczyzn i wszyscy raptownie milkną. Podchodzi do platformy i wyciąga rękę, czeka, aż dostanie to, czego chce. Wtedy wraca do siostry, a kobiety robią im przejście, tak że mogą wracać tą samą uliczką.

Idę szybko za nimi, zanim kobiety zdążą ponownie zamknąć mi to przejście. Ledwie znajdę się do nich plecami, wybuchają śmiechem, głośnym i ochryplym. Ja jednak pospieszam za siostrami, dopóki nie wydobędę się z tego tłumu. A potem skręcę w prowadzącą w dół do portu uliczkę. Widzę tam posrebrzaną słońcem wodę, chcę w niej umyć stopy, chcę ją poczuć na skórze. Z przeciwka nadjeżdża jakiś starzec na osiołku i muszę przylgnąć do muru, żeby go przepuścić. Jest obszarpany i szpetny, jak zresztą oni wszyscy, a kiedy zrównuje się ze mną, zatrzymuje osiołka. Spogląda na mnie z góry mlecznymi oczyma, bezzębny, coś tam żuje. Potem nagle odchrząkuje i spluwa, a jego plwocina ląduje na mojej szyi.

Chwytam kurtkę Naima i trę nią jak szalona. Jednak zarówno moja skóra, jak i bluzka są mokre i obrzydliwe, a sandaalki wciąż lepią się od krwi. Przepycham się obok osła i biegnę ulicą, z trudem chwytając powietrze, cała drżąc. Kiedy dobiegam do portu, zatrzymuję się, opieram o ścianę i czekam, aż mój oddech się uspokoi.

Dzieci już tam są; pływają. Łodzie rybackie stoją rzędem, a kawałek dalej łódź motorowca przy prywatnej przystani. Jest większa, niż pamiętam; wznosi się ponad wodą niczym dziób ogromnego ptaka. Ruszam w tamtym kierunku, kiedy jednak dzieciaki mnie dostrzegają, wychodzą z wody i cała ta gromada nagusów bryka wokół mnie. Próbuję się do nich uśmiechać, ale one szczerzą się do mnie w złośliwej parodii mojego uśmiechu.

Nagle za nami z hukiem otwierają się okiennice i wszyscy odwracamy się na ten dźwięk. To dom, który zauważyłam pierwszego dnia — wyższy, inny od pozostałych. Na jego balkon wychodzi jakaś kobieta i spogląda ku portowi. Nie

przypomina mieszkańców wyspy. Ma skórę białą jak moja matka, a jej włosy nie są obwiązane chustką. Sam dom jest elegancki; ma stromy dach, drewniane ażurowe ozdoby oraz rzeźbione frontowe drzwi.

Jeden ze starszych chłopaków staje pod balkonem w buńczucznej postawie i wszyscy pozostali wybuchają śmiechem. Ustawiają się w hałaśliwych grupkach wzdłuż nabrzeża i obserwują nas obie. Spoglądam w górę na kobietę, ale ona się nie uśmiecha; nawet na mnie nie spojrzy. Trzyma się balustrady i spogląda obok mnie, w dal, na wodę. Kiedy odwracam się, żeby zobaczyć, na co patrzy, dzieci ponownie wybuchają śmiechem. Przechodzę więc przez ulicę, stoję przed jej drzwiami i podnoszę kółatkę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

T

a nowa kobieta jest korepetytorką śpiewu, którą wysłano na przymusową emeryturę. W ogóle by tu nie wróciła, gdyby trzeci mąż nie stracił jej wszystkich pieniędzy na hazard. Teraz jedyne, co jej zostało, to te nedorzeczne stroje, na które on ją namówił, oraz niewielki zasilek z opery. Gdyby tam została, mówi, to i te pieniądze by od niej wyciągnął.

Nalia siedzi w fotelu poirytowana. Kiedy ta kobieta nie opowiada o mężach albo o psach, jest twarda, ostra i nie-ustępliwa. Jakie role? — pyta Nalię. Którzy reżyserzy? Kiedy natomiast Nalia wspomina swoje lata w konserwatorium, wszystko, z czego musiała zrezygnować, gdy przyszła wojna, kobieta zbywa to gestem dłoni, zupełnie jakby tego rodzaju przeszłość nie warta była wspomnienia.

— Dlaczego nie widywałam cię w jadalni? — pyta. — Czy na tych tak zwanych koncertach?

Nalia wzrusza ramionami. Zamiast odpowiadać, mówi o tym kimś z uniwersytetu, kto pisze jej biografię, o domu na wzgórzu, który pozostawiła zamknięty i zabezpieczony. Mówi o widoku na zatokę i o ogrodzie na stoku wzgórza.

Kobieta przymyka oczy.

— Och — wykrzykuje — och, być tak chronioną!

— Chronioną? — warczy Nalia. — Przez kogo chronioną?

Kobieta lekko rozchyła usta. Ma grube wargi i suchą jak pył skórę.

— Kochana — odzywa się do Nalii — przypatrz mi się.

Nalia, owszem, przygląda się jej, a to, co widzi, budzi

w niej odrazę. Czuje nagle, że musi mieć z powrotem własne życie takim, jakie było. Oprócz córki wszystko jest na swoim miejscu — psy w budzie, Braughton pilnuje, by ogród był właściwie utrzymywany. Wyjedzie w środek, postanawia. I zabierze ze sobą tę kobietę. Mieć tam taką kobietę — dumną, zrujnowaną, wdzięczną — mieć znów kogoś takiego do pomocy: to warte jest największego zachodu.

Spogląda na zegarek, a jej towarzyszka prostuje się jak na sygnał, sięga po buty i wciąga je.

— Maude! — woła Nalia. — Przyniesź latarkę i zaprowadź

panią do hotelu, proszę.

Maude czekała na to po drugiej stronie drzwi. Przez wszystkie te lata Nalia nigdy nie miała czasu na kłopoty innych. Po co zatem porywa teraz tę staruchę, jak orzeł porwał pieska? Jeśli tamta nie będzie ostrożna, też zostanie pożarta. Przez całą drogę pod górę kobieta zadaje Maude pytania na temat Nalii. Maude jest jednak zbyt ostrożna, by na nie odpowiadać. Na samym początku Nalia nauczyła ją, co ma mówić, kiedy ktoś zadaje pytania. Albo ma mówić, że nie wie, albo proponować, by spytano o to samą Nalię.

— Daj mi swój numer w mieście — prosi Sonny. — Złożyłem już wymówienie.

Maude podaje mu karteluszek. Cały ranek nosiła go w kieszeni fartucha.

— Ale nie możesz tam do mnie dzwonić — mówi.

— To co mam zrobić? Ja telefonu nie mam. — Postukuje

je niecierpliwie nogą.

; Przez całą noc Maude rozważała ten problem. W domu są trzy telefony, ale Nalia może usłyszeć każdy z nich. A nawet gdyby Sonny mógł do niej zadzwonić, to co? Co z Dorothy? Z kościołem? Nim go spotkała, mogła spać w nocy, a mimo to wszystko słyszeć, zawsze była z tego dumna. Teraz leży rozbudzona w ciemnościach, myśląc jedynie o przyszłości, myśląc o Sonnym.

Nagle on ujmuje jej dłoń w swoją. Sięga po nią i trzyma, i nie ma mowy, żeby mu ją odebrać. Siedzą tak w milczeniu, aż wreszcie ona się odzywa:

— Zazwyczaj we wtorki ona jedzie w głąb kraju. Tyle że teraz będziemy tam mieć tę drugą; nie mam pojęcia, jak się sprawy potoczą.

— Jeśli zadzwonię, a ktoś będzie obok, powiedz po prostu: „Pomyłka” — mówi Sonny.

Maude odczuwa ogromną ulgę, że on nie próbuje jej przekonywać do czegoś więcej. Mogłaby zamknąć oczy i zasnąć.

— Wolne mam w środy, po lunchu — oznajmia.

— A niedziele?

— Niedziela to kościół. — Nie wspomina Dorothy, teraz nie ma ochoty myśleć o Dorothy. Czuje, jak dłoń, którą Sonny trzyma, rozgrzewa się i cierpnie. Maude ma ochotę poruszyć palcami, ale on gotów pomyśleć, że chce cofnąć rękę.

— Przystąpiłem do metodystów — powiada mężczyzna. — Miałem już dość tych księży i ich bzdur. Oni nie chcą, żeby człowiek był szczęśliwy. Niby dlaczego?

Maude pochyla głowę. Dorothy by powiedziała, że słyszy teraz głos diabła. Ona wszędzie widzi diabła.

— Masz jedno życie, człowieku, musisz być szczęśliwy. — Uwalnia wreszcie jej dłoń i wyciąga zza ucha papierosa. — Metodyści tak pięknie śpiewają — mówi. — Chcę usłyszeć, jak śpiewasz te hymny swoim ślicznym głosem.

Maude oblewa się rumieńcem. Już kiedyś śpiewała te hymny. Po drodze na plażę lubią z Dorothy zatrzymać się przed kościołem metodystów, żeby sobie posłuchać. „Skało, którą rozwarł Bóg” i „Dziękujemy wszyscy naszemu Bogu”, i „O Jezu, ślubowałam”. On ma rację; miała ochotę dołączyć do tamtych. A tak to śpiewa razem z Dorothy, idąc w dół z boczka, przy czym sama śpiewa zawsze pierwszym głosem.

Śpiewają tak od dziecięcych lat. A gdy śpiewają, Dorothy nigdy nie mówi o diable.

Ostatniego ranka, kiedy Nalia wychodzi na trawnik, czeka ją już wszyscy — afrykańskie dzieci oraz mężczyzna duch. W domu przed śniadaniem pójdzie na ten niżej położony trawnik. Nie będzie to jednak to samo, bez tych gór, bez tego mężczyzny czy bez dzieci, czy wreszcie bez ducha jej własnej babki wszędzie wokół. Ta stara kobieta jest nawet w zapachu tytoniu mężczyzny ducha. Jej obecność jest jednak najbardziej wyczuwalna, kiedy Nalia wyrusza ścieżką ku rzece. Staje się samą Nalią, która chce za nimi podążać. Kiedy osiągają drugi brzeg, mężczyzna duch mówi:

— Wyjeżdżasz, jak słyszę?

— Sza.

— Pytam tylko. Wyjeżdżasz? Zatrzymał się w cieniu skały i próbuje zajrzeć jej w oczy. — Pytam cię — mówi raz jeszcze.

Ona odwraca się, by odejść.

— Wracam do bungalowu — oznajmia.

On jednak chwyta ją za nadgarstek, pociąga z całej siły, pcha na skalną ścianę.

— Co ty wyprawiasz?! — krzyczy ona. A przecież zna już odpowiedź. Wyczuwała ją w jego pełnych wściekłości ruchach, w tym, jak niechętnie dziś za nim poszła.

Rzuca ją na kolana, przytrzymuje w tej pozycji, podczas gdy sam rozpina szorty. Potem chwyta za włosy i przyciąga jej głowę.

— Otwórz! — warczy. Uderza o jej wargi, zęby. — Otwieraj! — wrzeszczy.

Mdli ją od bijącego od niego odoru, czuje podchodzące do gardła śniadanie. Usiłuje odwrócić głowę, on jednak ścisną fachowo jej szczękę kciukiem i palcem wskazującym, tak że jest zmuszona otworzyć usta, a on wpycha się do środka, uderzając przy tym jej głową o skałę, unosi jej brodę i przytrzymuje w odpowiedniej pozycji.

Nalii brakuje powietrza. W szaleńczej walce o oddech nie czuje nawet bólu głowy, nie czuje, że włosy ma mokre od krwi. Jedyne, czego chce, to powiedzieć mu, że nie miała racji, że ostatecznie jeszcze nie jest gotowa na śmierć. Ale to on, dławiąc ją, coś wygaduje, wyśpiewuje coś monotonicznie, przygotowując się do finału, ostatni raz tłucze jej głową o skałę i wtedy ona czuje okropne pulsujące drganie w gardle.

— Pieniądze! — chrypi mężczyzna.

Jest taka słaba, że nie może złapać powietrza. Kiedy to wreszcie zrobi, musi zwymiotować — męczy się i szarpie, aż nie pozostanie już nic prócz żółci.

— Pieniądze! — wrzeszczy mężczyzna. — Chcę za to pieniądze!

Podnosi na niego wzrok. Widzi przekrwione od nadmiaru alkoholu albo od konopi indyjskich oczy.

— Wstrętna, stara małpo, myślisz, że potrzebuję tego od ciebie?! — krzyczy dalej.

Ona nie może jeszcze mówić, ale opuszcza jednak wzrok na jego buty i rozkłada lekko ręce, żeby pokazać, że nie ma pieniędzy. Słyszy jego oddech. Zna ten rodzaj milczenia. Chce ją zabić. Chce poczuć radość zabijania w rękach albo nogach. To one są zawsze narzędziem śmierci — ręce albo nogi. Jeśli jednak pozostanie w całkowitym bezruchu, będzie oddychać bezszelestnie, nie oderwie wzroku od jego butów, możliwe, że chwila ta minie i być może on odejdzie, znajdzie sobie coś innego do zabicia.

Na koniec kopie ją z całej siły w klatkę piersiową. Po-tem odchrząkuje i spluwa jej w twarz. Nalia czuje ciepłą ślinę na czole, na policzku; chciałaby unieść dłoń i dotknąć tej ciepłej mazi, ale nie śmie.

— Przyjadę i znajdę cię w mieście — grozi mężczyzna. —

Lepiej, żebyś miała wtedy dla mnie pieniądze, bo jak nie...!

Kiedy wyjeżdżają wszystkie, Sonny stoi przy bramie. Maude może się nawet odwrócić, żeby na niego popatrzyć, bo z przodu usadowiła się ta stara kobieta i przynajmniej ten raz ona sama siedzi z tyłu. Przez całe popołudnie stał na werandzie, przyglądał się, jak ładuje rzeczy do auta.

Wszyscy już wiedzą, że Nalia oberwała od łązgi. Pierwsze zobaczyły ją dzieci, kiedy wracała ścieżką, i pobiegły powiadomić Maude. Nalia jednak nie zamierza złożyć na niego doniesienia, nie chce nawet o tym rozmawiać. Za-wsze jest taka. Człowiek się czegoś spodziewa, a ona robi coś wręcz przeciwnego. Maude kazała jej usiąść i pocze-kać, aż napelni wannę wodą, po czym uklękła i umyła ją

całą do czysta. Kiedy Nalia siedziała tam w wannie, w mil-czeniu, z opuszczoną głową, żeby Maude mogła zmyć z niej krew, wyglądała na starą, bardzo starą kobietę. A potem, kiedy Maude wycierała ją do sucha oraz smaro-wała głowę i tors jodyną, też nie odezwała się ani słowem. Poprosiła tylko o płukanekę do gardła z wodą utlenioną i o zaciągnięcie zasłon, żeby mogła pomyśleć.

Maude uśmiecha się. Widzi, że Sonny najchętniej po-biegłby za samochodem, wskoczyłby na zderzak i przeje-chał z nimi całą tę drogę do miasta, bezczelny małpizjon. Macha do dzieci stojących przy drodze z wyciągniętymi po słodczyce rękoma. Jest szczęśliwa, że Nalia ją tutaj przy-wiozła. I jest równie szczęśliwa, że wyjeżdża.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

K

obieta jest niewidoma. Uświadamiam to sobie do-piero wtedy, gdy widzę, jak błądzi dłonią wokół tacy, żeby znaleźć uchwyt dzbanka z kawą. Kiedy prowadziła mnie przez dom do otoczonego murem ogro-du, nie wahała się ani przez moment, czy to przy stop-niu, czy przy progu. Kiedy wiejska dziewczyna wniosła tacę z kawą i zatrzymała się w miejscu, żeby mi się przyj-rzeć, kobieta to natychmiast wyczuła. Rzuciła coś ostro do tamtej i odprawiła gestem dłoni. Natychmiast po odejściu dziewczyny zwraca się do mnie.

— Miałam nadzieję, że przyjdiesz.

Słyszę te słowa, a dopiero po chwili dociera do mnie ich znaczenie.

— Nadzieję?

— Czekałam na twoje przyjście — mówi. Akcent ma bar-

dziej wyrazisty niż Naim i cięższy. Do tej pory on był je-

dyną osobą, z którą byłam w stanie rozmawiać, jodyną,

która mnie rozumie.

— Przyszłam, bo dzisiejszego ranka w uliczce opluł mnie jakiś mężczyzna — mówię. Prawda jest natomiast taka, że gdybym wcześniej wiedziała o jej istnieniu, przyszedłabym tutaj natychmiast.

— Tutejsi ludzie nie lubią obcych — oznajmia.

— Dlaczego?

— To z powodu Naima.

Słyszę jego imię w jej ustach, słyszę, jak ślizga się po nim jej głos, i cieszę się, że ona nie może widzieć tej na-pływającej mi do twarzy krwi, tego, jak przelękam ślinę, nim zdołam powiedzieć:

— Przepraszam, ale nie wiem, kim pani jest.

Siedzimy przy stoliku w rogu ogrodu. To nieduży, otoczony murem ogród, tonący w kwiatach. Mury pokryte są jakimś wonnym powojem o ogromnych, żółtych kwiatach. Przedostał się on też na drzewo ocieniające nasz stolik i tak mocno wypełnił wonią powietrze, że nawet w kawie wyczuwam jego aromat.

— Dlaczego przyszłaś, skoro nie wiesz, kim jestem?

— Widziałam panią na balkonie — odpowiadam. Uniosłam rękę, żeby zobaczyć, czy podąży za nią wzrokiem, ale nie czyni tego. Przyglądam się jej zatem otwarcie. Z tymi czarnymi włosami i jasną karnacją wygląda niczym damaker. Nawet jej twarz ma kształt serca — spiczastą brodę i szerokie czoło, rysujące się wysoko dwoma półkolami.

— Zanim sprowadził tu ciebie — mówi — byłam na tej wyspie jedyną.

Czuję w gardle cierpki smak kawy.

— Jaką jedyną? — pytam.

Prostuje się w swoim foteliku, zupełnie jakby mi się przyglądała. Jej oczy nie wyglądają jak oczy ślepeca. Są cudownie szmaragdowe, w czarnej oprawie; jej splecione dłonie spoczywają w absolutnym bezruchu na kolanach.

— A teraz słyszę, że wróciła ta siostra.

— Zna pani Sonję?

— Była tutaj przed nami obiema. Wszyscy mówią, że to właśnie zabiło jego matkę.

Słowa jej owijają się wokół mojego gardła, tak że z trudem przelękam.

— Co pani chce przez to powiedzieć? — udaje mi się wyszeptać. Wzdycha.

— Rodzina jest dla Naima wszystkim. To boleść jego życia; on jednak nic na to nie może poradzić, rozumiesz?

I ona była wtedy bardzo młoda.

Myślę o Naimie, jak odwraca głowę od Sonji do mnie, z tym swoim uśmiechem — cierpliwym, znudzonym, zepsutym — o Naimie ze łzami w oczach, kiedy pokazuje mi zdjęcie matki.

Kobieta wstaje i wyciąga rękę, by poprowadzić mnie do wnętrza domu.

— Sama jesteś jeszcze dzieckiem — mówi. — Powiedziały mi to te kobiety z willi na górze.

Jestem już trzynaście dni w domu tej kobiety. Nie jesteśmy przyjaciółkami; nie jesteśmy też wrogami. Jestem tutaj, bo chcę, żeby on odnalazł mnie właśnie tu; tego samego chce ona. Noszę jej ubrania i jem jej potrawy. Kiedy szczotkuje mi włosy, zamykam oczy i wyobrażam sobie dłonie Naima na jej włosach.

— Mam hennę — mówi — pogrubi ci włosy.

Każę dziewczynie wymieszać ją w miseczce, a potem nakłada i rozprowadza równomiernie na moich włosach. Ruchy ma stanowcze i szorstkie, jak moja matka; jak ona jest zręczna, nieomylna i milcząca.

— Na pewno wie od Sonji, że tutaj jestem — odzywam się w końcu.

— Naturalnie, że wie. Jest jednak sprytny. Naim to najsprytniejszy człowiek na świecie.

— To dlaczego nie przychodzi?

— On nigdy nie wpadnie w zastawioną przez kobiety pułapkę. Nigdy nie poprosi o nic, jeżeli nie jest pewien, że to dostanie, tak jak i nie odpowie na pytanie, jeśli nie ma na to ochoty.

Nie mówię jej, że na moje odpowiedział. Osłaniam się tą wiedzą niczym tarczą — w jaki sposób mnie wybrał, jak wygrał mnie w rezultacie zakładu.

Kiedy tak siedzimy w ogrodzie, a henna sztywnieje na moich włosach, opowiada mi o tym, jak ludzie nienawidzą Naima za to, że nie chce ich córek. Zanim mnie tutaj sprowadził, mówi, wysyłali swoje córki na szczyt góry, z nadzieją, że pewnego dnia którąś z nich sobie zatrzyma. Nigdy jednak tego nie uczynił. Nie gustuje w miejscowych. Kiedy te dwie siostry były jeszcze dziewczynami, również posłano je na górę, a on przyjął je na służbę, wyćwiczył jak psy. A teraz są jego szpiegami, jego wiernymi jak psy szpiegami i wszyscy mieszkańcy wyspy trzymają się od nich z daleka. To samo dotyczy tych opiekunek do dzieci. A przecież, gdyby moje dzieci kiedykolwiek zeszły tu na dół, tu byłby zabiliby je jak zwierzątka i wyrzuciliby do morza, daleko od brzegu, tak żeby nikt nie odnalazł ich ciał. Tacy to ludzie, mówi kobieta. Tak bardzo nas nienawidzą.

Wzdrygam się, jakby mnie ktoś uderzył. Zapomniałam o dzieciach, tak jak zapomniałam się o śnie. I nagle pojawiają się tutaj; odczuwam to jak cios prosto w serce.

— Ktoś mógłby je sprowadzić na dół? — pytam, wstrzymując oddech.

Kręci głową.

— Nikt tego nie zrobi. Nikt by się nie odważył.

Cios staje się teraz bólem. Innym od tego, jaki odczuwam w związku z matką.

Tamten ból wynika też z żalu nad sobą — cierpię za matkę pozbawioną mnie i za siebie

pozbawioną matki. Ten dotyczy wyłącznie dzieci. Być może gdyby nie były moje — gdybym w ogóle ich nie zo-baczyła, nigdy z nimi nie tańczyła, nie poczuła ich zapachu ani nie słyszała ich śmiechu — byłabym od niego wolna, tak jak na pewno wolna jest Sonja. Widziałam, jak uśmiecha się do nich w ten sam sposób, w jaki Maude uśmiechała się do mnie; krótki błysk na twarzy, pomiędzy jedną a drugą czynnością.

— Nie odeśle ich tak, jak odesłał moje — mówi kobieta.

— Twoje?

— Moje to chłopcy. Nie liczą się.

— Ale jedno z moich dzieci nawet nie jest jego! — wyrzyka mi się mimo woli.

Śmieje się, jakbym zażartowała.

— Dla Naima inni mężczyźni są niczym. Bierze ich w posiadanie, podobnie jak bierze nas.

Mnie zaczyna nagle szaleńczo zależeć na odkryciu, jaka jest między nami różnica. Ja jestem jego żoną, ona nato-miast nie.

— Czy byłaś kiedyś w willi na górze? — pytam.

Kręci głową.

— Po matce była siostra. A teraz ty. Dla Naima rodzina jest wszystkim.

Wieczorem, kiedy siedzimy w ogrodzie, popijając to dziw-ne, słodkie wino, które przynosi tam służąca, kobieta mówi mi, że fakt, iż przyszła na świat niewidoma, był formą kary dla jej własnej matki. Odkąd sięgnie pamięcią, był tam jakiś mężczyzna, który do niej przychodził. Pojawiał się w ich domu nie zapowiedziany i zostawał na noc, na tydzień albo na miesiąc. Jej matka nigdy nie zamykała

drzwi, jeśli było gorąco. Nie obchodziło jej, co może usłyszeć niewidoma dziewczynka.

A córka, nawet jeśli zakrywała dłońmi uszy, słyszała tych dwoje z każdego kąta domu. Wychodziła zatem do ogródka, żeby przeczekać. A potem, pewnego dnia, tamten mężczyzna przyprowadził ze sobą Naima. Kiedy matka i ów mężczyzna byli na górze, Naim odnalazł ją w ogrodzie. Ujął jej głowę w swoje dłonie i przesuwał nimi po jej twarzy dokładnie tak, jak robiła to ona sama, kiedy chciała coś poznać. Kobieta nachyla się i przesuwa palcami po mojej twarzy, żeby pokazać, jak on to robił, po powiekach, policzkach. Jej dotyk jest delikatniejszy nawet niż jego i z tego dotyku poznaję całą tę historię.

Dotyka moich uszu.

— Może chcesz, żebym ci je przekłuła? — mówi niespodziewanie.

— Dobrze — odpowiadam, myśląc wyłącznie o jego palcach na jej uszach, o tych kolczykach z perłami w kształcie łezek, które mi podarował.

Dzwoni po dziewczynę i wydaje jej polecenia. Służąca przynosi na tacy igłę, miseczkę, kłębek waty i srebrne lustro. Nawet wtedy nie myślę jeszcze o tym, co ma nastąpić. I nie myślę o jej ślepotcie; zupełnie o niej zapominam. Biorę lusterko i obserwuję jej zabiegi dezynfekujące. Potem widzę, jak ściska ucho mocno palcami, zbliża czubek igły i nagle, bez ostrzeżenia, przebija je.

— Spokojnie! — mówi — Nie ruszaj się! — Przytrzymuje igłę w miejscu, podczas gdy drugą dłonią zdejmuje własny kolczyk. A potem jednym ruchem wyciąga igłę i wsuwa w jej miejsce kolczyk. Ten, podłużny i filigranowy, z wiszącymi u dołu perełkami, płonie niczym coś magicznego.

— A teraz drugie — mówi.

Wiem, że te kolczyki dostała od niego. Wszystko, co ma, dostała od niego. Ale jej ubrania nie przypominają moich. Są fałdziste i mają zagraniczny wygląd, a jej

perfumy pachną równie ostro jak ten powój w ogrodzie. Kiedy Naim po mnie przyjdzie, powiem mu, że sama chcę mieć takie perfumy. Chcę, by kiedykolwiek ją odwiedzi, myślał o mnie. Chcę, by myślał o mnie w towarzystwie każdej kobiety, do której pójdzie.

— Jest kuzynem mojego ojca.

Odstawia kieliszek.

— A kim jest twój ojciec?

Opowiadam jej zatem o matce i o dniu, w którym ojciec przyszedł do jej garderoby. Opowiadam o jego jachcie i o jego kobietach, i o tej ślubnej wyprawie, którą matka haftuje jedynie po to, by go zirytować, przypomnieć o owym cuchnącym bagnie, którego tak nie znosi. Kiedy idę z matką ulicą Jouberta, mówię, ona zawsze pokazuje mi jego kobiety, jako że dla niej są one niczym. Są mniej niż niczym. Są żartem.

Kiedy spoglądam na nią, widzę, że płacze. Łzy toczą się po jej policzkach, spływają na sukienkę.

— Dlaczego płaczesz? — pytam.

— Bo życie jest takie smutne.

Matka wydrwiłaby coś takiego. Rzuciłaby się na te słowa i rozszarpała je na kawałki, nawet gdyby pochodziły od niewidomej kobiety; kobiety, którą kiedyś zabrał przyjaciel kochanka matki, wywiózł na wyspę i której odebrał dzieci. Matka uważa się za jedyną osobę, której dane było poznać smutek życia, a ja mam dość już zawłaszczania przez nią całej tej kwestii dla siebie. Bo cóż ona może wiedzieć o ślepcie? Co ona wie o nieszczęściu innym niż ta jej umiłowana wojna?

A przecież nic na to nie poradzę, że kiedy powtarzam sobie tę frazę, drwina wykrzywia moje usta. Chciałabym rzec: „Smutne? W przeciwieństwie do czego?” Chciałabym się roześmiać, jak śmiałaby się moja matka, i powiedzieć swojej towarzysze, że mnie nigdy nie było wolno litować się nad sobą, że matka nienawidzi rozczulania się nad sobą prawie równie mocno, jak nienawidzi mojego ojca.

Niewidoma kobieta ociera oczy ręką sukni. Potem podnosi głowę i oznajmia:

— Mężczyzną, który przychodził do mojej matki, był twój ojciec. On jest również moim ojcem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ł

ódź motorowa przyływa o północy. Słyszę, jak ryć jej silnik, jak potem milknie raptownie, słyszę głosy wysypujących się na nabrzeże ludzi i leżę w ciemnościach, czekając. Kiedy już po mnie przyjdzie, kiedy wejdzie po tych schodach i otworzy drzwi, zostanie mnie tutaj leżącą z zamkniętymi oczyma. Być może wyszepce moje imię, ja mu jednak nie odpowiem. A potem zobaczy kolczyki, ciężkie i cudowne w moich rozognionych uszach. Kiedy niewidoma kobieta usłyszała po kolacji silnik odpływającej łodzi, oznajmiła: „Wróci dziś w nocy”. A potem, gdy odczekaliśmy w ogrodzie całe dwie godziny, powiedziała: „Powinnyśmy iść spać. Nie ma już sensu czekać na Naima”.

Skradam się do okiennic i pchnięciem uchylam jedną z nich. Przystań jest oświetlona, zupełnie jakby to był ranek. Widzę dziób łodzi i piętrzący się obok niego na nabrzeżu stos skrzyń. Mężczyźni podchodzą jeden za drugim, by je stamtąd zabrać; są też kobiety, przyglądają się, coś wykrzykują. Nie widzę jednak Naima. Czekam, aż zniknie ostatnia skrzynia, a wraz z nią ostatni ludzie. Po tym otwieram na całą szerokość okiennice i wychodzę na balkon. Niewidoma kobieta już tam jest; stoi przy balustradzie. Na pewno ją wszyscy widzieli, on sam musiał ją tam zobaczyć. Przystań jest jednak pusta, a ja słyszę

szczęk zatrzymującego się wagonika kolejki. Rozgadana, rozbawiona czereda przesunęła się w jego kierunku. Kiedy zaczynają skrzypieć kable, gasną światła przystani, pozostawiając nas w ciemności. Tymczasem wagonik wspina się, rozblyskując jak klejnocik.

Następnego popołudnia przez całą drogę do willi powtarzam sobie, że ja też jestem sprytna. Jestem o wiele za sprytna, mówiła matka, zbyt sprytna, żeby miało mi to wyjść na zdrowie, mówiła siostra Benedykta. Im bliżej jestem szczytu, tym bardziej nieswojo się czuję z powodu tego powrotu. Zatrzymuję się tuż przed ostatnim wzniesieniem i czekam, aż uciszy się moja duma. To jednak nie następuje, nie może nastąpić. Mam ochotę zbiec na dół, do domu niewidomej i zostać tam na zawsze, po to jedynie, żeby go ukarać.

Jakież to miałyby cel? I co stałoby się z moimi dziećmi, gdybym tak zrobiła? Jeśli ta kobieta ma rację, on pozwolił-by mi tam czekać, dopóki bym się nie zestarzała, dopóki moje dzieci by nie dorosły i dopóki ich też by nie zdeprawował. I wtedy,

któregoś dnia, przyszedłby po mnie; albo i nie. Opieram się o skalną ścianę i spoglądam ku morzu. W tym upale jest śmiertelność, oddziela mnie od reszty świata. Nienawidzę go serdecznie.

Kiedy wychodzę zza ostatniego wzniesienia, zatrzymuję się na widok willi. Kryje się teraz w cieniu, odgradzona od upału zamkniętymi okiennicami. Być może on mnie zza nich obserwuje. Równie dobrze może siedzieć w fotelu, w ogóle nie wyglądając na zewnątrz. Spoglądam do tyłu, ku wiosce. Opuściłam dom niewidomej kobiety po lunchu, jak radziła, kiedy ludzie z wioski spali. Zresztą i tak, powiedziała, ktoś zauważy, ktoś prześle wiadomość,

że wracam. Dotykam klucza w kieszeni i ruszam wzdłuż ogrodzenia do ukrytej furtki.

I wtedy widzę ten łańcuch. Ciężki i gruby, owinięty wokół słupka i złączony olbrzymią, czarną kłódką. Może umieścił go tutaj w formie żartu, przypomnienia. Mnie jednak niepotrzebne jest przypominanie. Nigdy nie jestem dość oddalona od rozdzierającego krzyku matki.

Podchodzę do bramy i dzwonię. Brama otwiera się natychmiast, a ja wchodzę i podążam długim podjazdem do frontowego wejścia. Ogród jest cichy; nie ma w nim niko-go, nawet królików. Jedyne zapach trawy i gnijących pomarańczy, stęchłej wody z fontanny. Kiedy podchodzę do drzwi domu, te się otwierają. Staje w nich jedna z siostr i otwiera je na całą szerokość. Nie patrzy na mnie, one nigdy na mnie nie patrzą. Po prostu przytrzymuje drzwi, podczas gdy ja wchodzę do hallu.

— Thea. — On stoi w drzwiach gabinetu i spogląda na mnie. Oczy ma zmęczone i stare, i smutne. Teraz potrafię to dostrzec, bo sama jestem smutna. Jestem smutna, bo smutne jest życie, nieważne, co twierdzi moja matka. Nadal jednak nie pojmuję, jak mogę nienawidzić go za tę niewidomą kobietę, a jednocześnie stać tak tutaj i wpatrywać się w te dłonie, które dotykały jej niewidzącej twarzy, i chcieć poczuć je na swojej. Chcę tego, mimo że myśl o nim i tej niewidomej kobiecie powoduje, iż z trudem oddycham dławiona

nienawiścią do tego mężczyzny, którego mój ojciec zaprowadził, jak psa na smyczy, do własnej, niewidomej córki.

— Jesteś gorszy od psa — mówię. — Pies przy tobie to prawdziwy król.

Wzdycha, jak się tego spodziewałam.

— Wejdz, Theo — mówi. Lubi wymawiać moje imię, ciągle je wymawia. Zakonnice też za nim przepadały. Thea-

dora, Theadora. Natomiast moja matka nie używa go ni-gdy, chyba że musi mnie komuś przedstawić. Nawet wów-czas mówi: „A to jest moja córka”. Tylko jeżeli musi, do-daje: „Theadora”.

— Wejdz — powtarza Naim — muszę ci coś powiedzieć.

Wchodzę, i staję za jego skórzanym fotelem, wzrok zaś

zatrzymuję na zdjęciu, na którym jest razem z moim oj-cem. Uśmiech ojca, pod tym porządnie przystrzyżonym wąsem, jest przerażający, muskularne ramię trzyma opar-te na strzelbie. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć? Z takim uśmiechem byłby w stanie zastrzelić każdego, nie wyłączając mnie. Gdyby tak mógł porwać mnie od matki wcześniej, co by ze mną zrobił? Przekazał pierw-szemu lepszemu, do którego przegrałby zakład? Byle marynarzowi czy kupcowi, czy złodziejowi?

— Proszę — mówi Naim, podając mi duże, skórzane pu-delko. — Usiądź, nim je otworzysz.

Biorę pudełko i siadam, i przymykam oczy. Teraz wo-lałabym nie wiedzieć nic z tego, co już wiem, wolałabym móc znów zwijać się w kłębek pod jego drzwiami — być dziewczyną pragnącą jedynie zwyczajnego szczęścia. Tę-sknę za tym, chociaż wiem, że to beznadziejne. I że nie ma czegoś takiego jak zwyczajne szczęście. W każdym razie nie dla mnie, ani teraz, ani nigdy.

— Zakładam, że wszystkie tam są — mówi. — Bo, jak widzisz, są nie otwarte.

Zaglądam do pudełka. Jest pełne listów, ułożonych w porządne stosiki. Podnoszę jeden z nich. Nazwisko mat-ki, nasz adres, moje pismo. Podnoszę wzrok pytająco.

Czy ona je odesłała? Nie otwarte? Była w stanie to zrobić, po-trafiła być tak okrutna. Jeśli chce kogoś ukarać, potrafi być królową okrucieństwa.

— Sonja wyjęła je z worka pocztowego — mówi. — Nie będę jej usprawiedliwiał. Pomyśl jednak, z czego ona musiała zrezygnować. — Siada w fotelu naprzeciwko i opiera podbródek o opuszki palców. — Na pewno teraz już wiesz, co to takiego, Theo.

Podnoszę jeden z listów i patrzę na jej imię. „Natalia”. Kiedy je piszę, słyszę ją, jak mówi do siebie przy fortepia-nie: „Jeszcze raz, Natalio”, „Doskonale, Natalio”. Theado-ra i Natalia... kiedyś w kółko pisałam te dwa imiona.

Wyciąga do mnie rękę, ja jednak kurczę się w fotelu, przyciskając to pudełko do piersi.

— Thea...

— Nie używaj mojego imienia! Brzmi w twToich ustach bezwstydnie! Ty jesteś bezwstydnny. Gorszy od psa.

— Theo — odzywa się łagodnie — nie bądź jak inne ko-
biety. Proszę. Nigdy dotąd nie byłaś.

— Jestem jak inne! —krzyczę.— Jestem jak każda inna
kobieta na całym świecie!

Jednak już w momencie, w którym to wykrzykuję, wiem, że to nieprawda. Jestem kaleką, podobnie jak ta niewi-
doma kobieta. Jestem okaleczona, bo okaleczona jest mo-
ja matka. Tkwi to we mnie, podobnie jak wielkość stóp, kształt oczu. Gdybym nie była kaleką, on by mnie nie wybrał. On jest mężczyzną, który wybiera własną
brzyd-
ką siostrę i niewidomą kobietę, i dziewczynę, która całe życie spędziła w zamknięciu.

— Twoje notatniki są pod spodem — mówi.

Rzucam w niego tymi listami, rozsypują się po całej podłó-
dze; wyciągam pamiętnik i też nim ciskam. Nie muszę mie-
rzyć czasu tego straszliwego milczenia, jakie

musiała znieść. Tyle lat mają bowiem moje dzieci, tyle lat Sonja przebywa w tym domu. Doskwierająca mi cisza w porównaniu z tym

jest niczym—jeden telegram i niosący się po nabrzeżu dźwięk jej rozdzierającego krzyku. Cóż to jest w porównaniu z latami, które spędziła, leżąc w ciemnościach, czekając i nasłuchując? I jak długo ja sama mam być karana za tę ciszę?

— Thea... — Wstaje, podchodzi i kładzie dłonie na moich ramionach. — Kiedy zobaczyłem cię tamtego pierwszego popołudnia, ujrzałem to wszystko, co utraciłem, kiedy moja matka odeszła. To jest właśnie ta prawda, której tak bardzo zawsze pożądasz.

Odwracam wzrok. Tonę pod wpływem dotyku psa, a przecież nie chcę widzieć jego twarzy. Matka zawsze powtarzała, że po wojnie już nic jej nie zdziwi. Czy zdziwiłoby ją zatem, że jestem zazdrosna o jego matkę? Jestem zazdrosna o nią i jestem zazdrosna o siebie, o siebie taką, jaka byłem w tej pierwszej chwili, kiedy zobaczył mnie tam, na werandzie. Tę chwilę pragnę odzyskać — kiedy byłem i jego, i matki i kiedy nie musiałam pomiędzy nimi wybierać.

— Odtąd przynoś swoje listy do mnie — mówi. — Dopilnuję, żeby je dostała. — Unosi delikatnie moją brodę, bym mogła zobaczyć, że nie kłamie.

Zerkam na niego, choć wiem, że on nigdy nie kłamie; nigdy nie musi kłamać. W tym mroku wygląda ponuro i smutno. Teraz dopiero dostrzegam, że nawet na tej fotografii w jego uśmiechu widoczny jest jakiś smutek.

— Twoja matka wróciła — oznajmia. — Wysyłam cię do niej, do domu.

Przyglądam mu się szeroko otwartymi oczyma. Dom. W tym słowie zawsze kryło się coś podstępnego, jakieś kłamstwo. Kiedy wychodziłam z Maude zza rogu, nigdy nie byłam w stanie znieść, że wznosi się on tak ponad jacarandami. Dlatego, kiedy szliśmy pod górę, trzymałam głowę opuszczoną. Dopóki nie szczęknęła za mną

kłódka i nie podbiegły w podskokach psy... dopóki nie zobaczyłam matki u drzwi salonu, z wyciągniętymi ku mnie ramionami, dom nie znaczył dla mnie nic. Był pojęciem. Był niemożliwością.

— Tylko mnie? — pytam. Ogarnięta nagłym przerażeniem z trudem wymawiam słowa.

— Dzieci zostaną tutaj — oświadcza. — Bo widzisz, muszą mieć pewność, że do mnie wrócisz.

Wpatruję się we wnętrze walizki, próbując sobie przypomnieć, jak Maude ją pakowała — sukienka po sukience, delikatnie, żeby uniknąć zagniecień. Uwielbiam przyglądać się jej dłoniom. Są pokryte piegami i silne, i pachną kuchnią. Kiedy zagniatła ciasto, ręce miała oproszone mąką, tak że fruwały jak białe duszki. „Czemu się tak przyglądasz? — pytała. — Chcesz dostać coś do roboty?”

Każdej nocy budzę się z tego samego koszmaru. Że wróciłam z domu i jestem znów tutaj. Jednak nie pamiętam niczego, ani Maude, ani matki. Płacę w tym śnie, błagam Naima, by mnie ponownie odesłał do domu. Przysięgam, że tym razem zapamiętam wszystko. On jednak zdaje się mnie nie słyszeć. Zdaje się też mnie w ogóle nie widzieć.

Powiedział mi właśnie, że kiedy mnie nie będzie, dziećmi zaopiekuje się Sonja. A przecież, już podczas tych kilku zaledwie tygodni mojej nieobecności zdążyły o mnie zapomnieć. Po moim powrocie do Willi, kiedy je podnosiłam, z krzykiem wrywały się do niej. Teraz znowu wyciągają do mnie ręce i uśmiechają się, a ja z nimi tańczę. Naim przygląda się temu wszystkiemu z okna gabinetu; wie, że ja wkrótce wyjadę, a Sonja ponownie się nimi zajmie. Może właśnie dlatego, kiedy się urodziły, kazał jej

tkwić w kącie pokoju i mnie obserwować. Za każdym razem, gdy o nich pomyśle., będę jednocześnie zmuszona pomyśleć o tej ukrytej w mroku postaci.

Jutro Naim sam odprowadzi mnie na łódź. Wiem, że niewidoma kobieta będzie stała na swoim balkonie, nasłuchując, jak odpływam. Kiedy on zostawi mnie na łodzi, być może pójdzie do niej. Ale mnie to już nie wzrusza. Każdej nocy leżę w ciemnościach i myślę o matce, czekającej na mnie przy ogrodzeniu lotniska, z zawiązaną pod szyją apaszką. A potem o Sonji z moimi dziećmi. I o Naimie.

A on właśnie bierze kąpiel. Słyszą szum wody. Otwieram drzwi, wspinam się po

schodach; zatrzymuję na po-deście.

— Wejdz, Theo — mówi.

Wchodzę zatem i sadowię się za nim na szerokiej kra-wędzi wanny. Sięga do tyłu i układa moje nogi wokół swo-jej szyi, tak by mógł mi położyć głowę pomiędzy udami. Dziś wieczór jedliśmy ostrygi i piliśmy szampana, a przy moim nakryciu czekało małe pudełeczko, zapakowane i ozdobione kokardką. Wewnątrz znajdował się złoty me-dalionik w kształcie muszli, a w nim maleńkie fotografie Nemy i Miny. Wziął go do ręki, pokazał, jak dostać się jeszcze głębiej. Bo tam, tuż pod zdjęciem Nemy, kryło się jego zdjęcie, to z Tanganiki, sama tylko mroczna twarz o smutnym uśmiechu.

Zamykam oczy, pochylam się i opieram głowę o jego głowę. Wydaje się, że nie ma najmniejszego znaczenia, kim jest i jak bardzo go nienawidziłam. Bo teraz odczu-wam smutek również ze względu na niego i nic na to nie poradzę. Opuszczam go, żeby pojechać do domu, do mat-ki; czy mogłabym sobie życzyć czego innego?

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W

porze upałów dziewczyna zawsze lśniła jak jakieś morskie stworzenie. Natychmiast po tym, jak znalazły się obie w samocho-dzie, zrzuca sandałki, wyciąga nogi i opiera stopy o przed-nią szybę.

— Mamo — wzdycha. — Och, mam, całkiem posiwiałaś.

Te wszystkie rozdzielające je lata wydają się jedną długą

zimą. Kiedy Nalia zobaczyła, jak córka schodzi po schod-kach samolotu, z przerzuconym przez ramię futrem bo-browym i z kolczykami w uszach, jak jakaś tubylcza dzie-wucha, nie potrafiła znaleźć słów, którymi mogłaby ją zrugać, na powrót przyjąć do siebie. Czekala zatem przy ogrodzeniu, dygocąc pomimo upału.

Natomiast teraz, gdy dziewczyna tak jak kiedyś opiera nogi o przednią szybę i panuje

milczenie, które obie za-chowują, kiedy są szczęśliwe — teraz właśnie, Nalia woła:

— Patrz! Widać już dom!

Córka zamyka oczy.

— Powiedz mi, jak wygląda — prosi. — Opisz go.

Nalia się uśmiecha. Jakże mogłaby zapomnieć? Ich własny, specyficzny, żyjący osobnym życiem język.

— Podjeżdżamy już pod ostatnie wzniesienie — mówi — pod baldachimem jacarand. Dom to połyskujący, biały zamek. Jest samą doskonałością. Możesz już spojrzeć.

Dziewczyna wyskakuje z auta, nadal bosa. Biegnie w kierunku bramy. Czeka ją już tam psy, ścieżką biegnie ogrodnik. Dotyka bramy i jak duch przenika na drugą stronę. Córka woła do Nalii:

— Brama jest otwarta!

— Och, co tam brama! — rzuca Nalia, sama przez nią przechodząc. — A widziałaś palmy? Te pnącza trzeba było zlikwidować ze względu na szczury. Dostałam urzędowe pisemne polecenie.

Dziewczyna spogląda na nagie pnie drzew, potem na iskrzący się w popołudniowym słońcu dom. W drzwiach stoi jakaś obca kobieta i uśmiecha się.

— Gdzie jest Maude? — pyta dziewczyna matkę.

Nalia nie odpowiada; idzie po mozaikowych płytach chodnika.

— Nasze miejsce jest tam, gdzie się urodziliśmy — oznajmia. — Kolokazje czy drzewa palmowe są niczym dla mnie. Zupełnie niczym.

Wszystko w dziewczynie jest teraz czystą negacją — zaciśnięte szczęki, nieruchomy

wzrok skierowany na morze, tuż ponad głową Vi, ponad murkiem werandy. Jako dziecko błagała o ciastka z hotelu Anglo Swiss, a teraz przesuwając wkoło widelczykiem tę wilgotną, słodką masę, by wreszcie zostawić nienaruszoną z boku talerzyka. Naturalnie, jest zazdrosna; nawet głupiec by zauważył, że to nadchodzi. A przecież gdyby nie uciekła albo gdyby ubiegłego roku wróciła z dziećmi do domu, jak jej Nalia kazała, nic z tego by się nie zdarzyło.

— Czy Maude ma dzisiaj wolne? — pyta Nalię od niechcienia.

Nalia sztyletuje ją wzrokiem.

— Przyniosę jeszcze trochę wrzątku — wtrąca pośpiesznie Vi.

— Siadaj. Herbata jest wystarczająco gorąca. — Nalia zwraca się do córki. — Maude odrzuciła wszystko, co jej ofiarowałam.

— Ależ dlaczego? Jak?

— Poślubiła taksówkarza i zamieszkała w Wentworth. — Ma zamiar kontynuować, kiedy zauważy, że córka spogląda przed siebie niewidzącym wzrokiem, a w jej oczach pojawiają się łzy.

Nalia nigdy nie ulegała łzom, nienawidzi łez, jednakże w tej chwili ich widok przywodzi jej na myśl cały ten czas, który wspólnie spędziły, a także ten, jaki jeszcze się przed nimi rozciąga. Gdyby nie było tu Vi, ujęłyby dłoń córki. Powiedziałyby, jak jej samej brakuje Maude, jak okropnie się wszystko zmieniło, kiedy nie ma ich obu.

Tymczasem dziewczyna odwróciła już głowę. Mocuje się z zapięciem łańcuszka medalionika. A potem, kiedy już go zdejmie, naciska w tę i w tę, aż wreszcie medalionik się otwiera.

— Proszę — mówi, podsuwając go Nalii, jakby rzucała jej wyzwanie. — To moje dzieci. Mina. Nema.

Gdyby nie było Vi, Nalia wyrwałaby medalionik z jej ręki. „Proszę? — krzyknęłyby.

— Co znaczy tutaj to twoje «proszę»? Jednak w obecności Vi, która spogląda to na jed-ną, to na drugą, jakby była ptakiem w klatce, utraciły wszystko to, co przedtem pojawiał się pomiędzy nimi w tak naturalny sposób; własną tonację i napięcie.

Nalia wpatruje się w wycięte owale twarzączek — jed-na poważna, druga uśmiechnięta — w miniaturowe złote kółeczka w uszkach. Dotąd dzieci te były niczym plamki

na krawędzi snu, rozmyte i zupełnie nieuchwytnie. A te-raz ma je przed sobą, konkretne i obce, i przerażające.

— Posprzątam ze stołu — mówi Vi.

Nalia przygląda się jej, jak stawia z łoskotem naczyń na tacy, jak ją z trudem wnosi do domu. Pomimo swoich niewielkich rozmiarów Vi jest niezgrabna jak pierwszy lepszy mężczyzna. Zdążyła już potłuc wazon i porozle-wać kawę po całym domu. Nalia zabroniła jej pić kawę gdziekolwiek indziej jak tylko przy stole w jadalni, ale kobieta bez tego napoju po prostu nie jest w stanie funk-cjonować. Powiada, że nie istnieje bez kawy. Co gorsza, jest uparta jak osioł. Kiedy tylko ma ochotę, pomimo sta-nowczego zakazu Nalii, pozwala psom wskakiwać na swo-je łóżko, na dodatek karmi je resztkami ze stołu.

Nalia ponownie spogląda na medalionik. Widok tych dzieci, zastygłych w milczeniu, w jakiś sposób przenosi ją samą z powrotem do własnych lat milczenia, do czasu, kiedy musiała się zmuszać, by nie myśleć o przyszłości, jakiegokolwiek przyszłości.

— Chciałabym je zobaczyć — oznajmia nagle.

Na te słowa córka zrywa się z fotela i podchodzi, by nareszcie ją uściskać. Okrywa ją ramionami jak peleryną, całuje w policzek, płacze już teraz otwarcie, szlocha w jej kark.

Nalia zawsze była świadoma kryjącego się w takim szczęściu niebezpieczeństwa. Również obecnie je wyczu-wa; tymczasem córka nie zamierza rozluźnić uścisku. Kła-dzie głowę na ramieniu Nalii, a znajomy dotyk tej głowy, miękkość włosów działają na Nalię usypiająco. Zamyka oczy i przytula policzek do włosów córki. Sama widziała kiedyś, jak dziewczyna zapadła w sen pod wpływem po-dobnej zmiany nastroju. Patrzyła wtedy, jak układa się

na jej kolanach, jak ostatecznie nieruchomieje, zanim roz-mowa dobiegła końca.

— Jutro zobaczysz Maude — rzuca. — Przychodzi tutaj od poniedziałku do piątku, zupełnie jak urzędniczka do biura.

— Przecież jest mężatką! — dziewczyna mówi półgłosem. — Och, mamo!

— Wszystko się zmienia — wzdycha Nałia. Wie jednak, a i córka to wie, że nie wierzy we własne słowa. Przez całe życie przeciwstawiała się zmianom... przeciwstawiała się Bogu samemu. A teraz to właśnie ma być jej karą — ta córka pojawiająca się i znikająca z jej życia, wedle własnego uznania, tak samo Maude. Być może rację miała jej matka. Być może cała jej wściekłość była jedynie przejawem bezsilności. Ale jeśli to prawda, jak może sobie pomóc? Co teraz może na to poradzić?

Katzenbogen poprosiłby ją po prostu, żeby mu ponownie opowiedziała, czym ta wściekłość się rozpoczęła — buzeniem w głowie, rykiem przetaczającym się do krwi, ogłuszającym i oślepiającym tak, że nie widziała niczego poza tym, czego akurat chciała, poza tą rzeczą, której mieć nie mogła. Krzycz, jeśli masz ochotę, mawiał. Krzycz tak głośno, jak tylko potrafisz.

Jakież jednak sens ma bezcelowy krzyk? Nic nie zmieni tego, że życie biegnie własnym torem, nieważne, jak bardzo chcielibyśmy ten proces powstrzymać. „Dajcie jej strzelbę — mawiała babka — Niech wystrzela nas wszystkich i niech się przekona, co jej to da”.

ROZDZIAŁ DRUGI

Z

asada jest taka: mam stwarzać pozory, że tego mojego drugiego życia nie ma. I zaczynam czuć się tak, jakby ono rzeczywiście nie istniało. Bo kiedy siadam w kuchni i rozmawiam z Maude, odnoszę wrażenie, że je sobie nieustannie

wymyślałam, nawet dzieci.

— Okropne, to okropne — mówi, sypiąc do zupy sól.

Patrzę, jak błyska jej ślubna obrączka, tak zaskakująca na jej palcu, że aż fascynująca.

— Żył z przyrodnią siostrą jak z żoną — mówię.

Odwraca się do mnie na te słowa; solniczkę nadal trzyma w ręce.

— Czy ty przypadkiem nie kłamiesz? — Maude zawsze tak pyta, mimo że ma doskonałe wyczucie prawdy. „Jest moimi oczami i uszami — powiedziałaaby matka. — Nie myśl sobie, że uda ci się ją okłamać”.

Opowiadam jej zatem o opiekunkach dzieci i o niewi-domej kobiecie, i o mężczyźnie ze wsi, który mnie opluł. Teraz, kiedy jest mężatką, mogę mówić jej wszystko, co zechcę, nawet o Nemie, o tym, co zaszło z tym kelnerem na statku.

Zostawia zupę i podchodzi do stołu. Leży na nim rozpo-starta gazeta, na której ma wypatroszyć i oczyścić prze-znaczoną na kolację rybę. Zapach ryb napęlnia mnie rado-ścią. Tak pachnie piątek, pobyt w domu, z dala od szkoły.

— Czy ty przypadkiem nie kłamiesz? — powtarza. Oczy ma matowe, mroczne i przerażające.

Gdyby były tu moje dzieci, przytuliłabym je do siebie, odwróciła od niej ich twarze. Widziałam kiedyś, jak z ta-kim wzrokiem i z tasakiem w ręce szła przez kuchnię, by zrugać ogrodnika. Nawet kiedy ten tasak odłożyła, ogrod-nik nadal na niego zerkał. Naprawdę wściekła Maude jest zdolna do wszystkiego. Potrafi spowodować, by nóż uniósł się sam i powędrował w powietrzu z powrotem do jej dłoni.

— Musisz powiedzieć swojemu ojcu, żeby sprowadził dzieci tutaj — mówi.

Śmieję się.

— Ojcu! On jest z nich wszystkich najgorszy!

Cmoka donośnie. Kiedy mówię jak moja matka, ona nie

ma nic do powiedzenia i teraz żałuję, że jej to wszystko opowiedziałam. Jak ona mogłaby zrozumieć, że prawda nie jest taka prosta? Że nawet teraz, kiedy mówię o Na-imie, sama pewnej rzeczy nadal nie rozumiem. Nie rozumiem tego, że za nim tęsknię. Te wszystkie miesiące przed urodzeniem dzieci, kiedy on czekał na mnie co-dziennie w swoim gabinecie, każdy ten wieczór przy ja-dalnym stole — chcę to na powrót odzyskać. Kiedy takim go pamiętam, to jakbym w ogóle nie była matką.

— Kiedy będę mogła poznać twojego męża? — pytam.

Dłonie ma zajęte rybą, zakrwawione i mocne. To nie-wyobrażalne, że mogą dotykać mężczyzny, niewyobra-żalne.

— Nie może tutaj przyjechać — odpowiada.

— Wobec tego ja pojedę do Wentworth. Nawet nie za-
uważają, że mnie nie ma.

Spogląda na mnie, żeby sprawdzić, czy nie żartuję. Obie jednak wiemy, że moja matka przyłgnęła do Vi jak do ko-

chanka. Jeśli jej nie zamyka, tak jak zamykała mnie, to wyłącznie dlatego, że nie musi. Codziennie rano wędrują w dół, przez skalny ogród, do letniego pawilonu, tam zdejmują szlafroki i stają nago twarzami do słońca. Robią głę-bokie wdechy, przeciągają się i wyginają, a ja z werandy na piętrze obserwuję je, tak jak obserwowałam własne dzieci. A co dziwne, tam, w dole, one same wydają się dziećmi. Nawet ich nie osłonięte ciała robią wrażenie dzie-cięcych. Na dodatek ciągle sprzecząją się i kłócą. Kiedyś widziałam, jak matka przerzuca szlafrok Vi ponad ogro-dzeniem do ogrodu pani Holmes. A potem Vi musiała iść za matką przez skalny ogród, tuż obok ogrodnika, kom-pletnie naga.

— Może Sonny będzie mógł przyjechać po ciebie w nie-
dzielę — mówi Maude. Nie patrzy na mnie. Filetuje rybę,
jeden błysk noża, a potem chlast i już druga strona.

To szalony pomysł, obie to wiemy. Jakby to miało się odbyć? Mąż Maude dzwoni do bramy, a ja przechodzę przez nią, wołając do widzenia? Chociaż kłódki już nie ma, to

przecież nikt oprócz Maude nie przejdzie przez bramę, nie zadzwoniwszy. Sama Vi wychodzi na zewnątrz tylko wtedy, kiedy matka ją gdzieś zabiera. Jeśli matka wyjeżdża bez niej, leży na hamaku, na werandzie, z psami u stóp, i czeka na jej powrót.

— O której mam być gotowa? — pytam Maude, a moje serce wali jak oszalałe.

— Kwadrans po dwunastej. Po kościele.

ROZDZIAŁ TRZECI

K

ażdego ranka Nalia budzi się jak czekający na świt wojownik. Najpierw gimnastyka. Potem śniadanie. Potem, o dziewiątej, Vi zamyka drzwi i obie rozpoczynają ćwiczenia. Gdyby to zależało od Nalii, zaczęłyby jeszcze wcześniej, ale Vi nie chce nawet o tym słyszeć. Musi zemleć te swoje ziarna i wypić kawę. Nalia nie pozwala wykorzystywać do tego celu Maude. Skoro Vi każe jej na siebie czekać, to niech przynajmniej wie, czyj to dom i która z nich dwu nie zrujnowała sobie życia z powodu mężczyzny.

Jednakże potem, przy fortepianie, Vi jest nieugięta, kąśliwa i szczerza aż do bólu.

— Sopran liryczny? — woła. — Jaki z ciebie sopran liryczny! Spróbuj raz jeszcze od dwadzieścia trzy, proszę. Do oporu!

Nalia, zamknięta tam z Vi, jest tak szczęśliwa, jak nie była już dawno. Ze wszystkich rzeczy, których jej od wojny brakowało, ta należała do tych najbardziej zapomnianych. I nawet jeśli jest już za późno, by jej głos był tym, czym mógłby być... to przecież, kiedy śpiewa dla Vi, ponownie przepelnia ją nadzieja. Nieważne, że Vi jest tutaj tylko dlatego, że skończyło się już jej własne życie i że z dala od fortepianu jest tylko pochlebą i lizusem, i głupcem. To opatrność zesłała Nalii tę kobietę tamtego po-

południa w górach... by ten dom i jej życie w nim ponownie nabrały sensu.

Nawet w niedzielę, tak jak dzisiaj, Nalia nalega na dwie godziny ćwiczeń, nim zajmą się czymkolwiek innym. Wie, że Vi nie wymyśli powodu, dla jakiego chciałyby mieć dzień wolny. Bo i na co jej to? Na wycieczkę nad morze? Podwieczorek w hotelu?

— Jest dla ciebie kartka na komódce, Natalio — mówi Vi,
ledwo skończą ćwiczenia. Nie nauczyła się jeszcze, że nie
wolno jej czytać poczty Nalii, nawet adresów na koper-
tach. — Proszę — mówi — wygląda na to, że od Theadory.

Nalia wrywa jej kartkę z ręki. Nakłada okulary i wpa-
truje się w wypisane na zewnętrznej stronie imię. „Natalia”. Dziewczyna zawsze lubiła pisać ich imiona tym
swoim zamaszystym, swobodnym pismem. Natalia i Thea-
dora. Nalia i córka. Nalia i jej własna babka.

— Coś nie w porządku? — pyta Vi.

Ta kobieta ciągle zadaje to pytanie, niespokojna, że mo-
że zostać stąd wyrzucona na zasadzie takiego samego przy-
padku, dzięki któremu się tutaj znalazła. Jednocześnie
zawsze też żywi nadzieję, zerka na tę komódkę, żeby zo-
baczyć, czy nie ma na niej czegoś z jej własnym imieniem, zawsze podskakuje na dźwięk telefonu. Kiedy Nalia
z niej drwi, staje się jedynie bardziej żałosna, odrażająca, grote-
ska. „Nie potrafię uwierzyć — wykrzykuje — że już nigdy nie będę się kochać z mężczyzną!”

Mamo, pojechałam do Maude na lunch. Wrócę koło piątej. Thea.

Nalia składa kartkę i rusza schodami na górę. Jednak po chwili, na podeście, musi się
zatrzymać. Pod żebrem czuje dźgnięcie noża, które niemal całkowicie odebrało jej
oddech.

— Coś nie w porządku? — woła ponownie Vi.

— Znajdź sobie coś na lunch w lodówce — mówi Nalia. —

Ja nie jestem głodna.

Przytrzymując się poręczy, wspina się po schodach, sto-
pień po stopniu, aż na samą górę, a potem sunie powoli korytarzem, wchodzi do pokoju i zamyka drzwi na klucz.
Pada w poprzek łóżka, nie zdejmując narzuty, nie rozbie-
rając się nawet. Popołudniowa bryza wydyma zasłony. Na chodnikach tubylczy chłopcy brzdąkają na
gitarach i jak zwykle w niedzielne popołudnie w niebo wzbiły się sa-
moloty z turystami.

Wszystko wydaje się o wiele bardziej zwyczajne niż zwykle. Dlaczego więc jest to
takie ważne, że dziewczyna wyszła, nie pytając o pozwolenie? Przede wszystkim,

gdy-by wtedy nie odeszła... gdyby ona, Nalia, ponownie mogła mieć przyszłość córki w swoich rękach, to czego by dla niej pragnęła? Odpowiedź brzmi: Niczego. Zanim pojawił się ten złodziej i porwał ją stąd, nie istniała żadna wspólna przyszłość dla Nalii i jej córki... był tylko dany dzień, dana godzina, a wszystko to rozciągnięte w jedną długą linię.

Nalia kuli się i przewraca na bok, żeby złagodzić ból. We wtorek, kiedy uda się w głąb kraju, nie przeczyta Kat-zenbogenowi swoich notatek. Zapyta go, co takiego okropnego było w tym, że córka i ona stawały się coraz starsze w tej jednej długiej linii? Spyta go, czy to pragnienie zatrzymania córki dla siebie, jakie odczuwała i nadal odczuwa, było ostatecznie jedynie próżnością?

On, naturalnie, nie odpowie. Będzie musiała poczekać jakiś czas, dopóki nie rozsznuruje i precyzyjnie równo nie ustawi swoich nieskazitelnie czystych butów. Potem wyciągnie się na łóżku w tym małym pokoiku i powie to, co

mówi zawsze — że dla Nalii dziewczyna zawsze była od-biciem i echem jej samej, jej wściekłą wytrwałością, jej dumą, jej zemstą. A ona będzie go obserwować i wsłuchiwać się w jego słowa i nawet na jedną krótką chwilę zrozumie. Usiądzie w nogach łóżka i będzie wdychać zapach pasty do polerowania mebli... i, och, jakże Nalia tęskni, by on ponownie miał swój udział w jej życiu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

K

iedy przyjeżdżam z Sonnym, Maude czeka ubrana w fartuch. Odbiera słoik z wisienkami koktajlowymi, który wzięłam dla niej z naszej spiżarni, i podaje go Sonny'emu.

— Dziękuję — mówi.

Wiem, że jutro zabierze go z powrotem do domu. Gdy-by matka zauważyła jego brak, wiedziałaby, gdzie się podział i dlaczego. Maude bierze mnie za rękę i prowadzi pod górę do drzwi kuchennych.

— To mój pies — oznajmia. — Przepraszam za kuchenne drzwi. — Pachnie cebulą i Dziką Gardenią, a ja pragnę całym sercem, żebyśmy teraz znowu wszystkie mogły być

razem w domu.

— Mamuśka — woła Sonny — mam otworzyć fantę?

— Otwórz colę — odpowiada. — Nadal lubisz colę, co?

Kiwam głową. Brak nam odpowiedniego brzmienia, odpowiedniego dla tego jej nowego życia języka. Prowadzi mnie głównym korytarzem domu, nadal nie wypuszczając mojej dłoni.

— Tam jest toaleta, gdybyś musiała skorzystać — mówi.

Zatrzymuje się w drzwiach swojej sypialni, gdzie mam

zostawić torbę. Stoją w niej obok siebie dwa łóżka, porządnie zaścielone i przykryte białymi, zrobionymi na szydełku narzutami. A na oknach wiszą cieniutkie, nylo-

nowe firanki, pod szkłem toaletki leżą ozdobne serwetki. Nie ma tu żadnych świec ani figurki Matki Boskiej.

— Lunch jest gotowy — mówi. — Chodźmy, bo ostygnie.

Przy stole daje głową znak Sonny'emu, by odmówił

modlitwę. Gdyby nie była mężatką, błagałabym ją, żeby wróciła ze mną na wyspę. Zamieszkałaby w pokoju przy-legającym do mojego i Sonja już nigdy nie odważyłaby się przyjść tam korytarzem, nie ośmieliłaby się też dotykać moich dzieci.

— Maude gotuje lepiej niż hotelowy kucharz — rozply-

wa się Sonny. Jest o wiele ciemniejszy od Maude, a jego

łyśa głowa lśni od potu. — Mogłaby prowadzić firmę cateringową dla ludzi w mieście.

Oblewam się pasem na myśl o matce, nieświadomej tego wszystkiego. Kiedy jechaliśmy przez miasto, a także potem, na drodze prowadzącej do lotniska, Sonny milczał przy kierownicy; nie zwrócił się do mnie ani razu. Teraz natomiast wpatruje się we mnie swoimi małymi, żółtymi oczyma. Chce coś jeszcze dodać, kiedy odzywa się Maude:

— Pokrój chleb, proszę.

Chwyta bochenek i piłuje go energicznie. Ma pająko-wate palce, a ciało pod paznokciami fioletowe. Odwraca-jąc wzrok, próbuję sobie przypomnieć dłonie Naima i je-go całego. Nocą, kiedy leżę w łóżku, otwieram medalio-nik i podsuwam jego fotografię pod światło lampy. Tutaj on przestał istnieć, jest cieniem. Nawet dzieci zastygły w maleńkie owale twarzyczek. Dopóki tu pozostanę, będę odnosić wrażenie, że moje życie na wyspie mogło być je-dynie snem. Czymś nierealnym. Niczym.

— Ten chleb też sama upiekła — mówi Sonny, przesu-wając deskę z pieczywem w jej kierunku.

— Hau, co się też z tobą dzieje, zamierzasz się cheł-pić? — mityguje go Maude, próbując obrócić całą rzecz w żart.

Ja też próbuję być wesoła. Przez cały lunch wychwa-lam wszystko, indyjskie birjani, które przyrządziła spe-cjalnie dla mnie, ćatni z mango, miseczki do opłukania palców przy każdym nakryciu, zupełnie jak nasze. Jed-nak we własnym domu Maude jest nieśmiała, zupełnie siebie nie przypomina. Mówi tylko:

— To jakiś stary przepis, który zawsze u nas był. Chcesz jeszcze?

Kręcę przecząco głową.

— Nie dziwota, że jesteś chuda jak pies — mówi Sonny.

Uśmiecham się, ale on akurat wydłubuje widelcem coś spomiędzy zębów i w ogóle na mnie nie patrzy. Maude wyciąga rękę i dotyka jego ramienia.

— Hej! — woła. Wstaje i zaczyna sprzątać ze stołu. Ja też wstaję, ale ona mówi: — Już przynoszę ciasto ponczo-we z bitą śmietaną. Poczekaj tutaj.

Dom jest nagrzany popołudniowym słońcem. U stóp wzgórza oraz w całej dolinie stoją setki takich jak ten dom-ków; przy czerwonych drogach gruntowych. Jak Maude potrafi pozostawać sobą w tym swoim nowym życiu? Jest niemal tak samo

dziwne jak moje życie.

— Nadal lubisz ten deser? — pyta, nakładając mi ogromną porcję na talerzyk.

— Czemu ją przymuszasz, kobieto? Nie widzisz, że nasze jedzenie jej nie smakuje?

Maude siada i wpatruje się w niego swoim dawnym, wściekłym wzrokiem.

— Usiłuję ją tylko nauczyć — zwraca się do mnie Sonny. — Bo gotowała przez cały wczorajszy wieczór i dzisiaj-

szy rano. Mówiłem jej, że powinna się oszczędzać ze względu na dziecko. Odkładam łyżeczkę.

— Maude?

Ona tymczasem wstaje. W ręku trzyma solniczkę i wiem, że cisnęłaby w niego, gdyby tylko miała pewność, że się nie potłucze.

— Co ci powiedziałam? — pyta. — Czy nie powiedziałam, że masz nic nie mówić?

On się uśmiecha, próbuje wziąć jej wolną dłoń w swoje. Ona cofa ją jednak, odsuwając się.

— Dlaczego nie potrafisz trzymać ust na kłódkę, kiedy cię o to proszą? Co jest z tobą nie tak, he? Chcesz sprawić przykrość ludziom, którzy tobie nigdy nie zrobili przykrości?

Teraz już wstał i on, ściska dłońmi oparcie krzesła.

— O czym ty mówisz? Kto mi nigdy nie zrobił przykrości? Każdego ranka muszę cię wozić do tej kobiety i każdego wieczoru muszę cię stamtąd zabierać!

Maude wyjmuje z kieszeni chusteczkę i wydmuchuje nos.

— Nie smuć się — zwraca się do mnie.
— A dlaczego niby ona miałaby być smutna?! — krzy-
czy Sonny, wskazując na mnie palcem. — A kimże ona
jest, żeby być smutna? Twoją córką?

Maude kręci głową.

— Ai— mówi — ty zawsze musisz robić awantury.

Nigdy nie widziałam jej płaczącej. Widziałam jedynie,
jak jest zagniewana albo zadowolona, tyle że nawet gdy jest zadowolona, wydaje się
zagniewana. Teraz jednak płacze — gniewnie, bezgłośnie, z oczami nadal
utkwionymi w niego.

— Ma własną matkę! — krzyczy do niej Sonny. Prze-
ciska się obok niej, wybiega z pokoju, trzaskają drzwi na
końcu korytarza.

Wtedy ona okrąży stół i podchodzi do mnie.

— Nie przejmuj się nim — mówi cicho. — Czasami po-
trafi być miły.

Przytulam do niej twarz, oplatom rękoma jej biodra.

— Och, Maude! Przecież to cudowna wiadomość!

Odgarnia mi włosy z czoła.

— Jeśli to będzie dziewczynka, dam jej na imię Thea —
mówi. — Już mu to powiedziałam. I każdej nocy modłę
się do Boga o dziewczynkę. "!

ROZDZIAŁ PIĄTY

P

oprosiłam ojca, by zorganizował dla mnie lekcje jazdy samochodem, ponieważ matka jest chora. Od sześciu dni leży w łóżku, zwinięta w kłębek wokół termoforu. Kiedy wchodzę, udaje, że śpi. Zawsze uważała chorobę za coś uwłaczającego. Dlatego nie powinnam o nic pytać i nie powinnam niczego wiedzieć. Przez całą drogę w dół wzgórza ojciec naigrawa się.

— A cóż to? — mówi z krzywym uśmiechem. — Widzę, że wystroiłaś się jak na garden party.

Oblewam się rumieńcem. Włożyłam swoją amerykańską sukienkę oraz sandały na wysokich obcasach, pomałowałam paznokcie u stóp lakierem matki i zwinęłam włosy w kok, tak żeby było widać kolczyki. Nawet się nie zastanawiam, co jej na ten temat powiem. Zdążyłam już zapomnieć te wszystkie stare sposoby, jakie stosowałam, gdy chciałam ją okłamać. A poza tym wydaje się, że jest to jej obojętne, niemal przestała mnie zauważać.

— Naim kupił mi tę sukienkę — oświadczam.

Wybuchła śmiechem.

— No i świetnie! Po lekcji zabiorę cię na podwieczorek do Balmoral, żeby cię pokazać.

Instruktor jazdy zapala papierosa, podnosi go do ust, trzy-mając pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Ma dłu-

gie włosy, a rękawy koszuli zawinięte wysoko na muskułarnych przedramionach.

— Lubię nieśmiałe dziewczęta — oznajmia.

Patrzę przed siebie, na przycumowany do nabrzeża holownik. Całą godzinę spędziliśmy na parkingu, ćwicząc ruszanie i zatrzymywanie. Kiedy weszłam do biura szkoły jazdy, a on podniósł wzrok znad biurka i z bezczelnym uśmiechem przeleciał wzrokiem po moim dekolcie, poczułam, jak płonie moja twarz, szyja i uszy, i od tamtej chwili nie odezwałam się ani słowem.

— A tak przy okazji, mam na imię Dirk — dodaje.

Zatrzymaliśmy samochód przed jego biurem, nie wyłączając silnika. Szkoła jazdy zajmuje szopę na parkingu przystani jachtowej. Auta też naprawia, mówi. Jeśli moja matka będzie potrzebowała, żeby naprawić jej samochód, to może go przyprrowadzić

do niego.

— Zrobimy sobie mały spacerek? Wzdłuż nabrzeża?

Wzruszam ramionami.

— W takim razie możesz mnie odprowadzić do biura. —

Wybuchą śmiechem, jakby powiedział dowcip. — Daj spo-

kój — mówi — nie bądź taka nieśmiała. — Wyłącza silnik

i wysiada.

Kiedy idziemy nabrzeżem, trzyma mnie za łokieć.

— Hej! — woła. Dwóch mężczyzn, przewieszonych przez

reling holownika, obserwuje, jak się zbliżamy. — Popatrz-

cie, co wam przyprowadziłem!

Próbuję się uśmiechnąć, jednak gdy oni wszyscy tak mi się przyglądają, żałuję, że nie włożyłam zwykłej letniej sukienki oraz pantofelków na płaskich obcasach. A przecież właśnie po to tak się ubrałam tego ranka — żeby mężczyźni mi się przyglądali, żeby chcieli mnie mieć dla siebie. Chciałam tego nawet bardziej, niż nauczyć się pro-

wadzić samochód. Być może właśnie dlatego Naim kupił mi te stroje. Być może dlatego wysłał mnie do domu.

— Córeczka starego — wykrzykuje Dirk, wskazując ręką jacht ojca.

— Ma takich więcej dla nas?

Śmieją się, a ja im wtóruję. I nagle już wiem, co powie-dzieć Dirkowi:

— Jestem mężatką.

— Żartujesz!

— Nie. Naprawdę.

Zdejmuje dłoń z mojego łokcia.

— Wykradł cię z kołyski, czy co?

— Mniej więcej.

W milczeniu wracamy do samochodu ojca, zupełnie jakbyśmy się przed chwilą pokłócili. Wkłada rękę przez okno i naciska klakson, jak kazał mu mój ojciec.

— Teraz twój stary cię stąd zabierze — mówi. — Trzymaj się!

Siedzę z ojcem na werandzie hotelu Balmoral i spoglądam na plażę. Widywałam już u niego taką ponurą minę, kiedy matka jeszcze przed podaniem kawy oznajmiała, że wieczór dobiegł końca. Albo kiedy koncentrowała się na swoim haftowaniu i udawała, że nie słyszy tego, co on mówi.

— Ciekawe, co spowodowało ten nagły atak depresji u twojej matki? — zastanawia się.

— Doktor Slatkin odwiedzi ją w drodze do domu.

Wyciąga kieszonkowy zegarek.

— Dopij drinka — mówi. — Może wpadnę ją zobaczyć.

Tymczasem ja jestem tak pełna tęsknoty i żalu, że nawet nie słyszę jego słów.

— Dlaczego pozwoliłeś, żeby Naim mnie wygrał? — wyrzucam z siebie.

Przywołuje kelnera.

— Jesteś przecież dość szczęśliwa — mówi.

— Nie jestem! Nie jestem szczęśliwa! — Rozczulam się nad sobą aż do łez.

— Za późno już na to. Chodź, córeczko, czas iść.

Wychodzę za nim z hotelu. Przez wszystkie te lata wiedziałam, jak matka go nienawidzi, i wykorzystywałam jedynie tę jej nienawiść, by móc zabawiać go sama. Ale te-raz pragnę go ukarać. Chcę, żeby wiedział, że nie mogę nawet wziąć lekcji

jazdy jak każda inna normalna dziewczyna. Jestem kaleką nie tylko dlatego, że ona jest kaleką. Jestem kaleką, bo również on mnie okaleczył.

— Zrujnowałeś mi życie! — wykrzykuję. Jesteśmy na prowadzących do hotelowego wejścia schodach, ale mnie jest obojętne, czy gapią się na nas inni; chcę nawet, żeby się gapili. — Sprzedał mnie jak niewolnicę! — krzyczę do ludzi.

Chwyta mnie mocno za ramię.

— Natychmiast przestań! — warczy. Przechodnie odwracają się, żeby zobaczyć, jak prowadzi mnie do auta.

Teraz już szlocham głośno, tak głośno, jak tylko potrafię. —

Jezu Chryste! — woła. — O co ci chodzi, że wrzeszczysz

jak handlarka ryb? — Otwiera drzwi i wpycha mnie do

środka.

Całą prowadzącą torem wyścigowym oraz zboczem wzgórza drogę siedzę odwrócona od niego, wiercę się i podskakuję. Kiedy pokonujemy ostatnie wzniesienie, już nawet nie odwracam oczu od domu. Wręcz wbijam w niego wzrok. W popołudniowym słońcu jest ogromny i przerażający.

Zatrzymuje się na podejździe.

— Weź się w garść, zanim tam wejdziemy — mówi. Sięga

do kieszeni i wyjmuję pieniądze. — Proszę. Na autobus

i tak dalej. We wtorek możesz pojechać na lekcję sama.

Ignoruję pieniądze, otwieram drzwi i z trzaskiem je zamykam.

— Zupełnie jak twoja cholerna matka! — krzyczy, wy-

skakując z auta, i podąża tuż za mną, żebym nie zdążyła

zamknąć bramy. — Cholerna szkoda!

Obserwuję ich ukryta w cieniu rzucanym przez werandę na piętrze — niezwykajny to widok, kiedy on stoi przy łóżku mojej matki. Lewą dłonią trzyma ją za oba nadgarstki, a prawą położył na jej czole.

— No dobrze — mówi, cofając dłonie. — Przyślę tu swojego lekarza. Poinstruuuj tylko tego człapiącego tam na dole Jezusa, żeby go wpuścił, kiedy przyjedzie.

Ona odwraca się do niego plecami i podciąga przykrycie aż po samą szyję.

— Vi! — skrzeczy. — Vi! Chodź tu natychmiast.

— Och, zamknij się, wiesz przecież, że cię nie usłyszy. —

Siada na jej zielonym fotelu, zakłada nogę na nogę, krzyżuje ramiona. Jednak cały czas nie odrywa wzroku od tego wzniesienia, jakie tworzy na łóżku jej skulona postać, wysuwa do przodu brodę i węszy w powietrzu jak pies. — Maude tu powinna być — oznajmia w końcu. — Ten człapiący Jezus jest za stary. A Theodorze brak zdrowego rozsądku.

— Czyja to wina?

Z wściekłości oblewam się pasem. Gdybym miała pewność, że matka weźmie moją stronę, wparowałabym do

pokoju. Cóż, kiedy tylko tam leży i zwyczajnie z nim rozmawia. On siedzi sobie w jej fotelu, a ona nawet nie próbuje sięgnąć do dzwonka.

— Natalio, o co w tym wszystkim chodzi? Naprawdę jesteś chora?

Ona przewraca się na plecy i patrzy w sufit.

— Powinłam wrócić w góry — oznajmia. — Tam byłam szczęśliwa.

Wiem, że w ten sposób chce go ukarać, tymczasem ka-rze mnie. Bo co go to obchodzi, czy ona pojedzie w góry? Czym ona jest dla niego beze mnie?

— No dobrze — mówi ojciec, uderzając dłońmi o kolana i wstając. — Radziłbym coś zrobić z tymi włosami, zanim pojedziesz. Nie przystoi ci być starą kobietą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O

statecznie wyraża się to w słowach — grabież, gwałt, spustoszenie. Naturalnie, Slatkin tych słów nie używa. Siedzi za swoim biurkiem, palce białych dłoni zaplótł przed sobą i powiada:

— Nalio, moja droga przyjaciółko, to nie jest dobra wiadomość.

Wszystko to ze śmiechem Nalia powtórzy Katzenbogelowi. Jadąc pod górę, opuści szybę i będzie śpiewać, jak jej się żywnie spodoba, i do diabła z Vi. W przyszłym tygodniu, być może, odeśle ją z powrotem w góry, tak żeby mieć ponownie dom tylko dla siebie i córki.

Dziewczyna leży wyciągnięta na sofie. Zawsze, kiedy znoszono na dół walizki, zachowywała się jak pies — była poważna, nieszczęśliwa, bezradna.

— Mamo — odzywa się teraz — dlaczego choć raz nie mogę z tobą pojechać?

Na dłoniach wciąż ma dołeczki, jak dziecko. A przecież co dzień udaje się autobusem na lekcje jazdy, zupełnie jakby dzięki prowadzeniu auta miała wydorosnąć. Kiedy Nalia przygląda się dłoniom córki, ma ochotę zapłakać, ponieważ życie jest tylko smutkiem.

— Zadzwoń do Maude, kochanie — mówi. — Poproś, żeby przyszła i spakowała to przed podwieczorkiem.

Nalia wzdycha. Kiedy śmierć panowała wszędzie wokół

niej — brutalna, zła, kapryśna — niczym nie przypominała tego. Nawet kiedy porwano córkę i Nalia myślała, że pragnie jedynie śmierci, to tak naprawdę czego wtedy oczekiwała, jeśli nie kary? A więc to wszystko było kłamstwem? Śmierć jest czymś innym. Wcale nie jest karą, jest darem, błogosławieństwem. Katzenbogen powie, że ona bawi się tą ideą i być może tym razem będzie miał rację. Przez całe życie Nalia chciała uzyskać pewność. I teraz ją ma — tę niespodziankę, tę czystą, niczym nie zabarwioną prawdę. Dziewczyna ponownie opada na sofę.

— Maude zaraz będzie — mówi.

Nalia widzi, że niewiele jej brakuje, by wybuchnąć płaczem. Gdyby śmiała rozstać się z tą prawdą, teraz by jej ją przekazała. Jednak nie potrafi, jeszcze nie. Wpierw powie Katzenbogenowi. Szaleńczo wręcz pragnie mu powiedzieć.

— Pospiesz się — zwraca się do Maude. — Już jestem spóźniona.

Maude podnosi do góry zieloną sukienkę z dzianiny i żakiet.

— Nie za gorąco na to?

— W górach ciągle leży śnieg.

— Dobrze. A które pantofle? Czarne czy beżowe? — Bierze obie pary i przykłada do sukienki, przesuwając wzrok od Nalii do dziewczyny. Coś jest nie tak z obiema, myśli.

Nalia jest cicha i spokojna, a dziewczyna przypomina kota, nie może sobie znaleźć miejsca, czeka na dzwonek telefonu. Kiedy Maude pyta, kto dzwoni, staje się niegrzeczna, każe jej pilnować własnego nosa.

— Beżowe — oznajmia dziewczyna.

— W porządku — mówi Nalia — możesz je zapakować. —

Patrzy na zegarek. — Powinam już być w drodze.

— Mamo? Dlaczego tak sobie obcięłaś włosy? J:

Nalia podchodzi i siada na sofie.

— Co się z tobą dzisiaj dzieje, kochanie? — Głos ma łagodny, jak zawsze, kiedy wybiera się w głąb kraju. Odgarnia córce włosy z czoła. — Idziesz dzisiaj na lekcję jazdy?

Dziewczyna kiwa głową, a jej warga drga. Wszystko wymyka się jej z rąk — matka, dzieci, Maude, Naim. Nie ma od niego żadnych wiadomości, żadnego listu, zupełnie nic. Kiedy spytała o niego ojca, ten powiedział tylko: „Każdy miewa problemy, moja droga”.

Może pojedziemy w czwartek na wybrzeże — mówi Nalia.

— Poprowadzisz, będziesz już miała prawo jazdy. Co ty na to?

Córka spogląda na dobrze jej znane bruzdy po bokach ust matki, aureolę siwych włosów, która właśnie zapłonęła od porannego słońca.

— Już ci nie czytuję swoich pamiętników — mówi.

— Jak wrócę? Zgoda?

— Ale Vi ciągle się tu kręci.

Nalia uśmiecha się. Ileż to razy dziewczyna używała wszelkich możliwych sztuczek, by ją powstrzymać od wyjazdu? A na koniec siadała w wykuszowym aknie i waliła w szybę. Podnosi dłoń córki i całuje dołeczki, cały ich rząd. Skóra jest gładka i miękka; przytula do niej policzki. Cokolwiek by Nalia uczyniła, nie zmieni już tego, co teraz się wydarzy. Niemniej odczuwa nagły skurcz serca na myśl o pozostawieniu córki. Czy rzeczywiście nic, z wyjątkiem śmierci, nie pojawia się w życiu przez pomyłkę? Co też Katzenbogen mógł mieć na myśli, kiedy mówił te słowa? Śmierć nie jest żadną pomyłką. Czaiła się przez cały czas, powiada Slatkin, lata całe w ukryciu. No cóż, teraz się ujawniła i nawet Katzenbogen nie będzie w stanie wymyślić słów, które mogłyby tę sytuację odmienić.

— Czas na mnie — mówi. — Wiecie, gdzie mnie szukać.

Dziewczyna zamyka oczy i czeka na trzaśnięcie frontowych drzwi, a potem bramy, a jeszcze potem garażu. Vi już kładzie płytę na talerz gramofonu. Nasłuchuje odgłosów związanych z odjazdem Nalii równie pilnie, jak kiedyś czyniła to

dziewczyna. A psy nie opuszczają jej ani na krok jak cienie, z powodu herbatników, które trzyma w kieszeniach. Maude skarży się Nalii, że w pościeli pełno jest okruchów. Jednak Nalia wzdycha jedynie i mówi: „I tak już wkrótce ją odeślę”.

A przecież Vi nadal pozostaje na miejscu. Każdego rana idą obie na dolny trawnik, żeby się pogimnastykować. Dziewczyna przygląda się im z górnej werandy. Kiedy Nalia udaje się do salonu, żeby poćwiczyć, skrada się na dół, otwiera cichutko drzwi i stoi w nich przez chwilę, po to tylko, żeby zobaczyć na twarzy matki coś z tamtego dawnego szczęścia. Teraz, kiedy Vi już jej nie instruuje, Nalia śpiewa dawne pieśni na swój dawny sposób, a dziewczyna czasami wślizguje się pod fortepian, by wyciągnąć się jak niegdyś na dywanie. Teraz jednak czuje się niedo-rzecznie, kiedy tak leży na podłodze i spogląda na spo-czywającą na pedale matczyną stopę. „Szczęście? — zwy-ła mówić matka. — Szczęście to bezzębna staruszka z miseczką pełną zimnej owsianki”.

Dziewczyna człapie przez sypialnię matki i opada na jej łóżko. Słońce praży niemiłosiernie przez otwarte balkonowe drzwi; chmura komarów wpada do środka. Pokój pachnie talkiem i jajkami ze śniadania, a ona jest równie nieszczęśliwa jak w najgorszych chwilach na wyspie.

Nadal ma na sobie piżamę z krótkimi spodenkami. Wkłada ją tylko dlatego, że chce sprawić przyjemność matce. Po pierwszej lekcji jazdy odłożyła wszystkie ubra-

nia, które ze sobą przywiozła. Znowu nosi swoje dawne rzeczy, które wciąż wiszą tam, gdzie je pozostawiła — tę broderie anglaise, aksamitną zieloną, wszystko, co zdobyła, co wydebiła ze względu na Naima.

Wyciąga szufladkę nocnej szafki, żeby poszukać stope-ra, którym tak się kiedyś lubiła bawić. Jednak zamiast nie-go znajduje notatnik. Jest to zwykły, czarny szkolny zeszyt; wyjmuje go i otwiera. Strony są wypełnione pismem matki. Zna każdy jego zakrętas, każdą poprzeczkę, sposób, w jaki łączą się słowa, jedno za drugim, oraz dziur-kujące kartkę na wylot kropki.

Cofa się na sam początek, przelatuje wzrokiem stronę po stronie, w poszukiwaniu własnego imienia. Nie ma tam jednak nic o niej — są tylko góry, szaroniebieskie w porannym słońcu oraz kochanek jej babki, jezioro, wy-laniający się z mgły mężczyzna duch. Odczytuje życie matki, ale jej tam nie ma, to opowieść, w której nawet się nie pojawia.

— Dlaczego leżysz na narzucie? — pyta od drzwi Mau-

de. — Czemu czytasz coś, co do ciebie nie należy?

Dziewczyna podnosi na nią wzrok.

— Kto to taki ten mężczyzna duch?

— Pleciesz głupstwa — mówi Maude, cmokając znacząco.

co. — Na tym świecie nie ma duchów. Są tylko w książ-

kach.

Autobus jedzie biegnącą grzbietem wzniesienia ulicą. Z górnego poziomu dziewczyna przygląda się ludziom na chodniku. Kiedyś, gdy jechała autobusem z Maude, widziała leżącego na drodze martwego mężczyznę oraz zgromadzony wokół niego tłumek. Kiedy autobus go mijał, zoba-

czyła, jak jakiś chłopak wkłada dłoń do kieszeni tego nie-żyjącego i wyciąga z niej pieniądze. Kiedy powiedziała o tym Maude, ta odrzekła tylko: „A co go to teraz może obchodzić? To już nie jest on. Jego nie ma”.

Postanawia wysiąść przy Poczcie Głównej i pójść Commercial Road w kierunku przystani jachtów. Nigdy wcześniej nie wolno jej było chodzić samej, więc zatrzymuje się teraz, żeby popatrzeć na sklepik z rybami i frytkami, na park miejski, warsztat, w którym reperują auto matki. Kiedy go mijają, dwaj mechanicy podnoszą wzrok i gwizdają. „Halo! — woła jeden z nich. — Już wydorosłaś, skarbie?” Ma za uchem papierosa, jak Dirk. Prawdopodobnie pachnie też tak jak Dirk. Przypomina to zapach Naima, kiedy ten wraca ze stoczni, a ona lubi sobie pomyśleć, że tak pachnie pospolity ordynus.

Ostatnio często myśli o pospolitych ordynusach, inaczej jednak niż kiedyś. Wtedy przerażała ją to, iż zdawali się oni dokładnie wiedzieć, czego chcą, czego chce ona sama. Słowa nie miały dla nich żadnego znaczenia. Istniały jedynie ich zmysłowe potrzeby oraz to, w jaki sposób zawłaszczwały one świat. Dla Dirka ona sama oznacza pieniądze jej ojca i żonę jej męża. „Co też by oni na to powiedzieli?” lubi pytać, kładąc dłoń na jej udzie.

Dziewczyna ma na sobie swoją starą sukienkę na ramiączkach i pantofle na korkowych koturnach; włosy zebrała w koński ogon. Zmyła lakier z paznokci stóp i przestała używać pomadki do ust. Jedynie kolczyki tamtej nie-widomej kobiety wydają się tak pełne życia, jak pełną życia była ona sama, kiedy wysiadała z samolotu. Rozkosznie ciążą w uszach, a kiedy idzie, kołyszą się jak wahadła.

W przystani jachtowej widzi Dirka leżącego na plecach pod autem. Przystaje na krótką chwilę w cieniu szopy

i obserwuje go. Uwielbia zapach tego miejsca — benzyny i ryb, i stęchłej, słonej wody zatoki.

Nawet nie musi się odzywać. Pod tym względem Dirk jest jak Naim. Może wszyscy mężczyźni są tacy, zastana-wia się, nawet ojciec. Bo ten często wychodzi na pokład swojego jachtu akurat w chwili, kiedy matka ją właśnie do niego podwozi. „O jest już — powiada wtedy matka — wyniucha nas zawsze jak pies”.

Jacht ojca jest większy od łodzi Naima. Ma własną win-dę i mały basen, a ona marzy, by obejrzeć jego wnętrze. On jednak nigdy na to nie pozwoli. Gdyby wpuścił ją na pokład, powiada, jak wszystkim innym wyrosłyby jej ple-twy i krążyłaby wkoło bez końca. A jemu już nigdy prze-nigdy nie udałoby się jej pozbyć.

— Jesteśmy dziś wcześniej, co? — rzuca Dirk, podno-

sząc się. Wyciera dłonie w szmatę, którą rzuca zaraz

w otwarte drzwi szopy. — Możemy startować?

Dziewczyna wsiada do samochodu ojca, zapala silnik, cofa i podjeżdża do torów kolejowych. Wygląda na to, że ojciec zapomniał już, jak wrzeszczała na niego w Balmo-ral, albo też jest mu to obojętne. Kiedy teraz po nią przy-jeżdża, pozwala jej prowadzić auto do miejsca, gdzie ma mieć lekcję jazdy. „Gdzie są twoje szykowne stroje? — pyta. — Stara krowa je gdzieś ukryła?”

Dirk wygląda przez okno, podczas gdy ona manewruje pośród ulicznego ruchu; jest milczący, markotny. W koń-cu pyta:

— A co będzie pojutrze?

— Pojutrze? Nic. Dlaczego pytasz?

— Chodzi mi o to, czy jeszcze będziesz tu przyjeżdżać?

Dziewczyna otwiera okno, żeby wpuścić do wnętrza

ciepłe powietrze. Jest ono łagodne i wilgotne, i znajome.

A przecież ten świat na zewnątrz jest dla niej równie obcy jak tamta wyspa. Może to

jest właśnie to, co ludzie potrafią uczynić z tym światem, myśli. Nawet rzeczy, które się dobrze zna, są w stanie przemienić w coś obcego.

— Dziś po południu mogę zostać dłużej, jeśli chcesz — odpowiada. Sprawnie radzi sobie z autem, parkuje je dwoma ruchami kierownicą. Mogła zdawać egzamin już przed tygodniem, postanowili jednak wspólnie, że przeciągną sprawę tak długo, jak tylko się da.

— W porządku — mówi Dirk — wystarczy. — Idzie w kierunku szopy, zmuszając ją w ten sposób, by podążyła za nim. Potem ona czeka przy drzwiach, podczas gdy on, polizawszy koniuszek ołówka, zapisuje tym swoim grubym, niewyraźnym pismem sumę, jaką za tę lekcję obciąży jej ojca.

— Bez trudu zdasz jutro egzamin — oznajmia, spoglądając na zegarek. — Masz ochotę na wieczorną kąpiel? — pyta. — Możemy pojechać furgonetką.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

N

alia nigdy nie była przesądna; Katzenbogen wie o tym. Uwierzy jej zatem, kiedy mu powie, że jej sen był czymś więcej niż tylko snem. Już od wielu tygodni w swoich snach Nalia przypomina sobie różne rzeczy; rozwiesza je wokół siebie niczym zasłonki. Jednak ten sen był inny. Przyniósł ze sobą nóż przystawiony do gardła córki. A potem, kiedy się obudziła, rozpląnął się jak zjawa — pozostała po nim jedynie ta natarczywa konieczność okazania posłuszeństwa, ten strach przed konsekwencjami.

Wie, jak to się rozpoczęło — od tej kobiety z uniwersytetu, tak chciwej, tak niepohamowanej pragnącej przejąć życie Nalii. Kiedy, jak zwykle, tą swoją okrężną drogą dojechała wreszcie do pytania o ojca dziewczyny — wychylona do przodu z

bujanego fotela, z mikrofonem w wyciągniętej ręce — co też sobie myślała, że Nalia tym razem uczyni? Oświeci dla niej latarką kulisy tej starej historii? Skieruje snop światła wprost na te cienie, w te wszystkie kąty?

A przecież pojawiło się to tej nocy we śnie — córka biegnąca za samochodem, sama łaknąca odpowiedzi, zero siedzące w milczeniu na tylnej kanapie auta. Naturalnie, Katzenbogen będzie chciał wiedzieć, co Nalia czuła, kiedy zero wmaszerowało do domu, wprost do jej pokoju, i uwięziło jej nadgarstki w swojej dłoni. Ona mu jednak

odpowie, żeby się zamknął i pozwolił jej wydobyć na światło dzienne prawdę tego snu, pozwolił raz na zawsze załąć tę prawdę jasnym światłem.

Parkuje, jak zawsze, z tyłu hotelu i zostawia torbę u drobnego człowieczka w recepcji.

— Witamy — cieszy się tamten. — Zastanawiali my się, co się z panią stało.

Nalia wpisuje się do księgi i wręcza mu pieniądze, odliczone wcześniej i włożone do kieszeni żakietu.

— Ten pokój, co zawsze, mam nadzieję — mówi — ten sam stolik.

Zatrzymuje się na chwilę, udając, że sprawdza zapięcie torebki, jednak zapachy smażonej cebuli i staromodnej pa-sty do podłóg powodują, że zalewa ją uczucie tęsknoty i żalu. Tęskni nawet za tym kiepskim winem, które Katzenbogen zawsze zamawia. Pierwszy kieliszek pograży oboje w milczeniu. Ona będzie się przyglądała, jak on kroi swój stek z małych jąder, jak czerwienieją mu od wina uszy, i ona, która już tyle razy zrezygnowała z przyszłości, będzie czekać, jak czeka zawsze, na początek czegoś nowego.

Nalia zaczyna opowieść od tego okropnego, granatowego garnituru, garnituru uszytego dla mężczyzny barczystego, a nie dla Katzenboga, na którym wisi każde ubranie, a już szczególnie ten garnitur. Kiedy tamtego premierowego wieczoru otworzyła mu drzwi garderoby, nie rozpoznała go w tym garniturze, pozbawionego na dodatek brody. Zobaczyła jedynie mężczyznę, który spoglądając na siebie w lustro, nie dojrzałby niczego — żadnej przeszłości, żadnej przyszłości. Zamierzała zawołać pracowników technicznych, żeby go natychmiast wyrzucili,

on jednak zdążył spytać szybko, tym swoim cichym głosem, co ona sobie, na miłość boską, wyobraża, że odgrywa jakąś scenę z Wagnera?

Wtedy się zorientowała. I z okrzykiem oparła się plecami o toaletkę.

On to wszystko już wie. Niemniej opowie mu to po-nownie, ponieważ od tej pory będzie o tym myślał inaczej. Przypomni sobie, jak ją zapytał, czy może znów ją dotknąć, a potem, kiedy skinęła głową, dotknął jej niczym ślepiec, wszystkie dziesięć palców spoczęło tak leciutko na jej skórze, że musiała przymknąć oczy, by odciąć od siebie jego obraz w tamtym garniturze. „Mogę?” — spytał i: „Pozwolisz?”

Dlaczego musiał pytać w ten sposób? Zupełnie jakby prosił o taniec czy o szklanek wody. Dlaczego nadal pyta? Czy nie rozumie, że pytanie nie powie mu nic o pożądaniu? Że jeśli wcześniej mu tego nie powiedziała, to dlatego, że nie istnieje odpowiedź na takie pytania. Skoro chce odpowiedzi, to powinien być tam wówczas, kiedy król chciwości porwał ją do tańca na pokładzie swojego jachtu. Och, wtedy ujrzałby inną Nalię!

Wybucha śmiechem. Katzenbogen, który prosi ją o sięgnięcie pamięcią do najdalszych zakątków piekła, siedzi milczący, kiedy ona opowiada o pierwszej nocy z zerem. Czasami odkręca pióro i pisze w swoim notatniku, podnosząc po chwili wzrok, spoglądając prosto w oblicze jej dawnego szczęścia. A kiedy to szczęście zostało jej odebrane i ona, Nalia, oznajmiła mu, że przylgnie do dziecka, które nosi, do chłopca czy dziewczynki, jak porost do nagrobka, potrafił jej powiedzieć tylko to, że planuje wydać na świat własne życie — tę całą historię opowiedzianą inaczej.

Spogląda na jego biblioteczkę, na ustawione starannie dobrze jej znane książki. Pokój pachnie skórą i wełną i mogłaby bez zwłoki, zanim jeszcze skończy się jej czas, zapaść w sen.

— Jedynie dwóch rzeczy nie umieściłam w swoim notatniku — odzywa się w końcu Nalia. — Tej śmierci oraz córki. Nie ma tu nic o dziewczynie.

Słyszy, jak on pochyla się do przodu, żeby usłyszeć, co mówi, a przecież, kiedy tak leży na kozetce z zamkniętymi oczyma, czuje się, jakby mówiła do siebie, niczym jakaś wariatka w autobusie. Muska gładką skórę po wewnętrznej stronie ramienia. Dziewczyna kiedyś bardzo lubiła to miejsce. Kładła się z głową na kolanach Nalii i sięgała dłonią, by je pogłodzić, zupełnie jakby było jej własnym.

Zazwyczaj, kiedy zapada w sen, Katzenbogen znajduje odpowiednie słowa, żeby przywołać ją z powrotem do rzeczywistości. Teraz jednak w ogóle się nie odzywa i ona nie potrafi się już dłużej powstrzymać, zamyka oczy i odpływa od niego.

Czeka, jak zwykle, aż on skończy swój stek, przygląda się znanej krzywiznie jego czoła, małym, płaskim uszom, poruszającym się, gdy przeżuwa. W tym barbarzyńskim oświetleniu pokoju na górze zobaczy go w całości — głowę i dłonie o lata starsze od reszty oraz całe to blade ciało, zaskakująco umięśnione i gładkie.

— Za dużo czasu ci to zabiera — mówi. — Zawsze zabiera ci to za dużo czasu.

On natychmiast odkłada nóż i widelec, wyciera serwetką usta.

Ona jednak siada wygodniej i podnosi kartę trunków.

— Napiję się koniaku — oznajmia.

Katzenbogen podnosi rękę, by przywołać kelnera.

— Dwa koniaki, proszę. Remy Martin.

Kiedy przyniosą koniak, ona się nie śpieszy, tuli lampkę w dłoniach, kręci nią, wprawiając trunek w ruch wirowy. Wie, że on ją obserwuje, czeka, aż powie to, po co odbyła tę całą długą drogę. Nie spyta jednak. Mogliby tutaj siedzieć całą noc, a on nigdy by nie poprosił, żeby powiedziała coś, czego sama nie zechce mu powiedzieć.

Nalia nigdy nie znalazła odpowiedzi na pytanie, jak to możliwe, by jakiś mężczyzna tak właśnie ją kochał. Ani wytłumaczenia własnego pożądanego — jak to się dzieje, że kiedy w tym pokoju na górze zamyka oczy, to zawsze widzi Katzenboga z kobietą, jakąkolwiek kobietą, przycisniętą do jego skórzanej kozetki albo gdzieś na zakręcie hotelowych schodów, albo nawet z jego własną asystentką, na fotelu, w garderobie, tamtego premierowego wieczoru przed wielu laty.

— Nie zniosę myśli o pozostawieniu jej temu złodziejowi — mówi w końcu do niego.

— A masz wybór? — Prostuje się i zaplata ramiona na piersi.

— Napiszę to wszystko dla niej w swoim notatniku — oznajmia Nalia. — Wyrwę ją sprzed jego bezwzględnych,

lodowatych oczu.

Niespodziewanie wyciąga ku niej rękę, żeby ją chwycić za nadgarstek; przewraca przy okazji jej koniak.

— Odejdź! — krzyczy do kelnera. — Zostaw! Nalio! —

mówi. — Chcę to natychmiast usłyszeć.

Ona odwraca wzrok. Wiedziała, jak to się odbędzie, znała słowa, które wypowie, ten zdesperowany głos. Jednak-

że myśl o córce spoglądającej w tę twarz, na te dłonie stała się dla niej nieznośna.

— Nalio! Na miłość boską! Powiedz mi!

Kręci głową. Ostatecznie nie potrafi tego uczynić. Za każdym razem, kiedy Katzenbogen prosił, by przypomniawsobie, co powiedziała dziewczyna, co ona sama powiedziała do córki, wtedy też nie potrafiła tego zrobić. Przypominało to partię, którą kiedyś śpiewała i którą już dawno zapomniała. A teraz znowu go słyszy, ten jego ponaglający, natarczywy głos...

— Nalio, muszę wiedzieć! Mam prawo wiedzieć!

A przecież, jeśli mu powie, to całe jej życie zostanie opowiedziane inaczej. I wszyscy zostaną ukarani. Wszyscy.

— Nie musisz tego mówić. Pozwól, że ja powiem to za ciebie. Jestem jej ojcem... o to chodzi, prawda? Przyjechałaś, żeby mi to dzisiaj powiedzieć?

Nalia zamyka oczy. Nie chce widzieć, jak on się jej przygląda, kiedy płacze.

— Tak — odpowiada wreszcie. — Tak.

ROZDZIAŁ ÓSMY

I jeszcze jedno piwko, zanim się zanurzymy? — pyta I Dirk, otwierając butelkę zębami. I Piasek nadal jest ciepły, wiatr też. Jednak fale przybrały na sile, huczą i biją dziko o plażę.

— Kiedyś w niedzielne ranki jeździłam z matką nad rze-

kę — mówi dziewczyna.

— Cóż, teraz już jesteś dorosła, prawda? — Sięga do zamka przy jej sukience i pociąga w dół.

Ona wstaje i pozwala, by sukienka sama osunęła się na piasek. A potem zdejmuje majteczki, ustawiając się przy tym tak, żeby mógł ją widzieć w gasnącym świetle dnia. Do tej pory krył ich mrok jego furgonetki, dziś jednak ona chce, by ujrzał ją całą, zobaczył to wszystko, co ona sama ogląda w lustrze.

— Najpierw pływanko — oświadcza mężczyzna, zdejmując ubranie.

Ona wie, że chce ją nastraszyć tą głębiną. Przez te wszystkie tygodnie czekał, żeby zgodziła się na wieczorną kąpiel, i teraz jest w pełni gotowości, szczupły i gładki, zupełnie nie przypominający Naima. Bierze ją za rękę i pociąga w dół stromego brzegu ku wodzie.

— Trzymaj się mnie mocno i wstrzymaj oddech — mówi.

Dziewczyna obejmuje go za szyję, przywiera płasko do pleców, zamyka oczy z lęku przed wodą — bierze oddech,

dławi się i kaszle, podczas gdy on nurkuje pod jedną falą za drugą. I w chwili, kiedy ona myśli już o rezygnacji, kiedy rozluźnia uchwyt i próbuje powiedzieć: „Zsuwam się”, osiagają spokojne wody poza przybojem.

— No widzisz? — mówi Dirk, obejmując ją od tyłu, utrzymując się wraz z nią w miejscu, w pozycji pionowej.

Woda jest czarna jak atrament i ciepła. Dziewczyna kładzie głowę na jego ramieniu i spogląda w ciemne niebo. Nie obchodzi jej, kim on jest i że wydaje się, jakby natknął się na nią przypadkiem. Wie, że to wcale nie był przypadek. Bo jeśli nie Dirk, to przyszedłby po nią jakiś inny mężczyzna — ktoś, kto wziąłby ją bez pytania, jak jej ojciec wziął matkę. I jeśli Naim, z kolei, dopadnie jego, jej to nie będzie obchodzić. Skoro może tęsknić do Naima, jak sam diabeł plugawego, to równie dobrze może unosić się tutaj na wodzie z Dirkiem, zapominając kompletnie o przyszłości.

— Dlaczego go nie zostawisz? — pyta Dirk. — Dlaczego? Dziewczyna przygląda

się, jak tamten swobodnie pali papierosa, takie swobodne jest jego życie.

— Potrzebny ci prawdziwy mężczyzna, żeby się o ciebie zatroszczył — mówi Dirk.

Ona spogląda poprzez ciemność ku przesuwającym się po drodze snopom światła rzucanym przez reflektory samochodów. Ludzie wracają na noc do swoich domów. Zawsze obserwowała normalne ludzkie istnienia z daleka, jak teraz. Bo kiedy się zanadto zbliża, zdają się one znikać, jak te króliki w ogrodzie przy willi.

— Mam dzieci — odpowiada.

— Żartujesz, prawda?

Kręci głową. Jest ciągle zbyt szczęśliwa, by się przejmować tym, co do niego mówi. A na dodatek tutaj dzieci wydają się snem — pojęciem przypisanym do innego życia.

— Chryste! — wykrzykuje mężczyzna. — Co z ciebie za kobieta?

— Jestem ładnicą. — Odczuwa niejaką przyjemność, wymawiając to słowo. Gdyby nie podejrzenie, że ma ochotę ją uderzyć, powiedziałaaby, że go kocha. Ale jak mógłby to zrozumieć? Jak ten wściekły mężczyzna, który nawet nie potrafi zapisać poprawnie jej nazwiska, miałby zrozumieć, że nie obchodzi ją, co on sobie o niej myśli?

Dirk uruchamia furgonetkę i z rykiem silnika wyjeżdża z parkingu na prowadzącą z plaży dróżkę. Kiedy skręca w kierunku pasma wzgórz, dziewczyna mówi:

— Możesz zostać na całą noc, jeśli chcesz.

— Co? — Dirk zwalnia nieco. — O czym ty mówisz?

— Matka wyjechała.

— Aha! Że niby kiedy kota nie ma...?

Dziewczyna wzrusza ramionami. Powinna już tonąć

w łzach, tymczasem uczucie szczęścia nie zamierza zniknąć. Chodzi o szczęście związane nie tylko z Dirkiem, ale z nią samą, z Naimem... ze wszystkim; co zabierze ze sobą z powrotem na wyspę.

Mężczyzna prowadzi w milczeniu, torem wyścigowym i zboczem wzgórza.

— A służba?

— Mają wolne do jutra. Jest tylko przyjaciółka matki, ale ona się nie liczy.

Parkuje furgonetkę jak zwykle pod wielką jacarandą.

— Nie musisz wkładać butów — mówi dziewczyna, przez rzucając sobie sandały przez ramię i wysiadając.

Kiedy Vi otwiera drzwi, dziewczyna mówi:

— Daj mi, proszę, kluczyki do barku, Vi. — Omija ją i wchodzi do hallu, zmuszając Dirka, by podążył za nią.

Vi mruga na jego widok.

— Aha! — woła. — Berek! Już się robi!

— Jejku! Co za dom! — Dirk stoi w hallu i rozgląda się wokół. — Hej, nanieśliśmy tu pełno piachu.

— No to co? — Dziewczyna bierze go za rękę i prowadzi przez salon na werandę. — Spójrz — mówi, wskazując na światła leżącego poniżej portu. — Tam właśnie byliśmy. — Zarzuca mu ramiona na szyję, przyciąga do siebie, całuje łapczywie, trzyma go tak, że on nie potrafi się opanować, przyciska ją do kolumny, dławiąc niemalże językiem.

— Aha, tu jesteście! — woła Vi. Stoi w drzwiach, trzymając w palcach kluczyki, jakby trzymała dzwonek. —

Położę je na stoliku, dobrze? Będę na górze, gdybyście czegoś potrzebowali.

Dziewczyna wybucha śmiechem, kiedy tamta się wy-cofuje.

— Czego się napijesz? — pyta Dirka. — Whisky? Brandy?

— Masz brandy i colę?

— Chodź — mówi w odpowiedzi i prowadzi go środka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ś

mierć nadchodzi własnym tempem, ukrywa się przez całe dnie, a potem, ni stąd, ni zowąd, wywo-łuje u Nalii mdłości na zapach omleta.

— Zabierz go — mówi do Maude. — Zostaw w kory-
tarzu.

Maude nie rusza się z miejsca, ściskając tacę.

— Musi pani zjeść śniadanie — upiera się — jest mi obo-
jętne, co to będzie.

Nalia nie podnosi wzroku znad notatnika... pisze, prze-kreśla.

— Może nie powinna go pani zostawiać na wierzchu —
zauważa Maude.

-Co?

Maude nie odpowiada, zaciska mocno wargi. Kiedy już urodzi się jej dziecko, co się stanie z tą wariatką? Co się stanie z nią samą, uwięzioną w domu, z mężem i niemow-łęciem, i psem?

— Przynieś nocnik, będę wymiotować.

Maude odstawia tacę i biegnie, ale jest już za późno. Nalia wymiotuje w rękaw szlafroka, na krzesło.

— No dobrze, proszę wstać. — Maude zdejmuje z niej

szlafrok. — Teraz koszula.

Pomimo upału Nalią wstrząsają dreszcze.

— Chodźmy — mówi Maude, prowadząc ją do łazienki.

Napełnia umywalkę ciepłą wodą. — Za bardzo pani schudła — mówi. — Co się z panią ostatnio dzieje?

Nalia zaciska dłonie na umywalce, nasłuchuje, jak ko-rytarzem z tupotem przechodzi córka. Teraz wychodzi i przychodzi, kiedy zechce, prosi o kluczyki samochodowe, trzaska frontowymi drzwiami. Kiedyś Nalia domagałaby się nazwiska mężczyzny, którego tamta przyprowadziła do domu podczas jej nieobecności. Zamknęłaby ją w jej pokoju albo wręcz wyrzuciła z domu.

Teraz jest jednak zmęczona, a dziewczyna wróciła do domu ze zbyt wieloma sekretami. Nawet sama Nalia nie potrafi już zapisać oczywistej prawdy. Kiedy szuka odpowiednich słów, oddała się jedynie coraz bardziej, zagłębia się w dawne sprawy, w te, które przysły po nich. Jakże inaczej miałyby spowodować, by córka zrozumiała, że Katzenbogen to kaprys losu? I że skoro wybrała na ojca to inne zero, to dlatego, że tak właśnie powinno być? Że los był zawsze niefortunny, że nieustannie wtrącał się w jej życie?

Może córka i tak to zrozumie. Zrozumie, że Nalia nie-nawidziła to zero niemal tak samo mocno, jak kochała ją. Do tej pory były nierozłączne, ta nienawiść i ta miłość. Do tej pory rządziły jej życiem.

— Mamo? — W drzwiach stoi córka, złocista w tym porannym świetle. — Dlaczego nie ćwiczysz?

Gestem dłoni Nalia nakazuje Maude odejść.

— Już wystarczy, dziękuję. Przynies mi, proszę, ręcznik.

— Co się stało? — pyta dziewczyna. W pokoju unosi się kwaśny zapach wymiocin — nieświeży i słodki, i kwaśny.

Opada na ławeczkę przy toalecie, patrzy, jak Nalia wyciera się ręcznikiem. Czy mężczyzna duch oglądał to wszystko? Brzuch i piersi, i płaskie, wysoko uniesione pośladki?

Coś dławi ją w gardle, nie bardzo wie dlaczego, ale czuje,

że wszystko się teraz jakoś popsło. Sama to popsła, prowadząc Dirka niczym zarazę do każdego pomieszczenia tego domu, nawet do tej łazienki. — Mamo — mówi — masz ochotę pojechać dziś na wybrzeże?

— Może powinna leżeć w łóżku — mówi Maude, stając wiając na podłodze świeżą parę rannych pantofli, trzymając w pogotowiu jedwabny szlafrok.

— Brrr! Poczuję się dobrze, jak zabierzesz ten omlet. — Nalia przechodzi energicznym krokiem przez sypialnię, otwiera okna oraz drzwi balkonowe. — Tak naprawdę potrzebne mi jest świeże powietrze — woła.

— Nie widzisz, że jest chora? — syczy Maude. — Dlaczego jesteś ostatnio taka samolubna?

Dziewczyna oblewa się pąsem.

— A ty? — pyta. — Co o tym sądzi Sonny?

Maude odnosi i składa ręcznik, wygładza zmarszczki.

— Biegasz jak jakiś ordynus — mamrocze — sprowadzasz ordynusa do domu, kiedy matka wyjeżdża. Ordynarne stroje, wszystko ordynarne. — Mruży oczy, patrząc na dziewczynę, która teraz już siedzi zgięta wpół, z twarzą na kolanach. Złość Maude zawsze była echem gniewu Nalii, przetaczała się spiralą od grzechu do grzechu, by w końcu rozgorzeć płomieniem wściekłości. Kiedy jest w takim stanie, można odnieść wrażenie, że nigdy nie wyszła za mąż... że nigdy nie ujęła dłoni dziewczyny i nie poprowadziła jej

przez własny dom, że nie rozpląkała się w jej obecności. —

Nie ma co płakać — mówi teraz. — Jaki sens ma płacz?

— Co się tu dzieje? — Nalia staje w drzwiach, wysuwa do przodu podbródek, chce wiedzieć, o co chodzi.

Maude zwija ubrudzony szlafrok, wkłada pod pachę i rusza w kierunku drzwi, kiedy dziewczyna podnosi wzrok i mówi:

— Maude będzie miała dziecko.

Maude sztywnieje i zatrzymuje się. Dziewczyna wie, że nigdy nie udaje jej się uniknąć kłopotów, że to nie w jej stylu, i natychmiast żałuje swoich słów.

— To przecież normalne — mamrocze — W końcu jest mężatką.

— Maude? — warczy Nalia. — O co tu chodzi?

— To przecież normalne — powtarza córka nieco głośniej.

— Normalne?! — krzyczy Nalia, zwracając się teraz przeciwko niej. — Co ty możesz wiedzieć na temat tego, co jest normalne, a co nie?

— Nic. Dzięki tobie.

— Co? Ośmielasz się mnie oskarżać? Ty zmijo!

Zdrajczyni!

Dziewczyna wbija wzrok w Nalię, wprost w oblicze fu-rii. Zna te słowa, odkąd tylko sięgnie pamięcią, uśmiecha się zatem, słysząc je teraz.

— Maude, czy to prawda? — Nalia opiera się o toaletkę, oddycha płytko.

Właśnie w tym momencie rozbrzmiewa dzwonek u bramy.

— Psy są spuszczone — mówi Maude i szybko rusza ku drzwiom.

— Zostań! — chrypi Nalia. Opada na ławeczkę, pochyla się do przodu, ręce ma skrzyżowane na brzuchu.

— Mamo!

— Pszepani! — Maude rzuca szlafrok i biegnie do niej. — Życzy sobie pani czarnej herbaty? Grzaneczkę?

— Przynies tylko, proszę, moje tabletki. Są w szufladce przy moim łóżku.

Dziewczyna idzie za Maude do sypialni.

— Proszę, proszę — nalega — powiedz mi, co jej jest.

— Puk, puk? — Zza drzwi wysuwa się głowa Vi. Kobieta macha telegramem. — Jest tu Natalia?

Dziewczyna biegnie, żeby jej odebrać depeşe, ale Vi cofa błyskawicznie rękę.

— To do mnie — mówi. — I chcę porozmawiać z twoją matką.

— Matka nie czuje się dobrze. — Wpatruje się w telegram, chciałaby, żeby był do niej, marzy, by go mieć.

— O co chodzi? — pyta Nalia, idąc ku nim przez pokój. — Telegram? Przynies go tutaj.

Vi kręci głową.

— Nie, moja droga. Tym razem to ciebie nie dotyczy.

Nalia wpatruje się w nią, wszystkie się w nią wpatrują, nawet Maude. Zniknął gdzieś wymuszony, głupawy uśmiech. Vi rozgląda się niespiesznie po pokoju.

— Dobre wieści — mówi. — Wracam, skąd przybyłam.

— Aha! — rzuca ostro Nalia. — Hazardzista wzywa, jak przypuszczam.

— A nawet jeśli, ty stara, zazdrosna jędzo? — Vi robi kilka kroków w kierunku Nalii, ale dziewczyna staje na jej drodze.

— Co?! — krzyczy. — Co powiedziałaś do mojej matki?!

— Zostaw ją — mówi Nalia. — Ona jest po prostu żalona. Groteskowa.

— Och! — woła Vi, rzucając spojrzenie ponad ramieniem dziewczyny. — Amatorka wypowiada się jak zwykle! Niespodziewanie dziewczyna wrywa jej z ręki telegram.

— Ty zmij! — krzyczy. — Ty pijawko! Sama jesteś starą jędzą! Wynoś się! Wynoś się z naszego domu!

Maude! Idź za nią! Nie spuszczaaj z niej oka, dopóki nie znajdzie się za bramą!

— To śmieszne! — woła Vi, już z połowy korytarza. — Przecież mam wyjechać dopiero za dwa tygodnie! Na miłość boską, Maude!

Maude jednak podąża za nią aż do drzwi jej pokoju. Staje w nich z założonymi rękoma, podczas gdy Vi ściąga na dół walizkę, rozkłada ją na łóżku.

— Może pójdziesz i jej powiesz? — prosi Vi, znowu przy milna; usta trzyma rozchylone jak niemowlę.

Maude kręci głową. Ma już dość tej kobiety i jej okruchów, i jej kawy. I tak miała szczęście — Nalia porwała ją, tak jak orzeł porwał jej psa. A teraz dziewczyna ją wyrzuca. No cóż, trudno. Dziewczyna potrzebuje matki dla siebie. Ojca też potrzebuje. I musi pamiętać o własnych dzieciach.

— To nasz ręcznik — oświadcza Maude, wyciągając rękę. — To nasza pasta do mebli.

I tak Vi pozostawia za sobą kilka własnych drobiazgow — smycz w kącie szafy, brudną bieliznę w koszu. Sama znosi po schodach walizkę, wynosi ją przez bramę i dopiero w ostatniej chwili Maude przypomina sobie o kluczach.

— Proszę cię bardzo! — krzyczy Vi, ciskając je na kwietnik. — Jak miło pozbyć się śmieci!

Nalia rozrywa telegram.

— Jednak nie hazardzista — oznajmia.

— Więc co? — Dziewczyna siedzi na podłodze; z głową na jej kolanach.

— Potrzebna im jest na nowy sezon. — Nalia przymyka powieki i kładzie głowę na oparciu fotela. Przecież radowałyby się razem z Vi. Po zakończeniu awantury kazała by Maude przynieść butelkę Veuve Clicquot i wypilyby za przychyłość losu dla Vi. Jednak dziewczyna nic z tych rzeczy nie rozumie. Przegnała w końcu Vi i teraz jest na to wszystko za późno. Tylko córka Nalii pozostała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

M

atka siedzi na miejscu dla pasażera jak ktoś obcy; ogląda widoki. Posuwając się wzdłuż brzegu, pokazuje, jej to i owo — małpę z małym na poboczu drogi. A potem lagunę, namorzynowe mokradła, z ich grubymi liśćmi i czarnymi, splątanymi korzeniami.

— Bałam się kiedyś tych mokradeł — mówię. — Myślałam, że to właśnie jest to piekło, o którym Maude nieustannie opowiadała.

— Też coś! Piekło jest o wiele bardziej piekielne od te-

go. — Opuszcza szybę, podnosi ją ponownie. — Nie bardzo mam dzisiaj ochotę na lunch w hotelu, a ty? — pyta.

Mogłam się była domyślić, że chciała pojechać do miasta. Włożyła swoją granatowo-białą sukienkę z piki i pa-sujące do niej pantofle na wysokich obcasach z odsłonię-tymi czubkami.

— Zjedzmy lunch w Bon Marche — mówi, spoglądając na zegarek. — Mamy mnóstwo czasu, żeby znaleźć miejsce na parkingu.

Kiedy idziemy Joubert Street, bierze mnie pod rękę. Na ogół ujmuje moją dłoń, jakbym wciąż była dzieckiem, te-raz jednak opiera się na mnie, sugerując w ten sposób,

byśmy się zatrzymały i obejrzały, co jest na wystawie u Cottama.

Widziałam już kiedyś, jak potrafi się zachowywać pod-czas choroby — jak leży pod puchową kołdrą przez całe popołudnie, wstrząsana dreszczami i całkowicie bezsilna, a potem, w światłach rampy, olśniewa w swojej karmazy-nowej, jedwabnej sukni, przymyka oczy, jakby czekała, aż zamilkną wreszcie pokasłujący widzowie.

— Mamo — proszę, kiedy już siedzimy przy stoliku w Bon Marche — powiedz mi, co ci dolega.

Patrzy na menu ze zmarszczonymi brwiami. Nad gór-ną wargą i na czole perlą się kropelki potu.

— Grzanka z serem i pomidorem? Grzanka z anchois?

Co chcesz?

Jeśli zapytam ponownie, ciśnie serwetkę i powie, że zepsułam jej całe popołudnie. Wobec tego zamawiam i jem, przez cały jednak czas obserwuję ją z lękiem, który przygniata mnie jak kamień, odwieczny i niemy.

Płaci kelnerce, a potem, żeby wstać, opiera się o blat stolika. Idziemy do Cottama wciąż zanurzone w owym dziwnym milczeniu. Głosy ludzi i szum samochodów zda-ją się dochodzić z ogromnej odległości. Kiedy na przej-ściu dla pieszych fotograf uliczny wyciąga do nas rękę z wizytówką, ona nawet nie zauważa, jak

wsuwam kartonik do kieszeni. Wpatruje się w jakąś kobietę stojącą przed wystawą z bielizną u Cottama.

— To jedna z nich! — oznajmia, wyciągając rękę. — Jesteś w stanie uwierzyć? Po tych wszystkich latach?

Kobieta odwraca się, żeby na nas popatrzeć. Jest wysoka i postawna; na głowie ma siatkę na włosy. Przygląda się nam tak, jak przyglądały się przez te lata one wszystkie — z ciekawością, nawet ze współczuciem. Odejdzie jak

najszybciej, jak najdalej od mojej matki, od jej dumy i wściekłości.

— Zawsze... — mówi matka, pociągając mnie za rękę — zawsze to ty musisz być tą osobą, która najmniej się przejmuje.

U Cottama zasiada w fotelu i czeka, aż sprzedawczyni zaczną prezentować nam stroje.

— Ależ, mam — protestuję. Chcę jej przypomnieć, że mam mnóstwo strojów, chociaż nie mam najmniejszej ochoty na nie patrzeć i wolałabym o nich zapomnieć.

— Czy przyszłoroczne modele letnie już przysły? — pyta.

— Nie, proszę pani. Z tego, co wiem, jedynie lutowe.

— Na lutowe już za późno. Co jeszcze tutaj macie?

Wszystko zaczyna nabierać jakiegoś przyspieszenia,

zupełnie jakby w każdej chwili miał się pojawić Naim, żeby znów mnie jej odebrać. Kiedy ojciec zauważył, jak Dirk przesuwą dłonią po moich piersiach, uśmiechnął się tylko. „Dirk, instruktor jazdy! — wykrzyknął. — Cała moja Theadora!”

Matka przesunęła okulary na czubek głowy i ogląda bacznie szwy zimowych spodni. Wyraz oschłej dezaprobaty malujący się na jej twarzy, kiedy trzyma te spodnie pod światło, jest czymś, co, być może bym już zapomniała, gdybym raz jeszcze nie zobaczyła tego teraz.

— Tandeta — oznajmia, oddając je sprzedawczyni. —
Wracajmy do domu — zwraca się do mnie. — Każemy
Maude podać sobie podwieczorek, zanim ten taksówkarz
po nią przyjedzie. Ha!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

P

od koniec wszyscy oni pojawiają się na scenie, nawet ci odepchnięci, pogardzani, znieawidzeni, wyśmiewani i ignorowani. Nalia utraciła moc trzymania ich na dystans, każe zatem Maude, jak Penelopa, by znajdowała wymówki, nie wpuszczała ich na górę i pilnowała, żeby jej drzwi były zamknięte. Leżąc w mroku zaściemnionej sypialni, nasłuchuje dochodzącego z dołu dudnienia obcych głosów — mrocznych, przerażających, nie-naturalnych.

— Zapisz to — mówi do Maude. — Ojcowie są niczym.

Są kaprysem losu.

Maude podnosi wzrok znad notatnika, który leży na jej kolanach.

— Po co wywoływać teraz nowe kłopoty?

Nalia przymyka oczy; z trudem chwyta powietrze.

— Rób, co ci każą!

Zatem Maude skupia się na stawianiu liter wzdłuż linii notesu, tym swoim pięknym, wyniesionym ze szkoły mi-syjnej charakterem pisma. Teraz, kiedy matka umiera, dziewczyna jest niemal tak samo jak ona szalona. Co noc śpi na drugim łóżku w sypialni Nalii, jak mąż, a w dzień nosi jej ubrania, wszystko, co tylko jej się spodoba. Jeśli są za obszerne, spina je w talii brylantowymi spinkami. Nosi najlepsze perły, jakby były paciorkami, nawet w ką-

pieli. Nalia dała jej wszystko oprócz wysadzanej perłami i ametystami bransolety oraz złotego zegarka, które po-darowała Maude. Jednak Sonny nie jest w stanie znieść ich widoku i Maude musiała je przed nim schować. Jest o Nalię zazdrosny, sam zachowuje się jak szaleniec.

To co zrobi, kiedy dziecko przyjdzie na świat? O nie też będzie zazdrosny? Maude kręci głową. Jeśli spróbuje cze-goś takiego, to ona zabierze maleństwo i pójdzie do Doro-thy. Albo znajdzie sobie własny kąć, zupełnie jak Nalia.

— No dobrze — odzywa się. — Co mam napisać?

— Napisz: „Katzenbogen jest twoim ojcem”.

— Że co?

Nalia ponownie przymyka oczy. Robi to, żeby prze-straszyć Maude, żeby tamta się zamknęła. Tak czy owak, Maude nigdy nie potrafi sprzeciwić się poleceniom. Teraz, kiedy wreszcie pojawił się tutaj demon śmierci, Maude już na pewno jej nie opuści.

— Przeliteruję ci to — mówi Nalia. — Proszę, słuchaj uważnie...

Maude pisze literę po literze. Kiedy ona siedzi tutaj na górze, dziewczyna może zejść na dół i porozmawiać ze swoim ojcem albo z mężem. Jednak nigdy z Katzenbogem. O niego jest zazdrosna, bo jest on teraz jedyną osobą, której Nalia zechce słuchać. Jeśli Katzenbogen mówi, że ma wziąć lekarstwo, bierze je. Jeśli mówi, że ma odpocząć, to nawet własną córkę odsyła od siebie.

— A teraz przeczytaj, co napisałaś — prosi Nalia.

— I po co wywoływać te kłopoty?

— Miałam sen. Czytaj, co tam napisałaś.

Maude sięga po różaniec. Trzyma go tutaj, z dala od Sonny'ego. Swoją figurkę też tutaj trzyma. I świecę, na wszelki wypadek.

— W snach przychodzi diabeł — mówi.

Drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi dziewczyna; cerę ma bladą, niezdrową.

— Witaj, mamó — mówi.

— Poczytasz mi? — szepce Nalia. — O jego matce i tam-

tym zdjęciu.

Dziewczyna kładzie się na wolnym łóżku, przekłada swoje pamiętniki. Natychmiast po wyjeździe Vi przyniosła je tutaj i jeden po drugim odczytała Nalii. Kiedy je

czytała, odnosiła wrażenie, jakby raz jeszcze je dla niej pisała, jakby nic się nie zmieniło i nadal, jak przedtem, były one dwie, a przed nimi rozciągała się cała przyszłość.

Maude wsuwa notatnik za poduszkę fotela. '

— Przyniosę herbatę i kompocik — mówi do Nalii.

Kiedy znika za drzwiami, dziewczyna zaczyna czytać.

Nalia zawsze prosi ją o te same fragmenty — jak on ją wybrał, jak miał łzy w oczach. Czytając, dziewczyna szydzi, drwi, zupełnie jakby nie zwijała się w kłębek przed drzwiami jego gabinetu, nie przychodziła do niego, kiedy brał kąpiel... zresztą i teraz spogląda na niego przez salon, przypominając sobie zapach jego skóry i jego konia-ku, i tego dziwnego mydła z wyspy. Gdy któregoś dnia zatelefonował Dirk, musiał dwukrotnie powtarzać swoje imię.

— Mój mąż jest tutaj — powiedziała. — Zatrzymał się na jachcie ojca.

— Przecież wiem! — krzyknął Dirk. — Zaproponował mi pracę za granicą! Co z was za hołota? Co on sobie wyobraża? Że niby kim ja jestem?

Nalia zasnęła; jej twarz na poduszce biała jak mleko. Z tymi swoimi ogromnymi oczyma i rozrzuconymi bezładnie siwymi włosami przypomina małego ptaszka. Kie-

dy Katzenbogen zaczął wyjaśniać dziewczynie, że Nalia robi się senna pod wpływem tabletek przeciwbólowych, ta odwróciła się i odeszła, nim skończył pierwsze zdanie. On sam jest niemal tak jak Nalia wymizerowany, blady i kościsty, a ona nie może znieść myśli, że wolno mu pa-trzeć na matkę.

Schodzi na dół dopiero wtedy, kiedy słyszy przy drzwiach frontowych głosy ojca i Naima. Albo kiedy Katzenbogen wchodzi na górę do matki. Widziała, jak siedzi na jej łóż-ku i przemawia łagodnie w jakimś obcym języku, odgar-niając matce włosy z czoła. Ponownie ma wrażenie, że przygląda się życiu, w którym sama pozbawiona jest ja-kiegokolwiek znaczenia. W którym nawet nie istnieje.

Przechodzi do gotowalni Nalii i wpatruje się w zawar-tość szafy. Ubrania nie wiszą

już porządnie jak kiedyś; niektóre stroje ześlizgnęły się z wieszaków. Kiedy je przy-
mierza, wie, że wygląda w nich śmiesznie, niemniej dotyk jedwabiu na skórze,
wszechobecny zapach matki pozwala jej na chwilę zapomnieć o tym okropnym
widoku przeświecającego przez zasłony porannego słońca, takiego gorącego i
niosącego nadzieję, należącego do owego innego życia, do którego można powrócić.

Wyjmuje kwiecisty szlafrok i narzuca sobie na ramiona jak pelerynę. Słyszy
skrzypienie schodów kuchennych pod ciężarem niosącej herbatę i kompot Maude. Ta
kobieta wchodzi tutaj i wychodzi, zupełnie jakby śmierć była zaledwie jeszcze
jedną niedogodnością. A przecież każdego ranka dziewczyna nasłuchuje dźwięku jej
klucza w drzwiach kuchni. I kiedy go słyszy, przemyka schodami w dół, żeby
zasiąść przy dużym kuchennym stole i pałtrzeć, jak Maude zawiązuje fartuch.
Brzuch już zaczyna jej sterczeć, a skóra wokół oczu ciemnieć. Kiedy Sonny

po nią przyjeżdża, zatrzymuje samochód przed domem pani Holmes i trąbi, jeśli
Maude się spóźnia. „Jest już ten ponury kosiarz — mawia wtedy Nalia. — Ruszaj
więc”.

Dziewczyna stoi w gotowalni, słuchając, jak Maude pieszczotliwie namawia Nalię,
jak do niej szepce.

— Odrobinę herbatki? Kompociku?

-Nie.

Maude wzdycha.

— To gdzie w końcu mam tę rzecz włożyć?

Dziewczyna zagląda do sypialni. Maude trzyma w uniesionej ręce notatnik Nalii.

— Tę rzecz?

— Do szuflady.

— Znajdzie ją tam.

— Do zamykanej na klucz.

— Teraz to każdy ma klucze.

— Wobec tego zatrzymaj go przy sobie. Schowaj gdzieś

w kuchni. Pokaż jej po mojej śmierci.

Jest dopiero szósta, a kuchnia już jest wilgotna od rosnącego na jutro chleba, od nasiąkniętych wodą szmatek i gąbek do zmywania. Co wieczór Maude podaje w jadalni zimną kolację dla Katzenbogena i dziewczyny i co wieczór dziewczyna schodzi na dół wcześniej, żeby znaleźć sobie garść liczi albo banana i zabrać je do zjedzenia na werandę na piętrze. Nalia nie jest już w stanie znieść zapachu jedzenia ani warkotu aut, ani też dotyku koszuli nocnej na własnej skórze. Maude musi jej ścielić łóżko najstarszą jaką mają bielizną pościelową, nawet jeśli ta jest podarta. Dziewczyna też musi być bardzo ostrożna, kiedy ją dotyka. Musi mówić cicho, niemalże szeptem.

Teraz omiata wzrokiem kuchnię, szukając potencjalnych kryjówek. Zawsze mierzyły ją sekrety, które matka i Maude dzieliły z sobą — to wykluczanie jej samej, to dopuszczanie, robienie różnych rzeczy dla jej własnego dobra. Jakiż ostatecznie sens miały te wszystkie tajemnice? Jaki sens mają teraz?

Przez całe popołudnie czekała na klakson samochodu Sonny'ego, a potem na odgłos zatraskującej się bramy. Rozgląda się; omiata wzrokiem szuflady, szafki, lodówkę. Maude na pewno jest sprytniejsza. Wyszukała pewnie takie miejsce, gdzie służba nie zagląda i które jej samej nie przyszłoby do głowy.

Maude zawsze kierowała się własną logiką — układa, na przykład, stroje wedle kolorów, choć Nalia nieustannie jej powtarza, że niebieska spódnica ma niewiele wspólnego z niebieską bluzką. Gdzie zatem położyłaby notatnik? Nie z innymi książkami w gabinecie... każdy by go tam zauważył. Przyniosła go na dół razem z innymi rzeczami na tacy. Dziewczyna otwiera szafkę, gdzie stoi serwis do herbaty. Potem zagląda do szafki z tacami, wyjmuje je, jedną po drugiej, starając się, by nie brzęczały o siebie.

I nagle go widzi — ukryty w wielkiej srebrnej wazie, używanej wyłącznie wtedy, gdy ojciec przychodzi na kolację. Wyjmuje i przez chwilę mu się przygląda. Potem niesie do stołu, żeby go przeczytać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

S

tatek Naima stoi na kotwicy tuż za zatoką. Sprowadził go tutaj, żeby zabrać mnie z powrotem na wyspę, nic jednak na ten temat nie mówi. Dopóki matka nie umrze, nikt

nie będzie mówił o przyszłości.

Siedzę oparta o kolumnę, żeby obserwować pikujące i kwilące ibisy. Jeśli powiem Naimowi, że poślubił kaprys losu, to czy zostawi mnie tutaj i odda moje dzieci Sonji? Czy ona je odeśle, jak dzieci tej niewidomej? Czy może zabierze je na dół, do wioski, żeby tam je zabito i wrzucono do morza?

Oto pytania, które zadaję sobie przez te tygodnie, jakie minęły od czasu, kiedy przeczytałam notatnik matki. Ona sama mi nie pomoże. Kiedy powiedziałam jej, co wiem, zamknęła jedynie oczy. Odnoszę wrażenie, jakby mnie już opuściła, jakby opuszczała mnie przez cały ten czas, od dnia, w którym ja opuściłam ją.

Codziennie przesiaduję tutaj, na werandzie. U niej ciągle jest Katzenbogen. Kiedy stoję pod drzwiami, słyszę, jak ona zadaje mu pytania, jedno za drugim, w tym ich dziwnym języku, a potem słyszę jego odpowiedzi. Kiedy jednak wchodzę do środka, ona zamyka po prostu oczy i milczy.

— Theodoro. — Stoi w drzwiach, z rękoma w kieszeniach.

Nigdy wcześniej nie zwracał się do mnie po imieniu, stąd wiem, co przyszedł mi oznajmić. Nie ruszam się jed-

nak z miejsca, patrzę tylko na niego. Już nie odczuwam nienawiści. Teraz widzę, że mam jego spiczasty nos oraz wysokie, szerokie czoło. A przecież jest dla mnie kimś obcym. I na zawsze obcym pozostanie.

— Już po wszystkim, Theodoro — mówi. Jego głos ma taki sam rytm jak głos matki, tak samo dziwnie załamuje się na samym końcu mojego imienia. — Idź teraz do niej.

Zsuwam się z balustrady, przechodzę obok niego, po-tem schodami w górę, korytarzem do jej pokoju. Jest tam, gdzie przedtem, tyle że ma uniesioną brodę, a oczy zamknięte, jakby zamierzała zaśpiewać.

— Mamo? — mówię, ściągając w dół prześcieradło. Kiedy oni są z nią, prześcieradło musi sięgać pod samą brodę. Nawet Maude nie pozwoli mi spojrzeć. Teraz jednak mam ją całą przed sobą. Ciało chude jak u charta; roz-

koszna krągłość brzucha zniknęła gdzieś w fałdach skóry;
piersi jak płatki. Jej nogi pozostają piękne, gładkie i białe. —
Mamo — powtarzam i kładę się przy niej, przytulam mocno.
Kładę głowę na jej szyi, całkiem zapominając, że przecież
nie znosi niczyjego dotyku. — Mamo, och, mamo!
Masz takie piękne nogi!

— Theodoro! — Katzenbogen odciąga mnie od niej. —
Pozwól, że cię tutaj posadzę — mówi, prowadząc mnie do
fotela.

Patrzę, jak ponownie podciąga do góry prześcieradło, jak nakrywa nim jej głowę, a
potem bierze jej moherowy koc i zakrywa nim lustro. Nie patrzy na mnie, podchodzi
do drzwi balkonowych i tam się zatrzymuje, szarpie na sobie koszulę, płacze jak
dziecko.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

K

Wtedy przyjeżdża Naim i ojciec, matki oglądać już nie można. Z jej ciałem siedzą
jakieś dwie kobiety, które nie pozwalają nikomu wejść, nawet mojemu ojcu.
Wszystko to zostało zaaranżowane przez Katzenboga, który teraz też gdzieś
zniknął. Jego rzeczy nie ma w pokoju Maude, która już zdążyła zauważyć, że
zabrałam notatnik.

— Wracasz na wyspę? — pyta, stawiając najlepsze kieliszki
na tacy do drinków, miseczką z oliwkami, które tak
lubi ojciec.

Pytała mnie o to kilkakrotnie, a ja za każdym razem wzruszałam ramionami. Teraz
jednak już wiem, że wrócę, tam z Naimem i że nie wyjawię kłamstwa matki, tak jak
ona go nie wyjawiała. Kiedyś powiem mu prawdę. Najpierw jednak znajdę sposób,
żeby sprowadzić tutaj swoje dzieci. Założę z powrotem kłódkę na bramę i poproszę
Katzenboga, żeby mi zwrócił moje pamiętniki. Do tego czasu będę trzymać
notatnik matki pod kluczem w jej szufladzie, a dom zamknę, tak samo jak robiła to

ona. Poproszę Maude, żeby okryła meble i zabrała psy do swo-jego domu.

— Każdy ma jakieś kłopoty — mawia Maude. Nosi teraz własnej roboty sukienkę ciężową, a kiedy słyszy klakson Sonny'ego, głośno cmoka. — To nie w porządku, że nikt

nie może jej oglądać — mówi, wznosząc oczy do góry, w kierunku pokoju matki. — Codziennie ją myłam i sma-rowałam oliwką, a teraz mnie nie dopuszczają i ona jest tam z obcymi.

Znów nosi w kieszeni różaniec; słyszę, jak jego paciorki postukują, kiedy kręci się po kuchni.

— Skąło, którą rozwarł Bóg — zaczyna, ale nie jest w stanie śpiewać dalej. Nagle nieruchomieje pośrodku kuchni i podnosi rąbek fartucha do oczu. — To straszne — mówi — straciłam ją i jest to dla mnie okropne.

Naim prowadzi mnie na werandę, wprost do balustrady. Słońce zalewa blaskiem zatokę i widoczny za jej linią statek.

— Znów popłyniemy nim do domu — mówi łagodnie. —

Tym razem jednak inną trasą. W porządku?

Już zapakowałam do walizki te dwa moje zdjęcia z matką na ulicy. Ustawię je obok siebie, a pomiędzy nimi postawię flakon Madame Rochas. Kiedy poprosiła, żebym dała swoje pamiątniki Katzenbogenowi, posłuchałam jej. A potem na dole, kiedy ten próbował mi je oddać, nie chciałam ich wziąć. Bo czymże są one bez tej, której mogłam je czytać? Która ich wysłuchiwała? Kimże jestem ja sama, teraz, kiedy nie jestem już córką?

Za miesiąc skończę dwadzieścia lat i wydaje mi się, że rozumiem, na czym polega smutek życia. Gdyby matka kiedykolwiek była w stanie wysłuchać, powiedziałabym jej. Powiedziałabym jej jeszcze więcej... o rzeczach, które widziałam osobiście, które sama poznałam.

— Proszę — mówi ojciec, podając mi szklaneczkę whisky. — Wypij do dna.

Odchodzi i staje na drugim końcu werandy, spogląda w przestrzeń, milczy. Wiem, że jest wściekły na śmierć, podobnie jak wścieka się na wszystko, co mu zawadza. Teraz wiem nawet, że kochał moją matkę i że wciąż ją kocha. Kochał ją tak, jak ona kochała jego — dwoje ki-pińczych wściekłością ludzi, a ja uwięziona pomiędzy nimi.